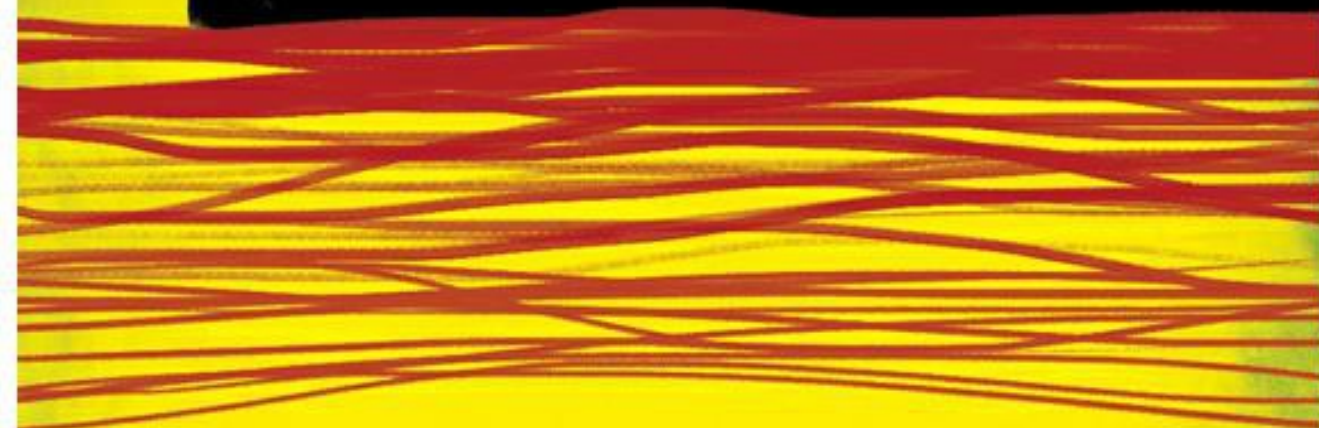


Jesteś myśliwym czy zwierzyną?



# WYSPA

BRYONY PEARCE

Przełożył: Mateusz Rulski-Bożek

ZIELONA  
SOWA

Tytuł oryginału: *Savage Island*  
Tłumaczenie: Mateusz Rulski-Bożek  
First published in Great Britain in 2018 by  
Stripes Publishing Limited,  
An imprint of the Little Tiger Group  
1 Coda Studios, 189 Munster Road,  
London SW6 6AW  
Text copyright © Bryony Pearce, 2018  
Cover copyright © Stripes Publishing Ltd, 2018  
Circle illustration © Shutterstock/Hakki Arslan  
Map illustration © Shutterstock/PNE

Redaktor prowadzący: Anetta Radziszewska  
Redakcja: Katarzyna Malinowska  
Korekta: Joanna Malinowska  
Opracowanie okładki: Kamil Pruszyński  
DTP: TYPO 2 Jolanta Ugorowska

© Copyright for the Polish edition by Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o., Warszawa  
2019  
All rights reserved

Wydanie I

ISBN 978-83-8154-438-2

Wszystkie prawa zastrzeżone. Przedruk lub kopiowanie całości albo fragmentów książki  
możliwe jest tylko na podstawie pisemnej zgody wydawcy.

Wydawnictwo Zielona Sowa Sp. z o.o.  
Al. Jerozolimskie 94, 00-807 Warszawa  
tel. 22 379 85 50, fax 22 379 2519  
e-mail: [wydawnictwo@zielonasowa.pl](mailto:wydawnictwo@zielonasowa.pl)  
[www.zielonasowa.pl](http://www.zielonasowa.pl)

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

# Spis treści

[Strona tytułowa](#)

[Karta redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Prolog](#)

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piąty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiąty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)

[Rozdział szesnasty](#)

[Rozdział siedemnasty](#)

[Rozdział osiemnasty](#)

[Rozdział dziewiętnasty](#)

[Rozdział dwudziesty](#)

[Rozdział dwudziesty pierwszy](#)

[Rozdział dwudziesty drugi](#)

[Rozdział dwudziesty trzeci](#)

[Rozdział dwudziesty czwarty](#)

[Koniec](#)

[Podziękowania](#)

[Przeczytaj także](#)  
[Przypisy](#)

*Dla mojego wujka Denisa,  
który zawsze kupował najlepsze książki.*

# Prolog

– Co byście zrobili z milionem funtów?

Pytanie zabrzmiało poważnie. Zorientowałem się po tym, że wprowadzając nas do swojego pokoju, Lizzie nawijała na palce swoje ciemne, krótkie włosy. Była jedną wielką ekscytacją, kulą skoncentrowanej energii.

– Zaprosiłaś nas na test? – zapytał Grady, rzucając się na workowaty puf.

Wyszczrzył się do Lizzie spomiędzy kolan, którymi prawie grzmotnął o uszy. Potrafił być dość dziwny, ale uśmiech miał zaraźliwy, więc Lizzie odpowiedziała mu uśmiechem.

Oparłem deskorolkę o drzwi, wziąłem puszkę coli z sześciopaka, który Grady wyjął z plecaka, a resztę puściłem w obieg. Carmen już się rozgościła. Rozwalona na łóżku wypijała pół coli, zanim Lizzie zdążyła otworzyć swoją. Will, mój brat, wbił wzrok w przedostatnią puszkę, jakby się zastanawiał, czego Grady zażąda potem w zamian, jeśli ją teraz przyjmie.

Lizzie wciąż przeczesywała palcami włosy obcięte na pixie. Trzy lata temu zapragnęła zrobić sobie taką fryzurę. Matka jej zabroniła, ale Lizzie się uparła i upitoliła swoje długie warkocze nożyczkami do paznokci. Była karczemna awantura.

– Myślałem, że idziemy na miasto – zdziwiłem się.

– Najpierw muszę wam coś pokazać, więc posadź swój zadek, bo chwilę to potrwa. – Lizzie włączyła komputer, ale sama nie usiadła.

Monitor zaczął mrugać, a ja rozejrzałem się po jej pokoju. Kiedy

byłem tu ostatnim razem, miała pastelworóżowe ściany. Całymi dniami graliśmy w *Legend of Zelda* na jej Wii. Teraz ściany były jasnoszaroniebieskie. Miejsce Justina Biebera na plakatach zajęła Nina Simone, a w kącie leżał sprzęt wspinaczkowy. Ale biurko się nie zmieniło. Uśmiechnąłem się, gdy wyczułem pod palcami nasze inicjały, które wyryliśmy na jego prawym boku. Nie zmieniło się też łóżko: proste, z białego metalu, ozdobione u zbiegu prętów papierowymi ptaszkami i motylkami na drucikach. Gdy stanąłem na dywanie, przypomniałem sobie, jak leżeliśmy na nim z Lizzie, trzymając pady do konsoli.

– Już nie masz zakazu przyprowadzania chłopaków? – Will klapnął na krzesło przy biurku, zadarł głowę i przerzucił grzywkę na bok.

Włosy permanentnie zasłaniały mu jedno oko, co mnie doprowadzało do szału, ale najwyraźniej podobało się dziewczynom.

– Za kilka miesięcy idę na uniwersytet, więc mama trochę znormalniała – rzuciła Lizzie, nie odrywając oczu od ekranu.

– Rany, jak dobrze, że to już lato. Te egzaminy to koszmar! – Grady łyknął coli i westchnął. – Hej, słyszeliście o spisku Coca-Coli? – Nie czekał na odpowiedź. – Wiecie, że w Stanach cola jest główną przyczyną epidemii otyłości? W takiej puszcze jest ponad czterdzieści miligramów sodu. Sód wzmacnia pragnienie, więc pijesz więcej. Dlatego dodają tyle cukru, żeby zamaskować sól.

Wskazałem puszkę.

– Znaczy, że już nie chcesz?

– Jeśli wybierać, to świadomie. Mogę ją później popić wodą. – Grady beknął.

Carmen parsknęła śmiechem.

– Niezły z ciebie numer, Grady.



Will spojrział na nią przeciągle, a potem odwrócił wzrok.

– Okej, jest! – Lizzie przekreśliła monitor tak, żebyśmy wszyscy widzieli ekran, i wskazała na obracające się spiralne logo. – Popatrzcie.



FUNDACJA  
**GOLDA**

---

Grady spojrział na ekran i się skrzywił.

– Weź, zainstaluj sobie przyzwoity system. – Zmarszczył brwi. – Ten antyk ma takie słabe zabezpieczenia, że każdy je obejdzie. Choćby teraz ktoś może nas obser...

– Bo niby jesteśmy tacy interesujący? – uciąłem wywód Grady’ego.

W odpowiedzi skrzyżował ramiona na piersi. Zignorowałem to. Chciałem zobaczyć, co takiego w wyświetlanej stronie internetowej sprawiło, że Lizzie nie może ustać spokojnie.

Wskazała na obracające się logo.

Carmen z roztargnieniem potarła tatuaż pustułki na wewnętrznej stronie nadgarstka.

– „Co to jest Fundacja Golda”?

– No wiesz – pośpieszył z odpowiedzią Grady – jej szefem jest Marcus Gold, ten multimiliarder. To właściciel połowy Doliny Krzemowej. Jest założycielem organizacji dobroczynnych i ma własną linię lotniczą Goldstar. – Wziął głęboki wdech i ciągnął

dalej: – Krążą plotki, że należy do Stowarzyszenia Czaszka i Kości na Uniwersytecie Yale. Na pewno jest masonem i prawdopodobnie stał za zamachami z jedenastego września. Co więcej...

– Za zamachami z jedenastego września stoją wyłącznie terroryści. – Lizzie zmarszczyła brwi.

Grady westchnął.

– Gdybyście choć zerknęli na mejle, które wam wysyłam...

Kopnąłem jego puf.

– Jak można brać na serio bzdury, które wypisuje David Icke? Ten gość podawał się za Syna Bożego. Weź na wstrzymanie, Grady.

– Hej! – Lizzie złapała myszkę i szybko przewinęła ekran na dół strony. – Spójrzcie.



*Jesteś debeściakiem? Zawsze robisz wszystko, żeby zwyciężyć?*

*Masz świetną kondycję fizyczną?*

*15 sierpnia 2018 roku będziesz miał/-a 16–20 lat?*

*Możesz zebrać zespół składający się z 5 osób takich jak ty?*

*Chcecie wygrać po milionie funtów **na głowę?***

*Osoby, które nie ukończyły 18. roku życia, mogą ubiegać się o uczestnictwo po uzyskaniu zgody rodzica lub opiekuna prawnego.*

Grady stoczył się z pufa i przybliżył do ekranu.

– Milion funtów... na łebka!

– Otóż to. – Lizzie pokiwała głową z ekscytacją.

Will ściągnął brwi.

– Dlaczego Gold oferuje aż tyle pieniędzy?

– Bo jest filantropem – odpowiedziała Lizzie. Grady prychnął donośnie, ale go zignorowała. – Patrzcie. Piszą, że chce pomóc bystrej, aktywnej młodzieży w życiowym starcie. „Zwycięzcy udzielimy konsultacji w kwestii najkorzystniejszych sposobów inwestowania wygranych pieniędzy”.

– Rady można wysłuchać, ale nie trzeba z niej skorzystać – zamyślił się Grady. – Już ja bym wiedział, co zrobić z taką kasą.

Carmen zaczęła szybko czytać dalszą część tekstu.

– Tu piszą, że trzeba będzie wypełnić mnóstwo formularzy.

– To będą zawody? – Will założył ręce za głowę. – Co będziemy musieli robić?

– Z zakwalifikowanych zespołów wylosują dziesięć, które wezmą udział w wyprawie. Polecą na należącą do Golda odległą wyspę, gdzie zostaną poddane próbom wytrzymałości i inteligencji. – Lizzie z trudem panowała nad podekscytowaniem. – Będą pewnie biegi na orientację, rozwiązywanie zagadek, poszukiwanie skarbów z GPS-em, wspinaczka skałkowa... No wiecie, takie rzeczy.

– Brzmi czadowo! – Spojrzałem na brata. Do tej pory nie miałem pomysłu na to, jak spędzimy lato. – Wchodzimy w to. Nawet bez nagrody. No nie, Will?

Wzruszył ramionami.

– To wszystko jest w naszym zasięgu. – Lizzie zaczęła podskakiwać z podniecenia. – Grady jest graczem, umie

rozwiązywać zagadki. Will był najlepszy w biegach na orientację w „Księciu Edynburga” i nikt nie ma wątpliwości, że jest genialny. Ty potrafisz naprawić chyba wszystko, Ben, a kiedy Noah złamał nogę w zeszłym roku, Car świetnie się nim zaopiekowała. Jeśli przejdziemy wstępne sito, a potem loterię, to zwycięstwo mamy w kieszeni. Totalnie. – Lizzie zerknęła na Carmen. – Co ty na to?

– Sama nie wiem. – Carmen nie odwzajemniła spojrzenia. – Musiałabym wziąć wolne w pracy, a powiedziałam w salonie, że od przyszłego tygodnia mogę przejść na pełny etat.

– Na Ekspedycji Księcia Edynburga nieźle się bawiłaś.

– Bo mogłam popracować w schronisku dla zwierząt. Zresztą wzięłam w niej udział, bo obiecałaś, że w tym roku pojedziemy na czadowe wakacje, a to tutaj nie wygląda na dobrą zabawę.

– Ale, Car, pomyśl: milion funtów. – Will odgarnął włosy z oczu. – Miałabyś kasę, żeby pójść na weterynarię.

– To miał być sekret. – Przeszyła go wzrokiem. – Zresztą to tylko głupie marzenie.

– Nigdy mi nie mówiłaś, że myślisz o weterynarii! – Lizzie poprawiła okulary i usiadła obok Carmen. – Musisz pojechać z nami. Będziesz fantastycznym weterynarzem! – Uśmiechnęła się. – Bez ciebie nam się nie uda.

– No dobrze. – Carmen podniosła rękę. – W końcu nawet jeśli mnie wyleją, to do machania miotłą mogę się najać gdzie indziej.

– A ty, Grady? – spytała Lizzy.

– Jeżeli wy bierzecie udział, to ja też.

Zgodziliśmy się, żeby Grady dołączył do naszego zespołu w „Księciu” tylko dlatego, że Noah miał wypadek, a ojciec Grady’ego podsunął nam jego kandydaturę. A jednak, mimo że miał swoje dziwactwa, cieszyłem się, że był z nami. Ilekroć Grady gdzieś się wybierał, zawsze miał ze sobą pełno gadżetów, był

ucieleśnieniem starego motto skautów: „Bądź przygotowany”. Ponadto Will najwyraźniej go polubił, a to był zdecydowany plus.

– A więc jak, wchodzimy w to? – Rozejrzałem się.

– Będzie naprawdę zarabicie! – Lizzie skoczyła na równe nogi i kliknęła w link do ściągnięcia formularzy.

Mój telefon mrugnął i zaczął wibrować.

– Will... Mama dzwoni.

– Do ciebie. – Will nawet nie podniósł wzroku.

Odstawiłem puszkę z colą i wyszedłem na schody. Nie wiadomo, w jakim nastroju mogła być mama. Nabrałem powietrza i na tak długo, na ile starczyło mi odwagi, pozwoliłem, żeby telefon dzwonił, aż wreszcie odebrałem.

– Gdzie jesteś? – warknęła.

– U Lizzie.

– Will jest z tobą?

– A gdzie ma być.

– Tylko nie tym tonem. – Wyobraziłem sobie, jak siedzi na krześle w korytarzu, a jasnobrzowa grzywka opada jej na twarz. Miała takie same włosy jak Will. Ja jestem rudy jak ojciec. – Pilnujesz go?

– Mamo, on ma prawie siedemnaście lat.

– Ale wiesz, że jest bardzo wrażliwy.

Zacisnąłem zęby.

– Tak, pilnuję go.

– Musisz się nim opiekować, Ben.

– Tak, mammo.

– To jego najbardziej dotknęło odejście ojca.

– Wiem, mammo.

Jej ton się zmienił.

– Tylko żebyście niczego tam nie jedli. Czekam na was z obiadem.

– Tak, mamó. To znaczy: niejemy.

Pozwalała nam jeść tylko to, co sama przygotowała. W tym miesiącu przerabialiśmy dietę Atkinsa. Nigdy nie sądziłem, że kiedykolwiek zatęsknię za marchewką, a za talerz frytek normalnie dałbym się posiekać.

– Cały ojciec! Obiecujesz, a potem i tak robisz, co ci się podoba. – Zaczęła się nakręcać.

Pewnie już wstała z krzesła, a może i zaczęła chodzić.

– Przepraszam.

Odsunąłem telefon od ucha, żeby nie słyszeć jej tyrady.

– ...po odejściu ojca... jesteś odpowiedzialny... nie myśl sobie, że jesteś ponad to...

Odczekałem, aż się uspokoi.

– Wszystko jest w porządku. Naprawdę, mamó. Wrócimy na obiad.

– Obiecujesz?

– Zrób sobie herbatę, połóż się i odpocznij.

– To dobry pomysł, Ben. – Gdy jej głos złagodniał, odetchnąłem z ulgą.

Czy kiedy wyjedziemy z domu, będzie się martwić jeszcze bardziej? A może mniej? W końcu pozwoliła Willowi złożyć papiery i przystąpić do egzaminów na Oxford dwa lata wcześniej niż normalnie. Żeby móc się chwalić genialnym synkiem.

Wziąłem głęboki wdech.

– To na razie, tak?

Kiedy wróciłem do pokoju, Will podniósł głowę.

– Jak zwykle?

Rzuciłem telefon na łóżko.

– Jak zwykle.

Lizzie wcześniej wydrukowała papiery, ponieważ trzeba je było wypełnić ręcznie i wysłać pocztą. Pod moją nieobecność towarzystwo zabrało się do pracy. Carmen nuciła coś fałszywie nad swoim formularzem. Po chwili Lizzie podniosła się z dywanu i włączyła stary gramofon. Pokój wypełnił się głębokim głosem Niny Simone.

– Will? Myślisz, że mama pozwoli ci jechać z nami? – Lizzie wróciła do nawijania włosów na palce.

Miałem ochotę złapać ją za rękę, żeby przestała, ale zamiast tego mocniej ścisnąłem długopis.

– Pozwoli, na luzie – odpowiedział Will.

Aż prychnąłem.

– Wcale nie będzie „na luzie”. Ale myślę, że Will zdoła ją namówić. Łatwiej by było, gdybyśmy mogli podać w gazecie, że się zgłaszamy. To pewnie by jej się spodobało. Choć szansa na zdobycie dwóch milionów funtów też może ją przekonać.

– Nie rozumiem, po co mamy podpisywać jakąś durną klauzulę o poufności? Dlaczego nie możemy pochwalić się w gazecie? – Grady zmarszczył czoło. – To podejrzane. Gdyby ta cała sprawa była legalna, to ogłaszaliby się wszędzie.

– Przecież dali ogłoszenie w Internecie, Grady. – Lizzie postukała niecierpliwie ołówkiem. – A więc jest wszędzie.

– To wcale nie jest takie złe – zaproponowałem. – Bo im mniej ludzi wie o turnieju, tym większe mamy szanse, żeby przejść selekcję.

– A poza tym – dodała Carmen – naprawdę chciałbyś obtrąbić

w gazetach, że przystępujemy do turnieju? Gdybyśmy odpadli, wtedy od razu stalibyśmy się pośmiewiskiem. A gdybyśmy wygrali, to zaraz wsiedliby na nas, żeby wydebić kasę – tak jak od mojego wujka Javiego.

– Masz wujka milionera? – spytałem cierpko.

Carmen parsknęła śmiechem.

– Nie! Wujek wygrał na festynie roczny zapas szynki. Potem ludzie wydzwaniali do niego dniami i nocami, licząc na darmową wyzerkę. – Sturlała się z łóżka. – Nie wiem, jaką mam grupę krwi. Zadzwoń do Mami. Kto mi pożyczy komórkę?

– Znowu nie masz nic na koncie? – Lizzie rzuciła jej telefon.

Carmen złapała go w powietrzu.

– Nigdy nie mam nic na koncie. – Tanecznym krokiem odpłynęła na korytarz i zeszła po schodach. – Buenos días, pani Bellamy. Cudownie dziś pani wygląda!

Pod nieobecność Carmen zacząłem wypełniać swój formularz i podniosłem głowę dopiero wtedy, gdy wskoczyła na łóżko, ogłaszając:

– Jakby ktoś pytał, to mam 0 Rh-.

– Dziwne, nie? – Lizzie ściągnęła brwi.

– Kobieto, przecież jestem Hiszpanką – powiedziała Carmen, jak gdyby to cokolwiek wyjaśniało.

– Tak naprawdę – odezwał się Grady – to znaczy, że jesteś potomkinią nefilimów... albo kosmitów. Opinie na ten temat są podzielone. Wyślę ci link.

Carmen znów się wyszczerzyła.

Lizzie dźgnęła mnie ołówkiem.

– Doszedłeś już do części drugiej, Ben? Te pytania są porąbane. Posłuchajcie: „Przetrwają tylko najlepiej przystosowani. Przegrani



się nie liczą”.

Przewróciłem stronę.

– Jeszcze nie...

– Ciekawe, jak mamy odpowiedzieć. To znaczy: które odpowiedzi będą punktowane najwyżej. Spójrz. – Wcisnęła mi swój formularz.

Wskazałem pytanie na dole strony.

– To chyba proste, nie? Trzeba zaznaczyć: „Zdecydowanie się zgadzam”. Niech wiedzą, że jesteśmy rozważni, będziemy działać z głową i nie wpakujemy się w żadne kłopoty.

Wybierz odpowiedź, która najlepiej odzwierciedla twoją reakcję na każde z poniższych stwierdzeń. Prosimy o szczerą odpowiedź.	Zdecydowanie się nie zgadzam.	Trochę się nie zgadzam.	Nie mam zdania na ten temat.	Trochę się zgadzam.	Zdecydowanie się zgadzam.
<i>Przetwarzają tylko najlepiej przystosowani. Przegrani się nie liczą.</i>					
<i>Wielokrotnie wpadam w kłopoty z tego samego powodu.</i>					
<i>Jeśli mi się upiekło, to znaczy, że można było tak postąpić.</i>					
<i>We współczesnym świecie dozwolone są wszystkie środki, które pozwalają osiągnąć cel.</i>					
<i>Często się nudzę.</i>					
<i>Zanim coś zrobię, zastanawiam się nad możliwymi konsekwencjami.</i>					

– A więc Carmen będzie musiała ściemniać. – Lizzie uchyliła się przed rzuconą przez Carmen poduszką. – Ale tak na serio to nie wiem, czego oni od nas oczekują. – Spojrzała na Willa. – Jak myślisz? Mamy napisać prawdę?

– Pytasz mnie, czy sędzę, że powinniśmy zmanipulować system? – Will skrzyżował ręce na piersi i wykrzywił usta w swoim typowym, lekko zjadliwym uśmiechu.

Spojrzałem na swój formularz.

– Naprawdę chcesz kłamać, Lizzie?

– Dla miliona funtów? No ba! – wykrzyknęła.

Potrząsnąłem głową.

– Tutaj jest dwieście pytań. Ten kwestionariusz jest tak skonstruowany, żeby nas złapać na kłamstwie. Poza tym tak naprawdę nie wiemy, jakich cech szukają u kandydatów, więc myślę, że powinniśmy odpowiadać szczerze.

Will kiwnął głową.

– Ben ma rację.

– Ty chcesz być szczerzy? – Lizzie wytrzeszczyła oczy. – Ty, Will Harper? – Odwróciła się do Carmen, która włosy z różowymi końcówkami przerzuciła przez ramię. – Carmen?

– Łatwiej będzie napisać, jak jest. I zabawniej.

– Zgadzam się. – Grady podrzucił długopis, ale nie udało mu się go złapać.

– A jakżeby inaczej – mruknęła Lizzie. – Dobra. Ale jeśli nas odrzucą, zanim dojdziemy do loterii, to będzie wasza вина.



IRON TEEN

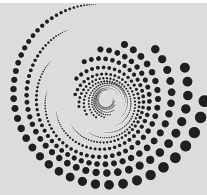
1. Do Elizabeth Bellamy, Torbena Harpera, Williama Harpera, Grady'ego Jacksona i Carmen Holguín. Gratulujemy przyjęcia do tegorocznej edycji turnieju Iron Teen organizowanego przez Fundację Golda.
2. Prosimy stawić się 17 sierpnia o godzinie 10 w Terminalu 1 na lotnisku w Bristolu. Przypnijcie identyfikatory znajdujące się w niniejszym pakiecie startowym.
3. Polecicie bezpośrednio na Wyspy Owcze prywatnym samolotem linii Goldstar, lot nr GF124.
4. Przed wylotem prosimy się zaopatrzyć we wszystkie niezbędne przedmioty, ponieważ po wejściu na pokład nie będzie już możliwości

dokonania zakupów.

5. Osoby spóźnione nie zostaną wpuszczone na pokład.
6. Lądowanie na lotnisku polowym na wyspie Fetlar planowane jest o godzinie 13. Pozostałe zespoły będą już na miejscu. Przewodnik odbierze Was z lotniska i wskaże miejsce przeprawy na wyspę Aikenhead, ale przesmyk będziecie musieli pokonać samodzielnie.
7. Aikenhead jest prywatną wyspą należącą do p. Marcusa Golda. Znajduje się tam wiele jaskiń. Faunę stanowią głównie owce, foki i ptactwo morskie, w tym maskonury. W wyszukiwarce Google nie znajdziecie wzmianki o Aikenhead, dlatego prosimy o zapoznanie się z broszurą dołączoną do pakietu startowego. Zawiera ona informacje na temat miejscowej fauny i flory oraz przeglądową mapę wyspy, do której odtąd będziemy się odnosić.
8. Po przeprawie na Aikenhead prosimy udać się do miejsca oznaczonego współrzędnymi 53.10: -04.21, gdzie umieszczono pierwszy punkt kontrolny na szlaku. Znajdziecie tam pierwszą wskazówkę odnośnie kodu potrzebnego do otwarcia zamkniętej skrytki umiejscowionej w następnym punkcie kontrolnym oraz koordynaty tego punktu.
9. Zamknięte skrytki będą się znajdować we wszystkich punktach kontrolnych. Elizabeth Bellamy, będąca kapitanem Waszego zespołu, potwierdzi przybycie zespołu do punktu kontrolnego, skanując odcisk kciuka w czytniku znajdującym się w skrytce, co pozwoli na jej otwarcie. W środku będzie się znajdować skrzynka geocache, której zawartość należy każdorazowo zabrać i zastąpić czymś o równej lub większej wartości.
10. Zwycięży drużyna, która dostarczy zawartość wszystkich skrzynek geocache do ostatniego punktu kontrolnego w najkrótszym czasie.

## SKAN LINII PAPILARNYCH

Elizabeth Bellamy, ponieważ jesteś kapitanem zespołu, Fundacja Golda będzie potrzebować skanu linii papilarnych Twojego kciuka. Zainstaluj wskazaną aplikację na urządzeniu mobilnym z systemem iOS 8.0 lub późniejszym, a następnie przyłóż kciuk do skanera, wykonaj polecenia na ekranie i naciśnij przycisk „PRZEŚLIJ”. Bez dopełnienia tej formalności Twój zespół nie zostanie dopuszczony do udziału w turnieju.



FUNDACJA  
**GOLDA**

---

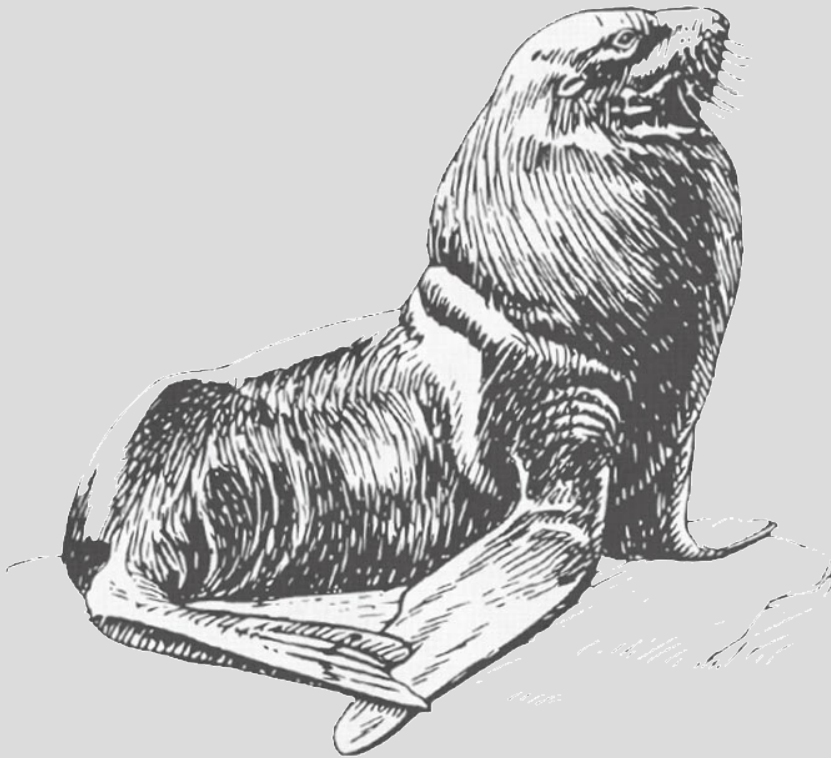
**D. Hodgekiss**

## **Flora i fauna wyspy Aikenhead**

**Opublikowano za zgodą Fundacji Golda**

Ostatni lodowiec ustąpił z powierzchni wyspy Aikenhead około 10 tysięcy lat temu, w wyniku czego możemy teraz oglądać nagi, skalisty krajobraz wypełniony złomami skalnymi, żwirem, piaskiem i błotem. Z czasem pojawiły się tam drzewa: wierzba, leszczyna, jarzębina, topola i brzoza. W epoce brązu warunki klimatyczne uległy pogorszeniu, pozostawiając po sobie wrzosowiska z bagnami torfowymi oraz łąki, praktycznie bez żadnej otuliny leśnej. W ostatnich latach Fundacja Golda dokonała miejscowych nasadzeń jarzębiny i brzozy w celu odświeżenia ekosystemu wyspy.

Wiejące nad wyspą wiatry znad północnego Atlantyku osiągają w porywach 278 km/h. Erozja w wyniku działania fal wytworzyła klify, jaskinie, łuki skalne i długie, wąskie zatoki wcinające się w skaliste wybrzeże (geo). Od południa opływa wyspę stosunkowo ciepły Prąd Północnoatlantycki. Tamtejsze wody są bogatym źródłem planktonu stanowiącego podstawę żywienia dla różnorodnej fauny morskiej. W wodach Szetlandów zidentyfikowano ponad osiemnaście gatunków walen. Gatunki najpowszechniej występujące wokół Aikenhead to orki, delfinowce białonose, delfinowce skośnozębe i delfiny Risso. Pojawiają się też płetwale karłowate. Częstymi gośćmi są tu foki szare (szatynki morskie) i pospolite. Jesienią przyplływają do jaskiń na Aikenhead, żeby wydać na świat młode. Foki szare mają wydłużony nos i są mocnej budowy ciała (dotyczy to zwłaszcza samców, które mogą mierzyć 210 cm długości i ważyć 230 kg). Foki pospolite są mniejsze. Ich samce osiągają od 140 do 190 cm długości i mają okrągłejsze głowy, bardziej przypominające głowę psa. Widuje się tam również wydry, zwłaszcza w zatokach, do których spływają strumienie.

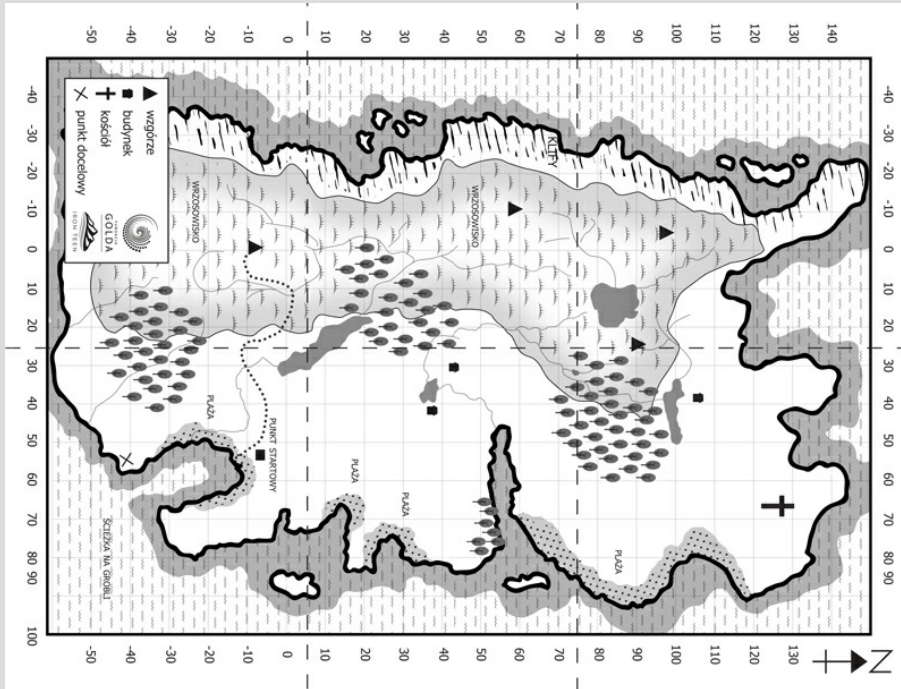


Sięgające 130 metrów wysokości przybrzeżne klify Aikenhead stanowią naturalne siedlisko dla gniazdującego na skałach ptactwa morskiego, którego populacja przekracza 70 tysięcy osobników. W okresie od kwietnia do września przebywa tu bardzo liczna kolonia głuptaków białych, pikujących do wody z wysokości trzydziestu metrów w celu połowu makreli i innych ryb. Jest to widok zapierający dech w piersiach. Od maja do września gniazdują na klifach również fulmary zwyczajne, rissy, kormorany czubate, nurniki zwyczajne i mewy. Bytuje tam też liczna kolonia maskonurów.

Ciągnące się ponad klifami wrzosowiska zamieszkiwane są przez wydrzyki wielkie (skua). Należy zachować ostrożność, ponieważ atakują one intruzów na swoich terenach lęgowych. Słodkowodne jeziora wyspy są terenami lęgowymi nurów rdzawoszyich. Ptaki te wydają charakterystyczny wysoki okrzyk: „Ja-ruu! Ja-ruu! Ja-ruu”!

Roślinność nie osiąga dużej wielkości i jest niskopienna. Względnie obficie rośnie tu wierzba karłowata. Znaczną część powierzchni Aikenhead

pokrywają wrzosowiska, czyli grzęzawiska torfowe porośnięte szorstkimi trawami, roślinami ciborowatymi, na przykład wełnianką, wrzosem, orchideą czy łąmką zachodnią. Natomiast na piaszczystych glebach polodowcowych rosną głównie wrzos i trawy oraz kilka rzadszych gatunków, takich jak podejźrzon, i storczykowate (ozorka zielona i gółka długoostrogowa), ukwap dwupienny oraz len przeczyszczający.



## Rozdział pierwszy

Kiedy dotarliśmy na miejsce, przesmyk był suchy, a odpływ cofnął wodę tak daleko, że widać było tylko ciągnący się kilometrami mokry piasek. Wyspę Aikenhead skrywała szara, gęsta mgła.

– Ostrożnie, mała. – Starszy gość w kurtce z logo Fundacji Golda stał przy budce telefonicznej. Wiatr rozwiewał jego przerzedzone włosy. – Kamienie są wciąż mokre.

Carmen ukryła uśmiech i pozwoliła mężczyźnie wziąć się za rękę i sprowadzić na dół.

– Pamiętajcie – ciągnął – że trzeba trzymać się grobli Golda. Tam dno uniesie nawet dziesięciotonowego tira, ale jeśli zejdziecie z przejścia, to szlag was trafi. Za półtorej godziny wraca przypływ i cały ten piach znajdzie się pod wodą, a prądy są tu cholernie silne. Musicie być na Aikenhead przed wpół do trzeciej.

– Ustawię alarm na drugą. – Will odsunął rękaw, pokazując smartwatch, który mama kupiła mu przed wyjazdem.

Ja miałem stary wojskowy zegarek po dziadku. Też działał.

– Na Aikenhead nie ma żadnych wi-fi sri-fi, młody. Nie pogracie se w „Angry Birds”. – Stary spojrzął na cacko Willa i zgiętymi paluchami ujął nazwę gry w cudzysłów.

– Bez Internetu też sobie poradzimy – odpowiedziała szybko Lizzie. – Will, nie włączaj alarmu, ale pilnuj godziny. – Znow odwróciła się do starego. – Jesteśmy ostatnią grupą na miejscu?

– A i owszem. Przedostatnia wyszła godzinę temu. Na was też już pora. I nie zapominajcie: z prądami nie ma żartów.



– Będziemy pamiętać. Do zobaczenia za kilka dni. I dzięki za pomoc. – Carmen pomachała mu i razem z Lizzie weszły na groblę.

Will i Grady ruszyli za nimi.

Po kilkuset metrach spojrzałem za siebie. Mgła spowiła już miasto i czerwona budka telefoniczna zniknęła.

Wąską drogę wznoszącą się lekko nad piaszczystym dnem wyznaczał szereg boi.

– Grobla wynurza się tylko co trzy dni? – Kiedy tupnąłem wojskowym butem, podłoże wydało pusty dźwięk.

– Facet kupił wyspę. To chyba jasne, że nie życzy sobie nieproszonych gości. – Lizzie wzruszyła ramionami.

– Ciekawe, dlaczego akurat co trzy dni? – zastanowił się Grady.

– Może wtedy ma dostawy – powiedział Will. – To lotnisko też nie jest cały czas otwarte.

– Przecież on nie mieszka na tej wyspie, Will. – Grady się zmarszczył. – Ma domy na całym świecie.

– Ale ktoś musi tam mieszkać. – Carmen potrząsnęła głową, a jej włosy rozwiały się na wietrze. – Na co komu prywatna wyspa, jeśli tam nie przebywa?

Kolejne boje wyłaniały się z gęstej mgły dopiero kilka kroków przed nami. Niewidoczne mewy krzyczały nad naszymi głowami. Dźwięk odległej pieśni wieloryba, przypominający melodię graną na tubie, wrył nas w ziemię. Staliśmy i wsłuchiwalismy się z sercem w gardle.

W końcu przez mgłę przebił się promyk słońca i w oddali dostrzeżliśmy brzeg wyspy. Na łupkowych klifach tłoczyły się jasne ptaki. Wtedy po raz pierwszy zobaczyliśmy piasek na plaży po drugiej stronie przejścia.

– To jak, wymyśliliście już, co zrobić z kasą? – spytała Lizzie.

– Wiesz, co ja z nią zrobię. – Carmen obeszła głaz, który nurt pływowy wtoczył na groblę. – Skończę weterynarię i otworzę własną lecznicę dla zwierząt – rozmarzyła się. – Będę się specjalizować w leczeniu koni.

– A ty, Will? – Lizzie przekrzywiła głowę. – Na co je wydasz?

– Firmę założę. – Will poprawił plecak. – Projektowanie apek, doradztwo. Coś w tym guście.

Lizzie zwolniła kroku i zrównała się ze mną.

– Ben, a ty?

Odwróciłem wzrok.

– Nie myślałem o tym.

– Ściemniasz. – Trąciła mnie w bok. – Na pewno masz jakiś pomysł.

Potrząsnąłem głową.

– A sama co planujesz?

– Spłacę kredyt i będę miała na chesne, na uniwersytet, żeby tata mógł przejść na emeryturę. Kupię dom. No weź, na pewno masz jakąś listę życzeń!

– Ja to bym je zainwestował! – zawołał Grady. – Z taką kasą nareszcie mógłbym odkryć... prawdziwe... oblicze świata. – Marsz skracał mu oddech. – Potem założylibym... własną gazetę. Już sobie wszystko... obmyśliłem. Dam jej tytuł... „Prawdziwe Konspiracje”.

Zatrzymałem na nim wzrok.

– Coś ty naładował do tego plecaka, Grady? Wygląda, jakby ważył tonę.

Grady nie był aż takim cherlakiem, więc skoro tak bardzo dostawał w kość, jego tobolek musiał być naprawdę ciężki.

– No wiesz, przecież mnie znasz.

Machnął ręką.

– Mieliśmy ustalone, co wszyscy zabierają. – Okulary i kolczyk w nosie Lizzie błysnęły refleksem światła. – Zgodnie z listą.

– Nie chciałem... zapomnieć o czymś... ważnym. – Grady opuścił głowę i poprawił ułożenie plecaka, w którym coś szcęknięło jak w starym samochodzie.

Pokręciłem głową i spojrzałem na Lizzie. Wzruszyła ramionami i przez chwilę szła w ciszy.

– Oddałbym wszystkie pieniądze Willowi na rozkręcenie firmy – odpowiedziałem cicho, żeby tylko ona mogła usłyszeć. – W końcu to on jest mózgowcem, a ja tylko tępym mięśniakiem.

– Wcale nie jesteś tępym. – Lizzie ściągnęła brwi. – Od kiedy masz o sobie takie zdanie?

– Jestem, jestem. No weź, Will nie ma nawet siedemnastu lat, a już idzie na studia.

– Ty też. Na inżynierię!

Odchrząknąłem.

– No, właśnie... nie idę. Matka chce, żebym znalazł pracę w Oxfordzie i miał oko na Willa.

Lizzie stanęła jak wryta.

– Ale... co z naszymi planami? Mieliśmy być blisko siebie. Oxford jest hektar od Swansea!

Zaczerwieniłem się.

– Będę do ciebie przyjeżdżać w odwiedziny. Poradzę sobie. Znalazłem jedną firmę, gdzie przyjmą mnie na staż, więc od razu będę zarabiał jako mechanik.

– Ale przecież... nie tak to sobie wyobrażałeś. Chciałeś móc pracować na całym świecie, nie? Miałeś budować lepsze domy, szkoły odporne na trzęsienia ziemi...

– Proszę cię, Lizzie. Muszę tak zrobić. Poza tym matka kupi mi

samochód. Będziemy mogli jeździć w różne miejsca.

– W nosie mam samochód. – Odwróciła wzrok. – Ale to twoje życie, nie moje...

Zacisnąłem rękę na szelkach plecaka.

– Nie bądź taka.

– Nigdy nie zrozumieję, jak to jest, że twoja matka tak skutecznie trzyma cię w garści – zniżyła głos do szeptu. – Nie musisz wiecznie zastępować swojego ojca. Nie chcesz się przekonać, kim możesz zostać, kiedy wreszcie przestaniesz być niańką dla brata?

Przemilczałem to. Bo i co mogłem na to powiedzieć...



– Przyjęli mnie. – Wpadłem ślizgiem do kuchni. – Mamo, dostałem się!

Matka była przy zlewie, skupiona na szorowaniu naczyń. Nie odpowiedziała.

Automatycznie wyjąłem z szuflady ścierkę, zdjąłem patelnię z suszarki i zacząłem wycierać, żeby nie zostały zacieki.

Kiedy nareszcie zdjęła rękawiczki i odłożyła je na bok, powtórzyłem nowinę.

– Dostałem się.

– Gdzie?

– Do Cardiffu, na inżynierię lądową.

Włożyłem ścierkę do pralki, zamknąłem drzwiczki i rękawem koszuli starłem ślady palców z uchwytu.

Matka odchrząknęła i rozprostowała swoją podkładkę na stole.

– A co z Willem?

– Z Willem? – Zmarszczyłem czoło. – On już zna wyniki. Idzie na Oxford, tak jak chciałaś.

– Tak. – Matka wytarła stół, jakby była na nim plama.

– A ja pójdę do Cardiffu.

Coś tu było nie tak. Czyżbym nie zasłużył nawet na uśmiech? Siedziałem na krześle naprzeciwko matki, gryząc paznokiec u kciuka.

– Poradzisz sobie. Nareszcie będziesz miała cały dom dla siebie. A w nim megaporządek, tak jak lubisz.

Zabrzmiało to tak, jakbym był bałaganiarzem. Ale wcale nim nie byłem. Nie przy niej. Spojrzałem na jej dłonie z kostkami obitymi od niekończącego się sprzątanania. Po zmywaniu miała wciąż podwinięte rękawy i widać było jej blizny. Szybko odwróciłem wzrok, a ona rozwinęła mankiety i zasłoniła nadgarstki.

Znów odchrząknęła.

– Miałam nadzieję, że...

– Że co?

– Że się nie dostaniesz – powiedziała w końcu, podnosząc na mnie wzrok. – Że ten problem nie zaistnieje.

Poczułem chłód w policzkach.

– Problem?

– Przecież wiesz, że nie możesz tam pójść. – Spojrzała na mnie wyzywająco. – Byłbyś za daleko od brata, a on cię potrzebuje.

– Ale... sama pozwoliłaś mu wcześniej złożyć papiery.

– Nie zamierzam stać na drodze do jego rozwoju – wybuchła. – Nie ze względu na...

– Na mnie. – Przełknąłem gorycz, ale nie pozwoliłem sobie na łzy. – I tak pójdę do Cardiffu.

– Nie zapłacę za to.

– Ojciec zapłaci.

– Ha! Jego nie stać nawet na wydatki związane z nową rodziną.

Zresztą będzie płacił za studia Willa...

– No to znajdę pracę.

– Chcesz pracować i studiować jednocześnie? Serio? Oprzytomniej.

Pochyliła się nad stołem i złapała mnie za rękę. Miała twarde palce.

– Ben, w głębi serca dobrze wiesz, że nie możesz zostawić brata samego. Jak byś się czuł, gdyby coś mu się stało? – Powieki jej się zwężyły. – Wiesz, że umarłabym, gdyby coś się stało. – Na ułamek sekundy uciekła wzrokiem do szuflady z zapasem leków przeciwbólowych, pigułek nasennych i antydepresantów. – Kocham cię, Ben, ale musimy zatroszczyć się o twojego młodszego brata. Jesteś za niego odpowiedzialny, tak samo jak ja.

– Mamo, a może ty mogłabyś się przeprowadzić do Oxfordu. – Spojrzałem na nią, ale już wiedziałem...

Złapała nerwowo powietrze.

– Przeprowadzić się?

Od jakiegoś czasu rzadko wychodziła z domu – swojego bąbla czystości i porządku, nad którym miała pełną kontrolę.

Pokręciła głową.

– Kupię ci samochód. Zastanów się nad tym. Przecież możesz być mechanikiem. Po tych całych studiach i tak skończyłbyś jako mechanik. A tak przynajmniej będziesz się uczył i jednocześnie zarabiał.

Poczułem się stary, jakbym miał sto lat. Wyjąłem list z kieszeni, zmiąłem go w kulkę i wrzuciłem do śmieci.

Uśmiechnęła się.

– Dobry z ciebie chłopiec, Ben. Nie wiem, co bym bez ciebie zrobiła. Większość chłopaków w twoim wieku nie jest taka

odpowiedzialna. Jednak nie najgorzej cię wychowałam, prawda?

Kiwnąłem głową i poszedłem zabrać deskorolkę spod drzwi.

– Wrócę na obiad.

– Potrzebujemy cię, Ben. Pamiętaj o tym – powiedziała głośniej. Odwróciłem się. Znów podciągnęła rękawy, odsłaniając nadgarstki. – Widzisz, co się może stać, kiedy nie robimy tego, co powinniśmy?



Jak mogłem to wytłumaczyć Lizzie? Czy by mnie zrozumiała? W końcu przyśpieszyła kroku i zrównała się z Carmen, zostawiając mnie samego.

Kiedy postawiłem kolejny krok, chlupnęło. Wokół nas pojawiły się kałuże, a w nich odbicia nieba ciężkiego od deszczu.

– Will, przyptyw już się zaczyna? – Nie udało mi się ukryć zaniepokojenia.

– Niemożliwe. – Will machnął ręką, ale nie spojrzał na zegarek. – Alarm jeszcze się nie włączył.

– Mieliśmy tylko... półtorej... godziny – wydyszał Grady.

– Ile nam zostało?

Will zerknął na zegarek i zmarszczył brwi.

– Nie może być.

Zatrzymałem się.

– Co?

– Ciągłe jest kwadrans po. – Wytrzeszczył oczy. – Zegarek mi się zawiesił.

– Will! – Grady jęknął. – Przecież miałeś pilnować czasu!

– Która jest godzina? Kto wie? – warknęła Lizzie.

Podciągnąłem rękaw. Zegarek dziadka tykał jak trzeba.

Przełknąłem ślinę.

– Alarm Willa powinien być się włączyć dziesięć minut temu, czyli upłynęło prawie półtorej godziny.

– Dobra. – Na twarzy Lizzie widać było determinację. – Trzeba będzie przyśpieszyć.

Chociaż zatrzymaliśmy się tylko na chwilę, piasek na grobli zdążył nasiąknąć. Kiedy postawiłem lewą stopę, mlasnęło i do buta wlała mi się woda.

Lizzie i Carmen wysforowały się na prowadzenie szybkim marszem. Były lżejsze od nas i miały lżejsze plecaki, więc łatwiej było im iść po mokrym piasku.

– Już mi się tu nie podoba! – krzyknęła Carmen.

Na czole rozprysła mi się duża kropla deszczu. Spojrzałem w górę.

– No, super. – Obejrzałem się przez ramię, żeby sprawdzić, czy Grady nie zostaje w tyle. Stał odwrócony, gapiąc się w ścianę szarości, która ciągnęła się po horyzont i oddzielała nas od wyspy, z której przyszliśmy. – Ruszaj się, Grady, bo nas zmyje.

Zrobił niepewny krok, zachwiał się i upadł jak długi.

– Hej, Grady, nic ci nie jest?! – zawołała Carmen.

– Spowalniasz nas, stary! – Chwyciłem go za plecak i, starając się samemu nie stracić równowagi, pomogłem mu wstać. – Musiałeś zabierać cały ten majdan?

– Może się przydać.

– A niech cię szlag. – Otaczające nas kałuże zaczęły się spajać w całość jak rozsypany na kawałki potwór z horroru, a poziom wody po prawej stronie podniósł się do poziomu grobli. – Zamieńmy się na trochę plecakami.

Grady się rozchmurzył.



– Jesteś pewien, Ben? Nie musisz mi pomagać.

Długi maz mokrego piasku na jego czarnej skórze wyglądał jak kamuflaż.

Pasek piersiowy miałem już rozpięty.

– Will, pomóż nam! – krzyknąłem.

Will nie zatrzymał się, kiedy Grady upadł, ale na moje wołanie wrócił i przytrzymał mój plecak. Pomogłem Grady’emu podnieść jego tobół, stękając, zarzuciłem go na plecy, a potem poprawiłem namoknięte szelki. Płótno jechało już potem Grady’ego. Od razu stałem się cięższy, a buty z chrzęstem wbiły się w piasek grobli.

– Dzięki, Ben. Uratowałeś mnie.

– Kiedy tylko staniemy na suchym lądzie, z powrotem się zamieniamy. To twój tobół, więc sam go sobie nieś. – Poruszyłem ramionami, żeby znaleźć wygodne ułożenie szelek. – Co ty tam w ogóle masz?

– Gdy będziemy wracać, będzie trochę lżejszy – odpowiedział pogodnie.

– Wziąłeś dodatkowe żarcie?

– Bez cukru nie jestem w stanie funkcjonować – rzucił, wyprzedzając mnie.

– Ale musiałeś zabrać całą cukiernię?

– Pośpiesz się, Ben! – krzyknęła Lizzie.

Spojrzałem tam, gdzie wskazywała. Kałuże przed nami zaczęły się łączyć w jeziorka.

– Daleko jeszcze do tej wyspy? – mruknąłem do Willa.

Will ściągnął brwi.

– Zrobiliśmy trzy czwarte drogi. W siedemdziesiąt osiem minut.

– Czyli mamy jeszcze daleko?

– W tym tempie... dwadzieścia sześć minut marszu –

odpowiedział prawie bez zastanowienia.

– Ale przyływ będzie... za dwanaście?

Will kiwnął głową.

– Grobla znajdzie się pod wodą.

Przyjrzałem się drodze prowadzącej groblą w stronę wyspy: jeżeli zejdziemy w lewo, trasa będzie krótsza. Było tam też bardziej sucho, bo grobla jeszcze oddzielała ten teren od morza. Wbiłem wzrok w wodę wzbierającą między nami a plażą. Zbacząc w lewo, wylądowalibyśmy na wybrzeżu trochę dalej, ale przynajmniej nie musielibyśmy brodzić.

– A może pójdziemy tamtędy?

## Rozdział drugi

– Już niedaleko! – zawołała Lizzie. – Pomyślcie, jak będzie cudownie, kiedy wreszcie dotrzemy na wyspę.

Droga powrotna na Fetlar była już kompletnie odcięta. Boje po prawej stronie zaczęły się kiwać na wodzie, a grobla znalazła się pod powierzchnią. Poziom wody przed nami się podnosił. Ostatnie suche miejsce na naszej nowej trasie, tej, którą odeszliśmy od grobli, zalała woda.

Jęknąłem, bo ciężki plecak Grady’ego wpijał mi się boleśnie w ramiona.

W czasie odpływu na grząskim piachu wokół nas pozdychało mnóstwo meduz. Były grube, przezrocyste i oślizgłe. Teraz i one kiwały się na wodzie, wlekąc za sobą długie macki z parzydełkami, które ocierały mi się o nogi.

Nie spuszczać oczu z Aikenhead, naszej docelowej wyspy, parłem przed siebie siłą woli. Nowa trasa prowadziła do wąskiego wcięcia w klifie między skałami obrosniętymi przez wodorosty. Plan był taki, żeby wspiąć się na klif i górą przejść do pierwotnego punktu startowego.

Do moich uszu dobiegło ciche pikanie.

Carmen włożyła rękę do kieszeni.

– Ja też nastawiłam alarm – wyszeptała.

Teraz przebywanie na piasku było na pewno niebezpieczne. Czas nam się skończył.

– Słuchajcie, ruszamy biegiem! – zawołała Lizzie.

Carmen kiwnęła głową i zaczęła biec truchtem, rozchlapując wodę przede mną. Próbowałem dotrzymać im kroku, ale przez plecak Grady’ego ledwie udawało mi się iść, noga za nogą, więc o biegu nie było mowy.

Plecak był wyregulowany pod Grady’ego, dlatego szelki piły mnie pod pachami jak diabli. Czuję, że zrobiły mi się pęcherze. Jeśli jeszcze trochę go tak poniosę, a one pękną, to mogę dostać jakiegoś zakażenia, a to będzie prawdziwy problem dla całego zespołu. Woda sięgała mi już do kolan, ale nie miałem wyboru – musiałem się zatrzymać i wyregulować plecak. Tymczasem pozostali dotarli już do skał.

Odpiąłem pas piersiowy i biodrowy, a potem – poruszając ramionami – zsunąłem plecak na łokcie. Ulga była tak wielka, że aż jęknąłem.

– Co ty wyprawiasz, Ben? Nie możesz tak nieść plecaka! Musimy zleźć z tych skał, zanim przyplływ je też odetnie. – Lizzie balansowała na głazie pokrytym pąklami.

Deszcz siekł ją po plecach, przylepiając włosy do głowy.

Miała rację. Poluzowałem szelki i ponownie wciągnąłem plecak na ramiona. Ale kiedy chciałem ruszyć, okazało się, że nie mogę.

– Co jest...? – Spróbowałem wyszarpnąć lewą stopę, ale ona ani drgnęła, jakby ją ktoś wmurował.

Woda chlupotała mi już wokół bioder.

– Ben?! – Głos Lizzie zabrzmiał o ton wyżej.

– Nie mogę się ruszyć!

– Jaja sobie robisz? – Carmen stąpała ostrożnie z głazu na głaz w stronę morza. – Co się dzieje? ;*Vamos!*<sup>1</sup>

Will gorączkowo kalkulował, co robić.

– Stary mówił, że poza groblą jest niebezpiecznie. – Przekrzywił

głowę. – To znaczy, że Ben wszedł w ruchome piaski.

Carmen zakryła usta.

– ¡Dios mío!<sup>2</sup>

– Chyba tak, bo się zapadam. – Piasek zaciskał się już ciasno wokół moich łydek. – Będę musiał zdjąć plecak. Chodź i go zabierz, Grady.

– Dobra. – Grady zdjął mój plecak i oddał go Willowi, po czym zlął ze skał do wody. Złapał gwałtownie powietrze, zatrząsł się i zatrzymał po kilku krokach, obejmując się ramionami. – Zaraz! Jeśli do ciebie podejdem, to też wpadnę w ruchome piaski, nie?

– No, chyba tak.

Zapadałem się dość szybko, ale nie próbowałem się z nich wyrwać. Wszyscy wiedzą, że w ruchomych piaskach szarpanina tylko pogarsza sprawę.

– Tylko się nie szarp! – krzyknęła Lizzie.

Przewróciłem oczami. Will również.

Carmen spojrzała na Lizzie.

– Co robimy?

Coś otarło się o mnie pod wodą i prąd pociągnął mnie w bok. Rozpaczliwie starałem się utrzymać równowagę, a woda sięgała mi już do brzucha. Zmroził mnie strach. Tak, słyszałem kiedyś o pływach wzbierających szybciej niż biegnący człowiek, ale wtedy w to nie wierzyłem.

Lizzie nie odpowiedziała. Widziałem, że Will jak szalony obmyśla wyjście z sytuacji, rozważa opcje i odrzuca je po kolei. Oczy migotały mu jak ekran komputera.

Serce mi łomotało. Gold nie pozwoli, żeby któreś z nas się tu utopiło. Na pewno ktoś nas obserwuje i zaraz przyjdzie z pomocą, prawda? I wtedy przypominałem sobie wszystkie klauzule

o wyłączeniu odpowiedzialności, które musieliśmy podpisać.

– Idę do ciebie, Ben! – Lizzie ułożyła swój plecak wysoko na skale.

Deszcz łomotał o jego płótno. Wetknęła okulary do bocznej kieszeni i wskoczyła do morza. Syknęła od ukąszenia lodowatej wody, ale brnęła naprzód. Minęła Grady’ego, nawet na niego nie patrząc.

– Co chcesz zrobić?! – zawołał Grady.

Zatrzymała się dopiero półtora, dwa metry ode mnie i podniosła rękę, żeby osłonić twarz przed siekącym deszczem.

– Tutaj piasek robi się miękki.

– Cofnij się! – Carmen splotła nerwowo dłonie.

– Jakim cudem my w nie nie wpadliśmy? – Lizzie potrząsnęła głową. – Chyba mieliśmy więcej szczęścia. Możesz pchnąć plecak Grady’ego do mnie?

– Prąd go porwie – powiedziałem.

– Przejdź tam. – Lizzie przesunęła się w bok, a ja pchnąłem plecak w jej stronę.

Od razu zanurzył się pod własnym ciężarem, a prąd odciągnął go na bok. Lizzie sięgnęła po niego i wyszarpnęła spod wody, ale był tak ciężki, że aż się zatoczyła.

– Weź go, Grady! – wrzasnęła.

Grady przytelepał się bliżej, a Lizzie wepchnęła mu plecak.

– Moja elektronika! – Gapił się na plecak jak porażony.

Lizzie pchnęła go w stronę skał.

– Kiedy przestanie padać, wysuszymy, co się da. Idź!

Uwolniłem się od ciężaru plecaka, ale zapadłem się w grząski piasek już powyżej kolan. Woda chlupotała pod moją brodą.

Odpychając się rękami, Lizzie jak szalona walczyła z nurtem,

żeby utrzymać się w miejscu.

Nagle Will odpiął karimatę z góry plecaka i zaczął brodzić w moją stronę. Kiedy zrównał się z Lizzie, wyciągnął ku mnie piankę.

Udało mi się chwycić jej koniec. Skapowałem, co wymyślił Will.

– Dobra, możesz puścić. – Objąłem ramionami pływającą piankę i poczułem, że uścisk piasku słabnie.

Karimata nie miała dostatecznej wyporności, żeby mnie uwolnić, ale przynajmniej już nie tonąłem.

– Co teraz? – Lizzie była blada. – Czas nam się już kończy.

Złapała Willa gwałtownie, bo nurt podciął jej nogi.

– Carmen! – krzyknął Will, pomagając stanąć Lizzie dławiącej się wodą. – W przedniej kieszeni plecaka, obok szpilek do namiotu i toporka, mam saperkę.

Carmen uklękła przy jego plecaku. Po minucie odgarnęła kosmyki włosów przyklejone do twarzy i uniosła saperkę.

– Daj ją Grady'emu.

Nagle świat zadrżał w posadach. Po niebie przetoczył się grzmot.

– To jest najgorszy sierpień w historii! – Grady wepchnął swój przemoczony plecak na skały i wziął saperkę. – Gdzie jest słońce? – Zmarszczył się. – Słyszeliście o projekcie HAARP? Prowadzą badania nad kontrolą pogody. Założę się, że Gold też. I to może być...

– Nie teraz, Grady! – wydarła się na niego Lizzie.

Deszcz łomotał w nas jeszcze mocniej. Zamrugalem, żeby pozbyć się wody z oczu.

Will przejął saperkę od Grady'ego i ją rozłożył.

– Odkopię cię. Tylko się nie szarp.

Zanim zdążyłem coś powiedzieć, mój brat wziął głęboki wdech

i dał nura pod wodę. Chwycił mnie za udo, żeby nie zmył go nurt, i po chwili poczułem ostrą krawędź saperki na kolanie. Zaczął kopać.

Doliczyłem do trzydziestu, potem czterdziestu. Woda wokół mnie pociemniała od piasku, który Will wyrzucał z dna. Lizzie wstrzymywała oddech, utkwivszy we mnie wzrok. Poczułem, że noga mi się uwalnia, więc napiąłem mięśnie, żeby utrzymać równowagę. Wreszcie Will wynurzył się, żeby zaczerpnąć powietrza.

Co prawda karimata nie pozwalała mi utonąć, ale poziom wody wciąż się podnosił.

– To zajmie za dużo czasu – wydukałem zeszywniałymi z zimna ustami, szcękając zębami.

– Kto jeszcze ma saperkę? – spytał Will.

– Ustaliliśmy, że bierzemy tylko jedną – powiedziała Lizzie. – Ale możemy użyć czegoś innego – misek, garnków... – Ruszyła z mozołem w stronę brzegu. – Carmen, masz menażkę?

Po niebie przetoczył się kolejny grzmot, a mewy zerwały się z klifu z posepnym wrzaskiem.

Carmen wyciągnęła miskę i rzuciła ją Lizzie, po czym zamknęła plecak i zeszła po skałach do wody z menażką w dłoni.

Brnęły do mnie przez wodę, podtrzymując się wzajemnie, żeby nurt ich nie przewrócił. Długie włosy Carmen rozlały się po powierzchni wody jak plama ropy naftowej, a ich różowe końcówki przypominały macki jakiejś egzotycznej meduzy.

Kiedy dotarły do skraju ruchomych piasków, obie wzięły głęboki wdech i zanurkowały. Kopały dno naczyniami, uczipione moich ud. Czuję się jak tonący żeglarz, któremu pomagają syreny.

Grady szukał czegoś gorączkowo w swoim plecaku.

– Wiedziałem, że przyda się druga saperka! – krzyknął. – Gdzieś



tutaj ją mam.

Zakrztusiłem się, bo woda zalała mi nos. Lewą nogę miałem już prawie wolną, ale w tej pozycji trudno było walczyć z naporem prądu.

– Mam ją! – Grady zaczął płynąć.

– Grady, nie! – krzyknąłem, ale było za późno, bo nurt rzucił nim o skały. – Nie płyn, tylko idź po dnie...

Wstał, krztusząc się wodą. W jednej ręce dzierżył saperkę, a drugą obejmował swój łokieć.

Lizzie i Carmen wynurzyły się na powierzchnię, łapczywie chwytając powietrze. Ich zimne dłonie uczepliły się mojej piersi i ramion. Potem znów zanurkowały. Will poszedł w ich ślady.

Pode mną aż kłębiło się od ich wysiłków, ale sam mogłem tylko unosić się na karimacie i wypluwać słoną wodę.

Moja prawa noga zaczęła się powoli unosić i nagle, gwałtownie odzyskałem wolność.

Przez sekundę czułem niczym niezmaconą ulgę, a potem zdałem sobie sprawę, że to przecież ja – zagrzebany w piasku – trzymałem nas wszystkich w jednym miejscu jak kotwica.

Spróbowałem popchnąć Lizzie w stronę skał, ale nurt był za silny. Jedną ręką wciąż trzymałem karimatę Willa i udało mi się złapać spychaną przez wodę Carmen. Wcisnąłem jej karimatę i złapałem za linkę, tak że zaczęła majtać się za mną na powierzchni jak latawiec.

Will zacisnął zęby i usiłował płynąć, ale stał w miejscu.

– Grady! – wrzasnąłem.

Grady wgramolił się z powrotem na skały, odwrócił i zaczął gmerać przy pasku u spodni. Udało się. Rozpiął go i wyciągnął ze szlufek. Załapałem, co zamierza zrobić dopiero wtedy, gdy wyjął

syczoryk, rozciął końcówki paska i wyplótł z niego linkę spadochronową. Uwijał się jak w ukropie.

– Nieźle! – zakrzusilem się, bo wzbierająca woda zalała mi usta.

Grady rzucił linkę Willowi, który płynął szaleńczo pod prąd. Udało mu się pokonać mały dystans i złapać pływający koniec linki. Drugą dłonią chwycił Lizzie, a ja złapałem ją za stopę. Will owinął sobie linkę wokół łokcia. Reszta trzymała się kurczowo, a Grady zaczął ciągnąć nas do brzegu.

Lizzie i ja machaliśmy nogami, żeby mu pomóc. Woda podnosiła się coraz bardziej, budząc kraby w skalnych kałużach. Grady ciągnął. Linka przetarła koszulę Willa i wrzynała się w jego ciało. Krew zabarwiła wodę.

Poślizgnąłem się na podwodnej skałce. Aż krzyknąłem z bólu, ale puściłem nogę Willa i zacząłem gorączkowo szukać oparcia dla rąk. Will wymacał palcami jakąś szczelinę i przez chwilę unosiliśmy się na powierzchni w miejscu osłoniętym od prądu. Carmen przelazła po mnie do skalnej kałuży, a potem wyciągnęła rękę, żeby pomóc Lizzie.

– Jesteś cały?! – zawołał Grady.

Kiwnąłem głową i podniosłem wzrok.

– Plecaki!

Woda zaczęła zalewać już przybrzeżne skały i podmywać plecaki, więc wygrzebaliśmy się z morza i chwiejnym krokiem ruszyliśmy po nie, balansując po głazach.

Złapałem swój plecak i przeniosłem go wyżej, tam, gdzie nie mogła dosięgnąć go woda, a potem oparłem się ciężko o klif. Spojrzałem na Willa, który właśnie zakładał plecak.

– Ruchome piaski!

Pokiwał głową.

Lizzie klapnęła obok mnie. Wsunęła okulary na nos.

– Mogliśmy tam zginąć! – Carmen złapała Grady’ego i ucałowała go w policzek, aż mlasnęło. – Uratowałeś nas, Grady. – Potem objęła ramieniem Willa. – I ty też, Will.

– To nie był dobry początek wyprawy – stwierdził Grady poważnie.

Parsknąłem śmiechem, a po chwili chichotaliśmy już wszyscy.

Niebawem odechciało nam się śmiać, bo okazało się, że wody wciąż przybywa i to w wielkim tempie.

– Nie zamierzam iść po tych skałach – odezwała się Carmen. – Są ostre jak noże.

– Możemy się wspiąć na ten klif – stwierdziła Lizzie. – Czujesz się na siłach, Ben?

Pokiwałem głową.

– Kiedy już znajdziemy się na górze, to oszczędzimy sporo czasu.

Zanim ruszyliśmy, obejrzałem się. Poprzez zacinający na wietrze deszcz po drugiej stronie przesmyku dostrzegłem czerwoną plamkę budki telefonicznej. Zaplątana w załomach skalnych linka spadochronowa Grady’ego układała się w różne wzory na zbełtanej powierzchni wody. Zdrętwiałymi palcami ustawiłem alarm na moim zegarku od dziadka. Kiedy zadzwoni po raz trzeci, będzie można bezpiecznie się przeprowić przez przesmyk i wrócić do domu.

## Rozdział trzeci

Nikt nie oprotestował wspinaczki, mimo że Grady stał ze zranionym łokciem przyciśniętym do piersi. Deszcz łomotał w jego opuszczony kaptur.

– Najlepiej ruszyć od razu, Grady, zanim ręka zeszywnieje ci jeszcze bardziej. – W głosie Carmen dało się wyczuć współczucie.

– Wiem... – Przełknął ślinę. – I tak nie możemy czekać, bo woda wzbiera...

Spojrzał na Willa, a potem na mnie.

– Will nie jest niczemu winny – uprzedziła go Lizzie.

– Gdyby pilnował godziny, to zauważyłby, że zegarek mu nie działa. – Grady nie spojrzał Lizzie w oczy. – A Ben zaproponował ten cały „skrót”.

– Wybaczcie. – Zapinając pas piersiowy przy swoim plecaku, z ulgą stwierdziłem, że nie ociera o miejsca, w których tobół Grady’ego narobił mi pęcherzy.

– Ben niósł twój plecak, Grady – przypomniała mu Lizzie cichym głosem. – Gdyby ci nie pomógł, to nadal byłbyś na grobli.

Wskazała palcem morze, a my podążyliśmy za nim wzrokiem. Wydawało się, że morze było tam zawsze i to niemożliwe, iż właśnie w tym miejscu pokonaliśmy przesmyk na własnych nogach.

Grady zacisnął usta.

Spojrzałem na szczyt urwiska.

– Wspinamy się?

Lizzie kiwnęła głową.

– To najwyżej cztery metry. Około. I wygląda na to, że jest się na czym oprzeć. – Wkładała już cienkie rękawiczki. – Pamiętajcie, żeby na chwytach nie zaciskać rąk z całej siły, bo wam wysiądą przedramiona. – Potarła oczy i z powrotem włożyła okulary. – Najpierw przemieszczamy rękę albo nogę, a potem przenosimy ciężar ciała. Nie róbcie obu rzeczy naraz. Idźcie za mną i starajcie się korzystać z tych samych chwytów i stopni. – Popatrzyła w górę, żeby ocenić trasę. – Jeśli odpadniecie od ściany... – zawiesiła głos.

– Jeśli odpadniemy, to co? – podjąłem.

– Odepchnijcie się od niej jak najmocniej. Wtedy jest szansa, że nie uderzycie w osobę pod wami i spadniecie do wody, a nie na skały. Najlepiej spadać nogami w dół.

– To wszystko? – Grady jęknął. – Mamy spadać nogami w dół?

– Wolisz zwalić się na plecy i złamać kręgosłup? – Lizzie szukała już pierwszego chwytu.

Włożyłem obie dłonie pod pachy, żeby choć trochę je rozgrzać. Will rozciągał ramiona, chcąc rozruszać stawy. Na lewym rękawie koszuli miał krew.

– Dasz radę, Will? – zapytałem automatycznie.

Uniósł brwi.

– Ściągnien nie zerwałem. Rękę mam sprawną. – Nie ma co, był oszczędny w słowach.

Lizzie podciągnęła się na skałę.

– Pójdę ostatni – powiedziałem. – Rozwaliłem sobie nogę na skale. Nie wiem, czy wytrzyma mój ciężar.

Lizzie popatrzyła w dół zmartwiona.

– Albo uda mi się wspiąć, albo zostanę tutaj. – Rozłożyłem ręce.

Po chwili Lizzie znów ruszyła w górę.

Grady szedł przede mną, a Will – przed nim. Carmen wspinała się zaraz za Lizzie, naśladowując każdy jej ruch. Will przyglądał się jej uważnie. Patrząc na niego, prawie zapomniałem, jaki był w dzieciństwie. Prawie.



Miałem ze cztery lata, gdy po raz pierwszy zauważyłem, że coś jest nie tak. Nie pamiętam, dlaczego był wolny dzień w przedszkolu, ale z jakiegoś powodu razem z Willem byliśmy z mamą na zebraniu rodziców. Bawiłem się sam w kącie sali – jeździłem w tę i z powrotem zabawkowym tirem – kiedy zorientowałem się, że pomruk rozmów w tle ucichł. Napięcie zawisło w powietrzu – poczułem je na karku. Nagle zrobiło mi się chłodno. Mama mówiła o nowej zjeżdżalni w parku. Głos jej się łamał, jakby miała się rozpłakać.

Obróciłem się zaciekawiony. Wszyscy rodzice przyglądali się Willowi w milczeniu.

Mój brat wbijał wzrok w chłopca, który stał, przyciskając do piersi niebieską ciężarówkę. To był ulubiony kolor Willa. Zerwałem się na równe nogi i wrzasnąłem:

– Oddaj ją Willowi!

A zatem już wcześniej wiedziałem, że coś jest nie tak.

Chłopiec pokręcił głową. Will zacisnął pięści. Coraz bardziej czerwieniał na twarzy, aż wreszcie zaczął się trząść. Matki natychmiast wstały, zaczęły łapać własne dzieci i brać je na kolana. One też już wiedziały.

Mama chłopca z niebieską ciężarówką nie zareagowała na czas.

– Kate! – zawołał jakiś rodzic, ale ona zdążyła pokonać tylko połowę drogi do syna, kiedy Will wybuchł.

Gapiłem się jak sparalizowany na mojego brata, który tłukł, walił i kopał chłopca z niebieską ciężarówką, aż wreszcie go odciągnęli.

Strasznie przy tym wrzeszczał!

Później, kiedy emocje opadły, a mama siedziała z kubkiem herbaty w ręku, Will podszedł do innego chłopca. Chciał mu oddać niebieską ciężarówkę. Tamten pokręcił głową. Will nalegał. Kiedy chłopiec wreszcie sięgnął po zabawkę, Will obejrzał się, żeby zobaczyć, czy mama nie patrzy, i nadepnął mu na stopę.



Moje wojskowe glany z blachą ochronną kupione w sklepie z militariami nie nadawały się do wspinaczki. Owszem, można było maszerować w nich całymi dniami i zrzucić na stopę czołg, ale nie zapewniały żadnego czucia podłoża pod palcami i dobrej przyczepności. Powinienem był je zmienić na trampki.

Czterometrowy klif nie wydawał się być wielką górską ścianą, ale wisząc w połowie wysokości urwiska, miałem wrażenie, że woda jest bardzo daleko w dole. Zatrzymałem się, oparłem ciężar ciała na prawej stopie i przycisnąłem czoło do skały.

– Ben?! – krzyknęła Lizzie. – Wszystko okej? Jestem już na górze.

– Muszę odsapnąć. – Spróbowałem rozluźnić przedramiona.

Zbyt mocno ścisnąłem chwyt na skale, przez co moje ręce były bliskie skurczu. Odchyliłem głowę, uważając, żeby nie odsunąć się za bardzo od ściany. Nad krawędzią klifu Lizzie podała rękę Carmen. Will i Grady też prawie byli na górze. Ciężko dysząc, podciągnąłem się do następnego chwytu.

Gdy tylko Will pomógł mi wspiąć się na płaskowyż, padłem na plecy, a raczej na plecak, jak żółw na skorupę. Deszcz nareszcie zelżał, a chmury zaczęły się przerzedzać.

Usiadłem z jękiem i spojrzałem na Aikenhead. Kolumny światła słonecznego plamiły ciągnące się po horyzont wrzosowisko – fioletowo-zielono-brązowy patchwork mokrego wrzosu i ostrych

traw. Po prawej stronie majaczyła gęsta kępa drzew powykrzywianych przez wiatr. Teren przecinały proste linie walących się kamiennych murków bez zaprawy, a niedaleko nich – pasące się wolno owce.

Nagle odezwały się jakieś ptaki. Podniosłem wzrok. W górze wydrzyk wielki gonił mewę. Napastował ją zaciekle, aż wreszcie wypuściła z dzioba zdobycz. Wylądował, krzyknął – chyba na nas, po czym capnął kąsek i ponownie zerwał się do lotu, połyskując białymi łatami na skrzydłach.

Lizzie wybuchła śmiechem.

– A to łobuz!

– Możecie iść, chłopaki? – spytała Carmen. – Nie chcę was ponaglać, *chicos*<sup>3</sup>, ale jeśli się spóźnimy na odprawę, to przegramy, zanim wystartujemy.

– Carmen ma rację. – Lizzie wstała. – Musimy nadrobić stracony czas.

Wyjąłem z plecaka apteczkę i butelkę wody.

– Wezmę tylko paracetamol i mogę iść.

Wyciągnąłem pigułki w stronę Willa i Grady’ego.

Will wziął dwie, ale Grady pokręcił głową i sięgnął do plecaka.

– Mam swoje.

Jego apteczka była trzy razy większa od mojej. Lizzie wytrzeszczyła oczy. – Co ty tam masz? Aptekę tu będziesz otwierał?

Wlepiłem oczy w zapas medykamentów Grady’ego. Były tam prochy przeciwbólowe i przeciwzapalne, plastry, bandaże, różne środki odkażające, arnika, plastry ściągające (zamiast szwów), maść na ukąszenia owadów, pastylki do sterylizacji wody i przeciwalergiczne, nawet pigułki nasenne, a wszystko ułożone



kolorami w oddzielnych kieszonkach.

– Masz antybiotyki – stwierdził Will.

Grady kiwnął głową.

– Ojciec mi je przepisał „na wszelki wypadek”. A wiecie, że już wynaleźli lekarstwo na raka, ale wielkie koncerny farmaceutyczne trzymają je pod kluczem, żeby zarabiać grubą kasę na chorych? – powiedział prawie automatycznie, wprawnym ruchem wybierając paczuszkę mocnych pastylek przeciwbólowych, które zażył.

Zginając łokieć, skrzywił się, po czym zwinął apteczkę i wepchnął ją do plecaka, ale zamiast go zamknąć, zaczął w nim grzebać. Mina mu zrzędała.

– Wszystko przemokło. – Wyciągnął iPada.

Lizzie uniosła brwi.

– Wzięłeś tabletki?

– Włączy się? – Carmen dotknęła jego ramienia.

Grady westchnął.

– Oczywiście, że nie.

Lizzie spochmurniała.

– Czy ktoś z was ma działający telefon?

– Nawet o tym nie pomyślałem! – Cały czas miałem telefon w kieszeni. Wyciągnąłem go i spróbowałem włączyć, ale wiedziałem, że to nic nie da. – Will, będą niezłe jaja, jeżeli ktoś z Fundacji Golda zadzwoni do matki, kiedy się zorientują, że nie udało nam się przeprowić. Padnie z nerwów.

Wcisnąłem zdechły telefon z powrotem do kieszeni.

– Myślisz, że ktoś by do niej zadzwonił? – Zmarszczył brwi, po czym zwrócił się do Grady'ego: – A ty nie miałeś zabrać Iridium<sup>4</sup>?

– Grady odpiął boczną kieszeń plecaka i wyjął telefon satelitarny. – To model Extreme. – Podniósł cacko. – Odporny na

wstrząsy i pył oraz... na wodę! – Włączył go teatralnym gestem.

– Zadzwoń do swojego ojca – poprosiłem. – Powiedz mu, że jesteśmy cali.

Grady zmarszczył się, patrząc na telefon.

– Coś tu nie gra. – Potrząsnął nim, potem wyłączył i włączył. – To cholera miało działać nawet na biegunie północnym.

– Coś nie tak? – spytała Carmen.

– On ma zasięg na całym świecie! – Grady wydarł się, patrząc na telefon. – To niemożliwe. Satelity Iridium krążą po niskiej orbicie. Niemożliwe, żeby nie było zasięgu.

– A GPS? – spytała Lizzie.

Grady warknął.

– Nic. Ani jednej kreski. Tu się wyprawia coś dziwnego.

Carmen zrzędała mina.

– Więc nie możemy nikogo powiadomić, że jesteśmy cali?

Lizzie pokręciła głową i podeszła bliżej ścieżki na klifie.

– Znajdźmy punkt startowy, zanim zaczną dzwonić, że przepadliśmy.

Nikt nawet nie wyjął mapy, bo wiedzieliśmy, dokąd miała zaprowadzić nas grobla przecinająca przesmyk. Wystarczyło, że pójdziemy wzdłuż klifu i będziemy tam, gdzie mieliśmy wylądować.



– Hej, patrzcie, to chyba inny zespół? – Carmen wskazała palcem.

W naszą stronę szło pięciu roślących chłopaków w wojskowym kamuflażu. Ten na czele grupy wyróżniał się czupryną jeszcze bardziej rudą od mojej. Szli u podnóża klifu, a my – górą. Zaraz mieliśmy się minąć. Carmen zawołała do nich i pomachała.

Spojrzeni w górę, po czym spuścili głowy i przeszli od marszu do truchtu.

– I wzajemnie! – krzyknęła Carmen.

– To jest konkurencja, Car. – Will wyszczerzył się w uśmiechu. – Chyba nie chcą się spoufalać z przeciwnikiem.

– Mogliby odmachać. To żadne spoufalanie, tylko uprzejmość. – Skrzywiła się. – Oby spadli ze skały.

– Dokąd oni właściwie szli? – Lizzie ściągnęła brwi. – Myślicie, że to tam jest pierwszy punkt kontrolny?

– Może powinniśmy pójść za nimi? Wyglądali na takich, którzy wiedzą, co robią.

– Nie – zdecydowała Lizzie po chwili. – Możemy potrzebować czegoś z oficjalnego punktu startowego. Później ich dogonimy.

– Taaa, bo wyglądali na powolnych – mruknął Grady sarkastycznie.

Zrównałem krok z Lizzie. Carmen zwolniła, żeby iść z tyłu z Willem. Grady człapał w środku stawki, stękając z powodu ciężkiego plecaka.

Lizzie podniosła na mnie wzrok. W jej okularach odbiło się światło.

– Czyżby ta wyprawa miała być bardziej niebezpieczna, niż się spodziewaliśmy? Nikt nie przyszedł nam z pomocą w cieśninie. Mogłeś zginąć.

– Za pięć baniek trzeba się spodziewać niezłej jazdy bez trzymania – skomentował Will.

– No wiem, ale... jednak myślałam, że jakiś nadzór będziemy mieli.

– Nie potrzebujemy żadnego nadzoru, *chica*<sup>5</sup>. – Carmen wyszczerzyła się do Lizzie. – Dorośli tylko by nam zawadzali.

– Nie dotarliśmy jeszcze nawet do oficjalnego punktu startowego – przypomniałem jej. – Prawdopodobnie właśnie tam na nas czekają.

Nad głowami słońce rozgoniło ostatki chmur, ogrzewając nas swoim sierpniowym ciepłem. Uśmiech wypełził mi na usta – więc może jednak ubrania na nas wyschną.

– Patrzcie! – krzyknął Grady.

W oddali wieloryb wydmuchnął spienioną fontannę wody. Carmen aż pisnęła. Nawet Will przystanął, żeby popatrzeć, jak ssak wyskakuje nad powierzchnię, zatacza w powietrzu łuk i spada do morza z wielkim pluskiem. Carmen zrzuciła plecak z ramion i zaczęła szukać cyfrówki. Wycelowała obiektyw w połyskujące morze, ale po chwili zrobiła nieszczęśliwą minę.

– Aparat też padł.

– Patrzcie, maskonury! – wykrzyknęła Lizzie.

– Ale słodkie! – Carmen znów się uśmiechnęła. – Okej, *compañeros*<sup>6</sup>! – Klasnęła w dłonie. – Początek mieliśmy kiepski, ale odtąd czeka nas czadowa zabawa, a po niej milion funciaków dla każdego!

– Myślisz, że nadal możemy wygrać? – Grady uniósł brwi. – Żadna inna drużyna nie wpadła w ruchome piaski...

– No jasne, że możemy! – powiedziała Lizzie z przekonaniem. – Popełniliśmy jeden błąd, ale mamy go już za sobą. Odtąd działamy jak dobrze naoliwiona maszyna.

– No to spoko. Nie mogę się doczekać pierwszej zagadki. – Grady wyjął z kieszeni paczkę truskawkowych pałeczek i poczęstował wszystkich.

– Ja nie mogłam się doczekać wspinaczki, ale ją też mamy za sobą – zaśmiała się Lizzie, przeżuując.

– A ty, Will, czego nie możesz się doczekać? – Carmen trąciła go

łokciem w bok.

Wzruszył ramionami.

– Żeby pokonać inne drużyny? – Spojrzał na mnie.

– No właśnie, całej tej zabawy. – Podskoczyłem, udając, że robię hill-flipa na nieistniejącej deskorolce. – To będą trzy najlepsze dni w naszym życiu.

## Rozdział czwarty

Szliśmy dalej. Will włożył okulary przeciwsłoneczne, a Lizzie wcisnęła na głowę czapkę baseballową. Nienawidziła mieć piegów. Według mnie były urocze, jednak nigdy jej tego nie powiedziałem.

Schyliłem się, żeby zerwać bladożółty kwiatek. Bez zastanowienia zatknąłem go Lizzie za zausznik okularów.

– Nie powinniśmy zrywać dzikich kwiatów – skomentował Grady.

– Jesteśmy na wakacjach, *chico*<sup>Z</sup>! Wyluzuj. – Carmen wzruszyła ramionami.

– Widać stąd inne wyspy. – Lizzie nasunęła daszek, żeby osłonić oczy przed słońcem.

– To Unst – stwierdził Will.

Wbiłem wzrok w horyzont.

– Wpław się tam nie dotrze, za daleko.

Will kiwnął głową.

– Gdyby nie Grady, prąd zepchnąłby nas na pełne morze.

Wzdrygnąłem się.

– Właśnie.

Gdy okrążyliśmy cypel, Carmen wydała z siebie okrzyk entuzjazmu. Nie zważając na jej radosne okrzyki, poniżej wygrzewało się w słońcu sześć fok.

– Szkoda, że mam zamoczony aparat. Myślicie, że pozwoliłyby nam ze sobą popływać? – Wprost pochłaniała je wzrokiem.

– Ja to wcale nie wchodziłbym do wody – przypomniał jej Grady.

Carmen westchnęła smutno.

– Nigdy wcześniej nie widziałam foki. Nigdy też nie leciałam samolotem. Nawet jeśli nie wygramy tych pieniędzy, to i tak wyprawę będę uważać za udaną.



– Nigdy nie leciałam samolotem. – Carmen wyciągnęła szyję, żeby wyjrzeć przez okno.

– Nie odwiedzaliście rodziny w Hiszpanii? – spytała Lizzie.

– Oni przyjeżdżali do nas. Chcieliśmy wybrać się do nich na Boże Narodzenie, ale *papi* nie dostał urlopu... – Złapała powietrze przerażona, bo samolot, zmieniając kierunek lotu, przechylił się na jedno skrzydło, a potem zachichotała rozbawiona własnym strachem. – Czy w samolotach zawsze tak rzuca?

Złapała aparat, który o mało nie spadł jej z kolan, i ustawiła się do selfie z Lizzie.

Wyszczrzyły się do obiektywu. Kiedy błysnął flesz, pokręciłem głową.

– Nie. To jest mała prywatna maszyna. Dużym liniowcem by tak nie rzu... – Słowa ugrzęzły mi w gardle, bo samolot wpadł w turbulencje i rzucił nami o fotele jak ulęgałkami.

Carmen znów wybuchła śmiechem.

Przeniosłem wzrok na tył pustego fotela przede mną. Na zagłówku miał wyhaftowane logo Fundacji Golda.

Byliśmy jedynymi pasażerami w samolocie. Stewardesa wprowadziła nas tylko na pokład i powiedziała, że zespoły lecą z szczęściu różnych lotnisk w całym kraju. My byliśmy jedyną grupą z południowego zachodu, więc zobaczymy naszych rywali dopiero

wtedy, gdy znajdziemy się na docelowej wyspie.

Znowu rzuciło samolotem. Spojrzałem na Willa, który siedział po drugiej stronie przejścia.

– To lepsze od kolejki górskiej. – Wyciągnął swoje długie nogi.

Stewardesa wyjaśniła, że wylądujemy na większej wyspie i będziemy musieli przejść na mniejszą po dnie przesmyku.

– Nie rozumiem, dlaczego nie możemy od razu znaleźć się na właściwej wyspie, czyli Aikenhead? – zdziwiła się Carmen.

– Jest za mała i nie dość płaska. – Will popchnął swoją mapę w jej stronę. – Zobacz.

– Cudownie. – Carmen przewróciła oczami. – Przez kilka tygodni nie będę musiała używać cross trainera.

Pochyliłem się nad Lizzie, żeby spojrzeć na mapę.

– To jaskinie? – Wskazałem palcem.

Will kiwnął głową.

– Wyspa jest nimi usiana.

– Może nie będzie trzeba rozbijać namiotów. – Grady się wyszczerzył. – Jaki jest plan działań, kiedy już dotrzemy na wyspę?

– Jak najszybciej idziemy do punktu startowego, znajdujemy współrzędne i ruszamy do pierwszego punktu kontrolnego. – Lizzie podniosła na niego wzrok. – Chcę zaliczyć co najmniej jeden, zanim rozbijemy pierwszy obóz.

Kiwnąłem głową.

– Minimum.

– Jutro rano wyruszamy najwcześniej, jak się da. Jeżeli ograniczymy sen do sześciu godzin dziennie, to zdobędziemy przewagę nad resztą grup.

– Wydaje ci się, że inni nie wpadli na ten sam pomysł? – spytałem.



– Może. – Lizzie wzruszyła ramionami. – Uważasz, że powinniśmy spać jeszcze mniej?

– *Dios*<sup>8</sup>, nie!

– To tylko trzy dni, Car. – Lizzie parsknęła śmiechem. – Za milion funtów możesz trochę nie dospać, nie?

– Skoro tak to ujmujesz. – Carmen kiwnęła głową.

– Może powinniśmy się połączyć? – spytał Grady.

– Co? – Przeniosłem na niego wzrok.

– No, z innym zespołem. Wybrać któryś i współpracować?

– A po co? – spytał Will. – Mamy wszystkie potrzebne umiejętności. Zresztą to jest rywalizacja. Marzą ci się krzywe akcje pod koniec wyjazdu? – Will oparł głowę. – Zdrzemnijcie się. Wygląda na to, że przyda mi się trochę snu.



Zrównaliśmy się z kolonią fok, które odsunęły się z rezerwą i i jedna po drugiej ześlizgnęły pod wodę. Carmen przyglądała się ich ucieczce ze smutkiem w oczach.

Rozchwiany jak pijak znak przy skałach wskazywał miejsce nad wodą, w którym powinniśmy byli stanąć na wyspie: małą przystań i domek z drewna.

Wszyscy popatrzyliśmy w kierunku wskazywanym przez drewnianą strzałkę.

Lizzie ściągnęła brwi.

– Gdzie są ludzie z Fundacji Golda? Wiem, że mieliśmy sami przejść przez cieśninę, ale ktoś musi nas tu powitać.

– Może są w środku. – Wzruszyłem ramionami.

– Sprawdźmy. – Lizzie pierwsza odważnie ruszyła w dół pochyłości.

Poszliśmy za nią.

Stok był dość stromy, dlatego zmuszał do wydłużenia kroku. Musiałem się powstrzymać, żeby nie zacząć biec. Chwyciłem szelki plecaka.

– Jak myślicie, jakie będą inne zespoły? – Carmen przeczesiała włosy palcami, zrównując się ze mną.

Lizzie szła po drugiej stronie.

– Chyba takie jak my. – Lizzie się uśmiechnęła. – I raczej nie będzie wielu ludzi młodszych od Willa.

– Co tam obgadujecie? – Grady przeszedł do truchtu, żeby do nas dołączyć.

Klamoty w jego plecaku szczykały, a twarz ociekała potem.

– Inne zespoły. – Podciągnąłem swój plecak. – Zastanawiamy się, jacy ludzie w nich będą.

– To nasza konkurencja! – zawołał Will. – Raczej nie będziemy z nimi śpiewać piosenek przy ognisku. Co oni was w ogóle obchodzą?

Znaleźliśmy się przy końcu oznaczonej drogi przez cieśninę. Wskazywał go pojedynczy, zniszczony przez pogodę znak zatknięty między dwoma głazami. Drzwi do drewnianego budynku znajdowały się po drugiej stronie, ale można było zajrzeć do środka przez okna. Żadnego ruchu.

– ¡Hola! – zawołała Carmen. – Jest tam kto?

Cisza.

– Gdzie jesteście, przystojniaki?

Lizzie obrzuciła ją spojrzeniem pełnym dezaprobaty.

– Oj, stara, jaja sobie robię! – Carmen wybuchła śmiechem. – Oczywiście, że to my mamy największych przystojniaków.

– Tu chyba naprawdę nikogo nie ma. – Żwir zachrząścił pod moimi nogami.

– Może przegapiliśmy zbiórkę zespołów? Ci goście, których minęliśmy, szli w przeciwnym kierunku.

– Oby nie – odezwała się Lizzie zaniepokojona.

– Przecież ktoś powinien na nas czekać, prawda? – Rozejrzałem się. – Nie dostaliśmy jeszcze żadnych współrzędnych. – Roztarłem zziębnięte ramiona. – Może jesteśmy w złym miejscu? Co piszą na tym znaku?

Lizzie zmrużyła oczy, wpatrując się w rozwarstwiony znak.

– Nic nie piszą. To tylko strzałka, która wskazuje budynek. – Pod wpływem jej dotyku znak obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni. – Albo tam, skąd przyszliśmy – westchnęła. – Jeden z poprzednich zespołów mógł go przekreślić dla zmyłki.

– Oszuści! – wybuchnął Grady. – Na pewno właśnie dlatego zasuwali w przeciwną stronę.

– Zanim pójdziemy za nimi, powinniśmy przynajmniej sprawdzić, co jest w środku. – Zacząłem obchodzić domek, żeby znaleźć drzwi.

Wtedy pojawiło się słońce i oświetliło taras.

– Może wskazuje na coś za budynkiem? – rzuciła Carmen.

– Hej. – Stałem przed drzwiami. – Tu jest jakiś list.

Na tablicy zawieszonej obok drzwi, za pleksiglasem<sup>9</sup> chroniącym przed deszczem, umieszczono plakat.



## Witamy na Aikenhead

Udało Wam się dotrzeć do pierwszego z siedmiu punktów kontrolnych. Dobra robota! Rozgrywka zaczęła się w chwili opuszczenia lotniska. Do jej końca musicie obyć się bez pomocy z zewnątrz.

Z tego punktu kontrolnego zespoły będą ruszać w trasę pojedynczo i również tutaj zaczniemy naliczać czas. W celu zapewnienia właściwych odstępów startowych współrzędne drugiego punktu kontrolnego dla wszystkich zespołów umieściliśmy w skrytkach z zamkiem czasowym. Naliczanie czasu dla zespołu rozpocznie się w momencie otwarcia tej skrytki. Pozostaną one otwarte tylko przez dwie minuty. Godziny otwarcia skrzynek:

Zespół	Godzina
Zespół 1 Prisha Sadana	12.20
Zespół 2 Hugo Lancett	12.40
Zespół 3 Wang An	13.00
Zespół 4 Curtis Wellington	13.20
Zespół 5 Frances McCarthy	13.40
Zespół 6 Theodore Chase	14.00
Zespół 7 Liam Jones	14.20
Zespół 8 Reece Armstrong	14.40
Zespół 9 Elizabeth Bellamy	15.00
Zespół 10 Otto Warner	ZDYSKWALIFIKOWANI

– Ciekawe, co się stało z Ottonem Warnerem? – Carmen dotknęła jego nazwiska.

– Która godzina? – Lizzie gwałtownie złapała powietrze. – Ben,

szybko!

Kiedy spojrzałem na zegarek, wytrzeszczyłem oczy.

– Za minutę trzecia.

– Mamy tylko minutę, żeby znaleźć skrytkę!

Lizzie, Carmen i ja pobiegliśmy do budynku. Will i Grady ruszyli za nami, ale Lizzie podniosła rękę.

– Sprawdźcie otoczenie domu. Nie wszyscy musimy szukać w środku.

– Nie ma jej tu – jęknęła Carmen.

– Musi być. – Rozejrzałem się uważnie po wnętrzu.

W skośnych promieniach słońca wpadających przez powybijane szyby unosił się kurz. Z gołych ścian złaziła farba, a w domku nie było żadnych mebli.

– Will, znaleźliście coś?! – krzyknęła Lizzie.

– Nic! – odkrzyknął.

– Wychodzimy. – Lizzie popchnęła Carmen w stronę drzwi. – Ruchy!

– Zaczekajcie. – Odchyliłem głowę do tyłu, ale dziewczyny już wyszły.

A jednak wydawało mi się, że coś tam jest...

Wstrzymałem oddech, sprawdziłem godzinę i wtedy usłyszałem wyraźne cyk. Wybiła trzecia. Gdzieś w domku otworzyła się skrytka i miała pozostać otwarta tylko przez dwie minuty.

– Znalazłem! – Podbiegłem na środek pomieszczenia, rozglądając się gorączkowo.

Na nadgarstku czułem wibrujące cykanie sekundnika w zegarku dziadka. Gdzie ona jest? I wtedy zobaczyłem: w podłodze była dziura po sęku i dziwny wzorek na deskach. Przykucnąłem, włożyłem palce w dziurę i pociągnąłem. Cały kawał podłogi zaczął

się podnosić. Aż stęknąłem pod ciężarem kłapy. Poruszyła się bardzo powoli. Wreszcie udało mi się wsunąć rękę pod klapę i ją otworzyć. Rąbnęła o podłogę po drugiej stronie. Oparłem się o krawędź otworu i zeskoczyłem do środka.

Przeźren pod podłogą sięgała mi ledwie do kolan. Zobaczyłem dziewięć skrzynek ustawionych w szeregu. Ostatnia miała otwarte wieko, ale nie było czasu, żeby zaglądać do środka. Wywaliłem zawartość skrzynki na podłogę. Gdy upuściłem ją po kilku sekundach, wieko zamknęło się z trzaskiem.

Czy któryś z poprzednich zespołów nie znalazł schowka pod podłogą i przegapił kolejkę? Jeśli tak, to gdzie był teraz? Gdybym sam był w takim zespole, to sugerowałbym, żeby pójść za inną grupą. Więc może któryś zespół czekał właśnie w ukryciu, żeby pójść za nami?

Podniosłem wzrok. Will i Lizzie uklękli przy mnie. Carmen i Grady wbiegli z łomotem do budynku.

– Zdażyłeś? Była otwarta? – zawołał Grady.

Podniosłem dwie kartki.

Carmen wypuściła powietrze.

– Mało brakowało!

– Wyjdźmy stąd. – Wygramoliłem się z dziury. – Tam jest jaśniej, a zresztą trzeba się jeszcze podsuszyć.

Ruszyliśmy w stronę drzwi.

– Hej, wiecie, co to znaczy?! – krzyknęła Carmen, niemal w podskokach pędząc na świeże powietrze. – Godziny startu są rozłożone w czasie, więc nie mamy opóźnienia!

– Ale straciliśmy okazję, żeby obczaić inne zespoły – burknął Grady.

– Wiemy już o nich to, co najważniejsze. – Carmen puściła do

niego oko. – Nie są tak dobrzy jak my.

Położyłem dłoń na przedramieniu Willa.

– Trzymaj. Będiesz czytał.

Usiedliśmy w kręgu na tarasie przed chatą. Wyciągnąłem przed siebie poobijaną nogę. Lekki wiatr chłodził moją twarz, słońce suszyło mokre ciuchy, a nad głową skrzeczały ptaki. Na horyzoncie dostrzegłem mały jacht z białym żaglem. Lizzie pozwoliła swojej dłoni opaść obok mojej. Uśmiechnąłem się.

– Ale to ekscytujące – szepnęła.

– Na razie nie jest źle. – Uśmiechnąłem się do niej szeroko.

Will rozłożył pierwszą kartkę.



IRON TEEN

## **Pierwszy punkt kontrolny**

**1500**

**Kapitan zespołu: Elizabeth Bellamy**

**Dotarliście do pierwszego punktu kontrolnego. Gratulacje.**

Następne skrytki, które znajdziecie, nie będą wyposażone w zamek zegarowy. Żeby się do nich dostać, trzeba będzie rozwiązać zagadkę.

Każda skrytka będzie zaopatrzona w ekran z systemem Android.

Aktywuje go wyłącznie odcisk kciuka Elizabeth

Bellamy. Na ekranie pojawi się klawiatura, na której należy wpisać rozwiązanie zagadki. Włączy się gra. Gdy

ukończycie tę grę, dopiero wtedy skrytka automatycznie się otworzy.

W jej wnętrzu będzie umieszczona skrytka geocache ze współrzędnymi

następnego punktu kontrolnego albo wskazówką, jak go znaleźć.

Musicie rozwiązać zadanie, opróżnić skrzynkę geocache, a następnie umieścić w niej coś o równej lub większej wartości.

Po wykonaniu tych czynności zamknijcie skrzynkę i zeskanujcie kciuk Elizabeth Bellamy, żeby zamknąć skrytkę w punkcie kontrolnym.

Każdy zespół, który ukończy trasę, musi dowieść tego, okazując zebraną zawartość wszystkich skrzynek geocache.

Zwycięży ten zespół, który ukończy trasę w najkrótszym czasie i zbierze wszystkie przedmioty ze skrzynek.

Powodzenia!  
Marcus Gold

– Zagadki! – Carmen zatarła ręce. – Doskonale. Mamy od tego Willa, a Will ma łeb na karku.

– Jak dotąd żadna gra mnie nie pokonała. – Grady chrupnął kostkami z rozkoszną miną.

Górna warga Willa na chwilę się uniosła, a potem mój brat rozłożył drugą kartkę.

## **Drugi punkt kontrolny**

**43.26: -65.10**

Co można poczuć, ale nie zobaczyć?

Co niszczy, ale nie może być zniszczone?

– Współrzędne i zagadka – odezwał się Will. – Odpowiedź powinna otworzyć następną skrytkę. Nad rozwiązaniem pomyślimy w drodze.

Podaliśmy mu mapę Aikenhead. Kiedy ją studiował, włosy opadły



mu na oczy. Odsunął je więc niecierpliwie z twarzy.

– Te współrzędne są bez sensu, bo wypadają na morzu.

– Pokaż. – Lizzie wyciągnęła rękę i zabrała mapę.

Po chwili odezwała się:

– Zgadza się. Przechodziliśmy nad punktem, który wskazują, i nic tam nie było.

– Ruchome piaski – przypomniałem jej.

– Ale żadnej skrytki. Coś tu nie gra.

– Znaczy, że... mamy złe współrzędne? – Grady podniósł się na kolana, jakby chciał się komuś wyzalić.

– Coś nam umyka. Musi być jakaś dodatkowa instrukcja albo wskazówka. – Rozejrzałem się, jakbym oczekiwał, że właściwe współrzędne spadną nam z nieba.

– A może był jakiś napis w środku samej skrytki? – spytał Will.

Jęknąłem.

– Nie zdążyłem zajrzeć do środka. Teraz już za późno.

Lizzie wstała.

– Idę ją obejrzeć. Może zostawili coś pod skrytką. Albo nad nią...

Will wyjął z plecaka ołówek i zaczął zaciekle notować. Carmen zdjęła kurtkę i położyła się na plecach.

– To może być jakiś szyfr. Spróbujemy coś pod niego podstawić. – Grady pochylił się w stronę Willa, który spojrzał na niego spode łba.

– A co ja niby robię?

– Rozejrzę się w domku. – Wstałem, zostawiając plecak na tarasie. – Może na ścianach albo podłodze jest jakaś wskazówka.

– Przecież jest pusty. – Carmen podniosła głowę.

Rozłożyłem ręce.

– Wskazówek tam nie szukaliśmy. Ale spokojnie, to dopiero początek zabawy. Na pewno zaraz znajdziemy jakąś podpowiedź albo ktoś się tu pojawi i powie nam, co teraz mamy robić.



Lizzie stała za klapą w podłodze, trzymając skrzynkę w snopie światła wpadającym przez okno. Obracała nią na wszystkie strony. Nuciała coś cicho, gardłowo. To była piosenka Elli Fitzgerald.

– Nic?

– Ano nic – stwierdziła i odłożyła skrzynkę. – To nie może być aż tak trudne. Przecież inne zespoły znalazły rozwiązanie i wyruszyły w drogę.

– Ale co najmniej jeden poszedł w stronę morza. – Obróciłem głowę, nasłuchując szumu fal. – Widzieliśmy ich.

Zacząłem się rozglądać po wnętrzu i przypatrywać ścianom.

– Co robisz?

– Szukam jakiegoś wzoru albo wiadomości. Czegoś w tym rodzaju.

– Okej. – Lizzie przeszła na drugą stronę pokoju i obmacywała ściany pokryte łuszczącą się farbą. – Czas nam ucieka.

Zdjęła czapkę i złapała się za krótkie włosy.

– Nie wiadomo, jak długo inni się nad tym głowili – zauważyłem. – Prawdopodobnie ostatnia grupa dopiero stąd wyszła. – Dotknąłem jej ręki. – Całkiem możliwe, że inni ruszyli w trasę, nawet nie sprawdzając lokalizacji. Lepiej trochę pogłówkować i znaleźć dobre współrzędne, niż pójść w złym kierunku.

– Wiem – mruknęła Lizzie. – Ale tutaj niczego nie ma.

Zlustrowałem ścianę od podłogi do sufitu, nawet policzyłem deski, ale nic nie układało się w sensowny wzór, a już na pewno nie

we wskazówkę. Oczywiście to była domena Willa – jeśli było tu coś do odkrycia, to on by to odkrył, a nie ja.

Z zewnątrz dobiegł nas głośny śmiech Carmen.

– Dobrze, że przynajmniej ona świetnie się bawi. Super – powiedziała Lizzie smutno.

– A ty nie? – udałem zaskoczenie. – Przecież mało nie utonęliśmy, omal nie spadliśmy z klifu, jesteśmy przemoczeni, całą elektronikę trafił szlag, a w dodatku znaleźliśmy się na takim zadupiu, że nawet satelity tu nie latają. Nie możemy się stąd wydostać, dopóki nie podniosą grobli, i nie mamy pojęcia, dokąd iść. Poza tymi drobiazgami bawimy się chyba zarąbiście, nie?

Wtedy z zewnątrz znów dobiegł nas głos Carmen:

– Hej, ludziska, ruszcie tu tyłki. Wasza Carmen rozgryzła, o co biega.

Lizzie spojrzała na mnie, a ja na nią.

– Jak to? Ona rozgryzła?

Wzruszyłem ramionami.

Carmen stała przy starym znaku, obracając go to w jedną, to w drugą stronę, zadowolona z siebie jak kot, który połknął kanarka.

– Łapiecie?

Zmarszczyłem brwi.

– Nie.

Przeniosła wzrok na Willa.

– A ty?

Spojrzał na nią wilkiem.

– Po prostu powiedz.

Carmen złożyła dłonie, aż klasnęły.

– Najpierw wy powiedzcie, że jestem najbystrzejsza.

– Nie ma czasu na dyrdymały. – Grady skrzyżował ręce na piersi.

Lizzie wyszczerzyła się w uśmiechu i z powrotem włożyła czapkę.

– No, chłopaki, głośno i wyraźnie.

Powtórzyliśmy jednocześnie, że Carmen jest najbystrzejsza, a wtedy ona obróciła się jak baletnica. Jej włosy rozwiały się na potężniejącym wietrze, a ich różowe końcówki zawirowały jak chmara motyli.

– Otóż to!

– Carmen, czas ruszać w drogę – przypomniała jej Lizzie.

Carmen wyduła wargi.

– W porządku. – Ponownie przekręciła znak. – Strzałka nie wskazywała miejsca, gdzie schowano skrzynki... – Spojrzała na nas wyczekująco.

– A więc pokazywała coś innego... – Błysnął intelektem Grady.

Lizzie zrobiła wielkie oczy.

– Ona niczego nie wskazuje, bo się kręci.

– Mhm – przytaknęła Carmen. – Ale nie robi pełnego obrotu.

– Obraca się o sto osiemdziesiąt stopni. – Klepnąłem się dłonią w czoło.

Will już coś gryzmolił na kartce, którą trzymał blisko siebie, żeby nie porwał jej zimny wiatr znad Atlantyku. Kiedy skończył, podniósł ją tak, żebyśmy mogli zobaczyć: -01.56:62.34.

– Odwróciłeś kolejność.

Kiwnął głową.

– Teraz mają sens?

Postawił palec na środku mapy.

– Jeśli się nie mylimy, to drugi punkt kontrolny jest tutaj.

– Genialnie! – Lizzie objęła Carmen i ją uściskała. – Dotrzemy tam przed zmrokiem?

– Bez problemu. – Will włożył mapę do kieszeni. – Ruszajmy.

## Rozdział piąty

– Trzęsienie ziemi! – krzyknęła Carmen.

Grady spojrzał pod nogi.

– To chyba rozwiązanie zagadki, Grady. – Lizzie zdusiła śmiech, przeskakując przez głąz leżący na ścieżce biegnącej wzdłuż wybrzeża.

– „Można je poczuć, ale nie zobaczyć. Niszczy, ale nie może być zniszczone”. – Zadowolona z siebie Carmen pokiwała głową. – Mam dobrą passę.

– Niezła sugestia, ale powinniśmy jeszcze się nad nią zastanowić – przerwał jej Grady, a potem spojrzał na mapę. – Tu schodzimy ze ścieżki wzdłuż wybrzeża i dalej musimy iść tędy. – Wskazał na wrzosowiska.

– Przynajmniej schowamy się przed wiatrem. – Lizzie się zatrzęsła. – Dobrze, że nas wysuszył, ale zaraz zamarzniemy.

– Słońce nas ogrzeje. – Grady zwrócił twarz do nieba. – Musimy tylko oddalić się od klifu.

Wyciągnąłem lornetkę, przetarłem mokre szkła i przyłożyłem ją do oczu. Ustawwszy ostrość, zobaczyłem wrzosowisko w całej krasie. Dalej połyskiwało jezioro. Jeżeli niedługo skręcimy ze ścieżki nad klifem, to przed upływem godziny znajdziemy się nad jego brzegiem.

– Widzę inny zespół. – Wskazałem kępę drzew.

– To dowód, że idziemy w dobrą stronę. – Carmen wyszczerzyła zęby.

– Jeżeli to jest zespół ósmy, to wyprzedzają nas o ponad dwadzieścia minut – zauważył Grady, puszczając w obieg torebkę landrynek. – Już tracimy czas.

– Jeżeli to jest ósemka. – Włożyłem landrynkę do ust. – Równie dobrze to może być jedynka i wtedy mamy przewagę nad wszystkimi.

Lizzie kiwnęła głową.

– Musimy po prostu iść i nie zmieniać podjętych decyzji.

– Za milion funtów mogę nawet przyśpieszyć – zaproponowała Carmen.

– Okej. – Lizzie dociągnęła paski plecaka. – Kto ma chęć się przebiec?

Grady schował cukierki, a potem puściliśmy się truchtem przez wrzosowisko, rozpychając na boki trawę, wyrzucając grudy błota i stękając pod ciężarem plecaków.

Ziemia pod nogami rozmazywała się w biegu. Deptałem kwiaty, oset i trawy w kolorze owsa. Wkrótce znaleźliśmy się nad wartkim strumieniem. Truchtałem jakiś czas wzdłuż brzegu, aż w końcu zatrzymałem się, ukląknęłem i ochlapałem twarz wodą, żeby się ochłodzić.

Na ten widok Lizzie podniosła rękę.

– Robimy krótką przerwę?

Carmen pacnęła na wznak na ziemię obok mnie i pociągnęła duży łyk z butelki. Potem pozwoliła głowie opaść do tyłu, ukazując niebu bladą szyję. Lizzie napełniła swoją manierkę wodą ze strumienia i wrzuciła tabletkę sterylizującą.

– Myślisz, że nie jest wystarczająco czysta? – Uniosłem brwi, bo woda w strumieniu była kryształowa.

Lizzie prychnęła.

– Mam okulary, ale nie widzę przez nie bakterii, a ty?

– Ano nie...

Uśmiechnąłem się, a Lizzie włożyła manierkę z powrotem do plecaka. Potem poszła w moje ślady, ochlapując twarz i rękę. Kropelki zawisły na jej nadgarstkach, które wydały mi się kruche i delikatne jak nagie żyłki na jesiennym liściu.

Nieco dalej wydra dała nura do wody. Śmignęła zakosami między kamieniami i uciekła od nas w górę strumienia.

– Wiecie, że do kranówki dodają w rurociągach specjalnych środków chemicznych, które robią z mężczyzn baby? – Grady wziął łyka i złapał gwałtownie powietrze. – Dlatego w naszych czasach prawie wcale nie ma protestów antyrządowych, bo społeczeństwo ma... deficyt testosteronu.

Lizzie pokręciła głową z uśmiechem.

– Jak sobie radzisz z tym plecakiem, Grady? Utrzymasz takie tempo?

– Tak. – Oparł dłonie na kolanach.

– Dobrze nam idzie. – Lizzie spojrzała na zegarek. – Do zachodu słońca jest jeszcze trochę czasu. Może zdążymy dziś dotrzeć do trzeciego punktu kontrolnego. Jak sądzicie?

Will stał nieco dalej, czekając, aż znów zaczniemy biec. Postukał w swój bezużyteczny smartwatch.

– Milion czeka.

Lizzie stanęła na równe nogi.

– Pokaż, dokąd idziemy.

Will wskazał punkt na mapie, a potem na horyzoncie.

– Widzisz jezioro? – Jego tafla połyskiwała około kilometra od nas. – Tam.





Kiedy Will skończył cztery lata, mamie nie pozostało już wielu znajomych poza dwiema najwytrwalszymi przyjaciółkami, ciocią Rosie i ciocią Anne, jeszcze z czasów, gdy byłem jedynakiem.

Pamiętam ostatnie spotkanie z Matthew, moim najlepszym przyjacielem. Ciocia Anne była wtedy w ciąży. Will podszedł do niej, przekrzywił głowę i spytał:

– Masz w brzuchu dziecko?

Ciocia przytaknęła.

– Tak, Willusiu. Ty też kiedyś byłeś w brzuszku swojej mamusi.

Will gapił się na nią przez dłuższą chwilę, a potem odszedł bez słowa. Ciocia Anne uśmiechnęła się do naszej mamy, a ja i Matthew wróciliśmy do zabawy moją kolejką.

Potem usłyszałem krzyk ciotki Anne. To Will wrócił z grubą książką w twardej oprawie i z całej siły przywalił nią ciotce w ciążowy brzuch. A wszystko z tym samym zamyślonym wyrazem twarzy.

– Mam tego dość, Carrie. – Szlochając i trzymając się za brzuch, ciotka Anne wywlekła Matthew z pokoju. – Zupełnie nad nim nie panujesz. Wychowałaś potwora. Nigdy go nie karcisz, nie dajesz mu kar. Myślałaś, co z niego wyrośnie, jak tak dalej pójdzie? Jaki będzie w szkole?

Wypychając Matthew za drzwi, rzuciła jeszcze, że jej syn już nie będzie się ze mną spotykać. I wyszła.

Po całym zajściu mama przytulała Willa przez godzinę. Fakt, że ja straciłem najlepszego przyjaciela, nikogo nie interesował.



Do jeziora pobiegliśmy forsownie. Potem zwolniliśmy do truchtu.

– Muszę popracować nad kondycją – wysapała Carmen,

zatoczyła się i stanęła.

– Odpoczniemy podczas marszu. – Lizzie wytarła zaparowane okulary rękawem. – Ale musimy utrzymać dobre tempo, przynajmniej do linii drzew – oznajmiła, wciąż truchtając w miejscu.

Grady nie miał siły się odezwać. Oparł dłonie na kolanach i kiwał się pod ciężarem plecaka.

– *Dios*, Grady, dostałeś zawału? – Carmen wytrzeszczyła na niego oczy.

Grady podniósł rękę.

– Nie... W porządku.

– Bańka na łebka to dobra rzecz – Poklepałem go po ramieniu. – Ale przecież nie chcemy zabić Grady’ego.

– Zaraz, zaraz! – Carmen ożywiła się i podeszła do kępy traw pod nawisem skalnym. Rosła tam też kolonia grzybów. – Popatrzcie na to.

– Nie zbieraj grzybów, Car. – Rozruszałem barki. – Mogą być trujące.

– Te nie są trujące, chico. – Pochyliła się i zerwała trzy. – Nie rozpoznajecie?

Will pochylił się nad jej dłonią.

– To posylocybki.

– Zgadza się. Magiczne grzybki. Wystarczy dla wszystkich.

– Chyba żartujesz? – A jednak oczy Lizzie błysnęły wesoło. – Musimy być skoncentrowani.

– Tylko odrobinę, chica. Tyle, żeby to całe bieganie zaczęło nam się wydawać dobrą zabawą. Obiecałaś mi ją. – Carmen podniosła do ust połyskujący brązowy kapelusik.

– Nie powinnaś, Car. – Zmarszczyłem czoło. – Bo jeśli jednak są

trujące...

– Nie są. – Will wbił wzrok w jej usta.

– A jeżeli tak? – powtórzyłem z naciskiem. – Nie mamy jak wezwać pomocy. Grzyby mogą być śmiertelnie trujące.

– Pokaż. – Grady odzyskał oddech. Przysunął sobie dłoń Carmen pod nos i zmrużył oczy. – Faktycznie. Wyglądają jak na zdjęciach, które ojciec kazał mi zapamiętać. Zresztą, mam to. – Poklepał kieszeń plecaka skrywającą jego wypasioną apteczkę. – Jakby co, możemy wywołać wymioty.

– Jeśli się zatruje, to i tak się porzyga. – Spojrzałem na niego wilkiem.

– Jem. – Carmen ugryzła grzyba. – Jeśli za pięć minut nic mi nie będzie, to też będziecie mogli spróbować.

– Carmen! – Lizzie krzyknęła, ale nie mogliśmy już nic zrobić, bo Carmen połknęła odgryziony kęs.

Gapiliśmy się na nią przerażeni i jednocześnie zafascynowani, ale nic się nie działo. Minął jakiś czas i nadal nic.

– Widzicie? Nic mi nie jest – zaśmiała się Carmen. – Jeśli mnie weźmie, to za pół godzinki powinna się zacząć zabawa. I będę mogła znów biec.

– Albo będziesz się przewracać – mruknąłem.

Carmen zawinęła pozostałe grzybki i schowała je do kieszeni kurtki. Ruszyliśmy brzegiem jeziora ku linii drzew.

– Przepięknie tu jest, no nie? – mruknęła Lizzie, zrównawszy się ze mną.

Kolczyk w jej nosie błyszczał tym samym światłem, które odbijało się od tafli jeziora, a włosy stały dziko na wietrze jak kolce jeża.

Pokiwałem głową.

– Jak to na pustkowiu...

Szliśmy omywanym przez fale brzegiem jeziora. Pozwoliłem swojej dłoni otrzeć się o rękę Lizzie, która pochyliła się nieznacznie w moją stronę. A przynajmniej takie miałem wrażenie. Toczyłem wewnętrzną wojnę – czasami wydawało mi się, że powinienem przyspieszyć bieg spraw między nami, zanim Lizzie pójdzie na studia i ktoś inny zawróci jej w głowie. Ale częściej myślałem, że jeśli tak zrobię, to wszystko zepsuję. Przecież była moją najlepszą kumpelą.

Nagle poczułem, że Lizzie się napina, i już wiedziałem, że chce powiedzieć coś ważnego.

– No dobra, wyrzuć to z siebie – westchnąłem.

– Naprawdę chcesz zrezygnować z własnych planów, żeby mieć oko na Willa?

Otworzyłem usta, ale ona jeszcze nie skończyła.

– Powiedz mi przynajmniej, że znów złożysz papiery na inżynierię lądową, kiedy Will skończy studia. Jeśli wygramy, będziesz miał kasę na chesne. Nie będziesz już zależny od mamy.

Na chwilę zamknąłem oczy.

– Sam nie wiem, Lizzie. Byłbym wtedy trzy–cztery lata starszy od ludzi na roku, a poza tym... co, jeśli Will postanowi robić doktorat czy coś?

– Nie wiesz, że studiować można w każdym wieku? – Lizzie zdjęła czapkę i mnie nią trzepnęła. – Od trzech lat o tym marzysz, Ben. To jest ważne. Po studiach mógłbyś naprawdę zmieniać świat na lepsze. Zaplanuj sobie, że w pewnym momencie po prostu powiesz „dość”. Czy to takie trudne? Na przykład wtedy, gdy Will skończy osiemnastkę. Odpękałeś swoje, odzyskujesz wolność.

– Przecież nie siedzę w więzieniu, Liz. Wiesz...

Przerwał mi okrzyk Grady’ego:

– Tam jest jakiś zespół!

Zbliżali się od wybrzeża do linii drzew z innego kierunku. Wyglądało na to, że schowają się w lesie szybciej niż my.

– Hej, Will! Myślisz, że dali się nabrać na złe współrzędne? – zawołałem.

Odpowiedział krzywym uśmiechem.

– Na to wygląda.

Na czele stawki szła dziewczyna z bardzo długimi czarnymi włosami spiętymi w koński ogon. Była szczupła, miała ciemną skórę, długie nogi i jaskrawofioletowy plecak. Druga dziewczyna była niższa. Jeden chłopak wyglądał na jej bliźniaka, a przynajmniej na brata. Niższą obstawiało dwóch większych koleś – czarnoskóry i biały. Wyglądali jak jej ochrona.

– To może być zespół numer jeden – odezwałem się. – Kapitan Prisha Jakaśtam, nie?

– Nie mają nad nami zbyt dużej przewagi. – Lizzie wyszczerzyła się w uśmiechu. – Doskonale. Jak tam, Car, wzięło cię już?! – zawołała.

Carmen gapiła się w wodę z przekrzywioną głową i półotwartymi ustami.

– Car?

– Ale ślicznie. Musicie ich spróbować. Patrzcie na te iskierki.

Parsknąłem śmiechem.

Lizzie wzięła ją pod ramię.

– Chodź, mała, ruszamy.

– Twój głos brzmi jak dzwony – zachichotała Carmen.

Lizzie prychnęła.

– Możesz biec?

Carmen zaczęła truchtać radośnie, przebierając nogami. Lizzie

podprowadziła ją do Willa.

– Masz się nią zająć.

Podniósł głowę znad mapy.

– A to ciekawe.

– Sam powiedziałeś, że może wziąć te grzyby – wybuchła Lizzie. – Więc za nią odpowiadasz.

– Ale ja czytam mapę.

– Każde z nas może czytać mapę – poparłem Lizzie. – Oddaj ją Grady’emu.

Pomimo męczącego tempa biegu Carmen zaczęła śpiewać: „Grady, Grady, powiedz, czy będziesz mój...” na melodię piosenki Louisa Armstronga. Nie przypomniała sobie dalszych słów, więc przeszła płynnie na kołysankę po hiszpańsku: *Din dan, din don dan, campanitas sonarán...*<sup>10</sup>.

Kiedy skończyła śpiewać, przetłumaczyła cicho ostatni wers:

– Idź już spać, oczka zmruż, bo nocka jest tuż-tuż – przerwała na chwilę. – Ding, dong, ding.

Will przyśpieszył, żeby ją złapać.

– Może też się skuszę? – szepnęła Lizzie. – Ona zdecydowanie bawi się najlepiej z nas wszystkich.

Spojrzałem na Willa i wyszczerzyłem się w uśmiechu. Widziałem, że zaraz trafi go szlag, bo Carmen bezustannie próbowała zboczyć z trasy.

Wreszcie objął ją w talii, wsuwając rękę pod jej plecak. Podniósł wzrok i nasze spojrzenia się spotkały. Uśmiechnął się do mnie i wrócił z uwagą do pilnowania Carmen. Radził sobie.

Ścisnąłem ramię Lizzie.

– Naprawdę chcę wygrać ten milion. Masz rację, mogę pójść na studia później, a kiedy już zdobędę doświadczenie, kasa, która mi

zostanie, będzie w sam raz na rozruch jakiegoś sensownego projektu.

Uśmiechnęła się do mnie.

– Bardzo się cieszę, Ben. Nie byłbyś sobą, gdybyś nie planował ocalić choćby kawałka świata.

– Będziemy musieli odbić od jeziora i pójść w stronę drzew – odezwał się Grady, z poważną miną machając mapą. – Przed nami jest duży spadek. Chyba powinniśmy go obejść.

– Will? – Nie mogłem się powstrzymać.

Brat oderwał wzrok od Carmen i kiwnął głową.

– Taki był mój plan.

– Widzisz? – prychnął Grady.

– Okej, wybacz.

Ruszyliśmy w kierunku, który wskazał. Carmen znów zaczęła śpiewać. Był to kolejny staroć, jeden z ulubionych kawałków Lizzie.

Lizzie przyłączyła się do śpiewania. Głos miała wyższy niż Carmen. Grady wahał się, ale zaraz też zaczął śpiewać. Wymieniliśmy spojrzenia z Willem.

Uśmiechnąłem się szeroko.

– Pobiegnę do skały, niech mnie ukryje...

Po chwili wszyscy już śpiewaliśmy „Sinnermana” Niny Simone, biegnąc przez wrzosowisko w stronę pierwszego zagajnika przygiętych przez wiatr jarzębin o długich pniach i czerwonych owocach. Ziemia pod nogami zrobiła się bardziej grząska, przez co trudniej było utrzymać tempo, ale Carmen nie przestawała śpiewać.

– Nie wiem, czy zdajecie sobie sprawę – głos Grady’ego wzniósł się ponad śpiewem – że Paul McCartney od dawna nie żyje. W 1966 roku zastąpili go sobowtórem.

## Rozdział szósty

Kiedy dotarliśmy do linii drzew, słońce zaszło już za wzgórze. Spadła temperatura i znów odnalazł nas wiatr. Zanurzyłem się w lesie, wdzięczny koronom drzew dającym schronienie. Zmierzch stopniowo zastępował światło dzienne i załopotwały wokół nas pierwsze ćmy. Carmen pisnęła, kiedy między gałęziami nisko przeleciał nietoperz.

Zsunąłem plecak z ramion i wygrzebałem sweter.

– Za jakąś godzinę będzie już zupełnie ciemno. – Wciągnąłem sweter przez głowę.

Kolory zaczęły gasnąć. Zostały tylko zanurzone w odcieniach szarości stłumione zielenie i czerwienie.

– Może rozbijemy obóz? – Grady poprawił swój toból na plecach. – Tu przynajmniej nie ma wiatru.

Założyłem z powrotem szelki plecaka. Lizzie pokręciła głową.

– Zaliczmy pierwszy punkt kontrolny. Dopóki jest światło, powinniśmy iść.

– Lizzie ma rację – poparł ją Will. – Inne zespoły nie będą się jeszcze zatrzymywać.

– Jestem zmęczony – jęknął Grady.

Poklepałem go po ramieniu.

– Jak my wszyscy, ale uzgodniliśmy, że damy z siebie wszystko.

– Te brzozy oddychają. – Carmen stała przytulona do pnia, obejmując go.



– Pomyśl o kasie, Grady – rzuciła Lizzie, wyjmując latarkę. – Odpoczniesz w punkcie kontrolnym.

– Teraz to bym zapłacił milion funtów, żeby móc odpocząć – mruknął Grady, ale podjął marsz, niezmiennie pobrzękując plecakiem.

Lizzie zaczęła się okładać rękami po twarzy i ramionach.

– Nie cierpię meszek!

Roily się wokół nas, gryząc jak najęte. Właziły nawet do oczu i nosa.

– Co za cholerstwo! – mruknął Will.

Wyciągnął ręcznik turystyczny i owinął sobie twarz i szyję.

– Rano będzie mnie piekielnie swędziało – jęknęła Lizzie, klepiąc się w szyję.

Już teraz na jej bladej skórze widać było ślady ugryzień.

Tylko Carmen wydawała się nie przejmować meszkami. Podskakiwała wesoło na czele stawki, z rzadka machając od niechcenia ręką, żeby je odgonić.

– Dajesz radę, Grady? – Obejrzałem się. Skrzywił się, zakładając szelki plecaka, po czym spryskał się płynem przeciw owadom. – Mogę skorzystać?

Wyciągnął buteleczkę w moją stronę.

– Jasne. To dobry środek.

– Dzięki.

Spryskałem sobie twarz i kark, potem popsikałem Lizzie, Willa i Carmen, która wierciła się przy tym niemiłosiernie.

Lizzie odetchnęła z ulgą.

– Dzięki, Grady! – Odrzuciła kij, który służył jej do odganiania owadów. – Trzeba pomyśleć o jakimś jedzeniu. Od lunchu w samolocie nie mieliśmy nic w ustach.

– Przerwa na podwieczorek? – Spojrzałem na niebo przez korony drzew.

Księżyc już się pojawił, ale noc zwlekała z nadejściem.

Lizzie pokręciła głową.

– Jeszcze nie. Niedługo dotrzemy do punktu kon...! – krzyknęła i złapała mnie za ramię, a noga, na której stanęła, ustąpiła pod jej ciężarem.

Wytrzeszczyła oczy przerażona, a na jej twarzy wymalował się ostry ból. Delikatnie opuściłem ją na ziemię. Dotknęła prawej kostki i zagryzła wargę.

Jej traperki nie były pancerne jak moje wojskowe głany. Widząc ciemną dziurę w ziemi, zrozumiałem, co się stało. Lizzie stanęła przed chwilą na korzeniu drzewa rosnącym nad króliczą norą.

– Chyba skręciłam kostkę!

Grady natychmiast ukląkł obok Lizzie i wyciągnął swoją megaapteczkę.

– Nie jest zwichnięta?

– Oby nie. – Jej słaby głos odpowiadał bladości twarzy.

Dotknęła puchnącego miejsca drżącą dłonią.

Grady zmarszczył brwi.

– Mówiłem, że powinniśmy się zatrzymać. Rozwiązać ci sznurówki?

– Nie. – Objąłem jej kostkę dłonią. Nawet przez but było czuć, że jest gorąca, a opuchlizna coraz bardziej napiera na cholewkę. – W bucie mniej spuchnie.

Grady podał mi kompres chłodzący. Ścisnąłem go, żeby przebić wewnętrzną torebkę z wodą, a potem nim potrząsałem. Po chwili stał się zimny jak lód. Lizzie jęknęła, kiedy przycisnąłem go do jej kostki.

Grady podał jej garść tabletek ibuprofenu i paracetamolu.

– Bierz raz jeden, raz drugi co dwie godziny.

Lizzie kiwnęła głową.

– Powinieneś być aptekarzem, Grady.

Parsknął śmiechem.

Will poklepał mnie po ramieniu i podniósł wzrok. Trzymał długi, brzozywy kij zakończony idealnymi widełkami.

– Znalazłeś mi kulę! – wykrzyknęła Lizzie.

– Nie musisz dziś z niej korzystać. – Ściągnąłem brwi. – Możemy się już zatrzymać i ruszyć rano.

– Musimy zasować. – Lizzie wyciągnęła rękę.

Niechętnie pomogłem jej wstać.

– Musimy tu unikać kontuzji – westchnął ciężko Grady. – Nawet moja apteczka nie jest bez dna.

Schował ją w plecaku i wygrzebał batonik zbożowy. Objąłem Lizzie w pasie.

– Dobra, znajdziemy ten punkt kontrolny.



Już prawie wyszliśmy z lasu. Księżyc w pełni wzniósł się wyżej. Jego światło rzucało cienie. Pod stopami pękały suche gałązki. Zauważyłem, że zmieniły się zapachy wyspy – stały się teraz chłodniejsze i świeższe. Odgłosy otoczenia też były inne niż przedtem. Mewy ucichły, ale teraz słychać było za to łopot skrzydeł nietoperzy i odległe pohukiwania sów.

Posuwaliśmy się wolniej, bo Lizzie stapała ostrożnie, wspierając się na kiju.

– Na pewno chcesz iść dalej? – spytałem ponownie, pomagając jej przejść nad gnijącym pniem.

– Tak – odpowiedziała i uraczyła mnie wymuszonym

uśmiechem. – Nie mogę się doczekać, kiedy wreszcie będziemy przy pierwszym punkcie kontrolnym, a ty?

– No pewnie. Ale wiem, że bardzo cię boli. Pamiętasz, jak było w zeszłym roku?

Gdy próbowałem zrobić 50-50 grind na desce, wyglebiłem się i wylądowałem na mocno zgiętym nadgarstku.

– Całe szczęście, że nie zламаłeś ręki. – Lizzie odsłoniła zęby w uśmiechu, a potem skrzywiła się i znów pobladła, bo za mocno stąpnęła na skręconej kostce.

Nareszcie wyszliśmy na otwartą przestrzeń. Wiatr znów zaczął mierzwić mi włosy, ale delikatniej niż poprzednio, jakby rozważał, czy to już może pora kłaść się spać.

– Widać jakieś inne zespoły? – Lizzie przeszła do szeptu, jakby wyjście spod osłony drzew oznaczało, że musimy mówić ciszej.

Puściłem ją niechętnie i podniosłem do oczu lornetkę.

– Nikogo nie widzę.

Tuż przed nami płynęła rzeka. Obejście jej zajęłoby zbyt wiele czasu.

– Będzie trzeba znaleźć bród, no nie? – westchnęła Lizzie.

Will pokiwał głową.

Nie dbając już o szybkie tempo, dowlekliśmy się do rzeki. Kiedy stanęliśmy na jej żwirowym brzegu, dotknąłem ramienia mojego brata.

– Sprawdzisz głębokość?

Przekrzywił głowę.

– Pilnujcie Carmen. Daj mi swój kij, Lizzie.

Kiedy oddała mu kulę, pomogłem jej utrzymać równowagę.

Will wszedł do rzeki, mierząc głębokość kijem. Gdy wrócił na brzeg, cały się trząsł.

– Głęboka jest? – zawołał Grady.

Will podniósł mokrą kulę, żeby pokazać, że woda sięga do bioder, a potem oddał ją Lizzie.

– Głęboka, zimna i rwąca – stwierdził i pociągnął nosem.

– Przechodziliśmy już przez rzeki – powiedziała Lizzie. – Pamiętacie Ekspedycję Księcia Edynburga w zeszłym roku?

– Ale nie chcemy znów się przemoczyć. – Szarpnąłem się za spodnie. – Nocą nic nie wyschnie.

– No to się rozbierzemy. – Lizzie nie owijała w bawełnę.

Otworzyłem usta, żeby spytać, czy mówi serio, ale Will już zdjął plecak, przyklęknął i zaczął rozwiązywać sznurowadła.

– Nie zdejmuj butów – powiedziałem szybko. – Bez nich zrobi się ślisko, a na dnie mogą być ostre kamienie.

– Wyjmuję tylko skarpetki i wkładki. Żeby były suche.

I tak zrobił.

– Jasne.

– A co z Lizzie? – zapytał Grady. – Jeśli zdejmie but, to go już nie włoży.

– Zimna woda zmniejszy opuchliznę i po przeprawie będzie mogła go wciśnąć – zawyrokowałem.

– Jeden z nas może cię wziąć na bara...

– Nie. – Lizzie pokręciła głową. – To zbyt niebezpieczne. Mogę iść w środku grupy. – Zdjęła linę przyczepioną z boku plecaka. – Pójdziemy gęsiego, z asekuracją.

Kiwnąłem głową.

– Ben z kijem powinien iść z przodu – zasugerował Grady.

– Z moim kolanem?

Ściągnąłem spodnie, żeby pokazać siniaki.

Fioletowoczerwononiebieska plama okalała całe kolano, rozlewając się na goleń.

Grady gwałtownie złapał powietrze.

– Kiedy już rozbijemy obóz, przypomnij mi, żebym dał ci arnikę – powiedział i przyjrzał mi się przeciągle. – Nawet z takim kolanem jesteś najsilniejszy.

– No dobra.

Zdjąłem sweter, koszulę i złożyłem całe ubranie w schludny stosik. Will zrobił podobnie. To taki zwyczaj wyniesiony z domu. Czasami zastanawiam się, czy w ogóle umielibyśmy zostawić po sobie bałagan...

– Carmen i ja będziemy w koszulkach – zawołała Lizzie.

Will spakował swoje rzeczy porządnie do plecaka.

– Jeśli zostanie wam coś suchego, żeby się ubrać po drugiej stronie, to spoko.

– Pe-pewnie. – Lizzie już szczekała zębami.

– Jesteście już gotowe? – Grady kurczowo złapał szelki swojego plecaka i nie ukrywając własnej cherlawości, cofnął się w głębszy cień.

Ponownie spakowałem plecak i wsunąłem szelki na ramiona.

– Paskudne pęcherze – skomentował Will, przyglądając się mojej piersi i pachom.

Kiwnąłem głową, wziąłem kij Lizzie i odwróciłem się, żeby mógł mi przywiązać linę do pasków plecaka. Potem dołączył kolejno plecaki Grady’ego, Carmen, Lizzie, a na końcu swój.

– Porwie nas jak ludziki z papieru – wyszeptała Carmen.

– Czyżbyś wróciła na ziemię? – spytałem.

– Na to wygląda – odpowiedziała, przypatrując się rzece.

– Miejmy to za sobą.

Ustawiłem się twarzą pod prąd i wszedłem do rzeki, sprawdzając dno kijem. Po trzech krokach woda sięgała mi już do ud.

Na plecaku poczułem szarpnięcie liny, która po chwili zawisła. To oznaczało, że pozostali ruszyli za mną. Grady podniósł latarkę, żebym widział, dokąd idę.

Przesuwałem się trochę po skosie, z prądem, ale przodem byłem zwrócony w górę rzeki. Pochyliłem się, żeby stawiać opór prądowi, przesuwałem nogi po dnie, nie odrywając stóp od podłoża.

Nie miałem odwagi, żeby spojrzeć za siebie. Lina stawiała lekki opór, a więc pozostali wciąż tam byli i trzymali się na nogach. Zamiast patrzeć wstecz, skupiłem się na naszym pierwszym celu – piaszczystej łasze pośrodku rzeki.

Woda stawiała się coraz głębsza, sięgała mi już do bioder, więc plecak znów zaczął namakać. Dobrze, że suche rzeczy włożyłem na samą górę. Niesione nurtem wodorosty ocierały mi się o nogi. Przez chwilę miałem wrażenie, że to czyjeś palce. Wzdrygnąłem się.

– I to jest wyprawa z przygodami! – krzyknęła Carmen. – Uszy do góry!

Pokręciłem głową, ale nie mogłem powstrzymać uśmiechu. Carmen miała rację. Przecież właśnie tego chciałem – ekscytujących wyzwań. Trzech dni megazabawy bez matki wiszącej nad głową, z Willem, który zachowuje się jak człowiek, i Lizzie przez całą dobę u mojego boku.

Nagle z tyłu dobiegł mnie krzyk. Ktoś się przewrócił. Opadłem na jedno kolano, ścisnąłem kij i z całej siły wbiłem go w piach.

– Grady?! Kto poleciał?! – zawołałem.

– Ca... Carmen – wyjąkał Grady. – Ale Will ją złapał. Wszystko okej!

Napięcie liny zelżało, więc Grady znów zaczął się do mnie zbliżać. Wznowili marsz.



Will chodził do szkoły ledwie parę tygodni, kiedy dyrektor wezwał mamę do siebie. Mogłem mieć wtedy jakieś sześć, siedem lat. Ponieważ nikt nie chciał z nami zostać, a tata był w pracy, mama musiała zabrać nas ze sobą. Posadziła nas przed gabinetem. Siedzieliśmy, kopiąc piętami w nogi krzesel, i próbowaliśmy podsłuchiwać.

– Wszyscy mali chłopcy trochę rozrabiają! – krzyknęła nagle mama. – To całkiem normalne. Pobrykają i się uspokoją.

– Cóż, pani Harper, nie lubię porównywać dzieci, ale z Benem nie mieliśmy tego typu problemów. – W głosie pana Hutchinsona zabrzmiała irytacja.

– Bo oni są inni. Will jest bardzo bystry.

Obrzuciłem brata spojrzeniem.

– Tylko w tym tygodniu dwóch innych chłopców trafiło do pielęgniarki.

– To dlatego, że nie umiecie zapewnić Willowi odpowiedniego zajęcia, nie stawiacie przed nim wyzwań. Mówi, że się nudzi. – Jej głos był przejmujący. – To wina szkoły.

Pan Hutchinson westchnął.

– Prosimy tylko, żeby pani współpracowała z nauczycielami i wspierała nasze działania dyscyplinujące swoimi działaniami w domu.

– Nie mam w zwyczaju karać moich synów. – Przez szybę gabinetu odnalazła moje spojrzenie.

Poklepałem Willa po jego chudym ramieniu i zapukałem do drzwi.

– Panie dyrektorze?

Spojrzał na mnie zaskoczony.



– Cześć, Ben. Dajcie nam parę minut. Może weźmiesz Willa i pójdziecie pooglądać rybki w akwarium?

– Bo może... – Przełknąłem ślinę. – Może przez jakiś czas mógłbym odrabiać lekcje w klasie Willa. Zwykle jest spokojniejszy, kiedy ma mnie blisko siebie.

Twarz mamy się rozjaśniła.

Pan Hutchinson odchylił się na oparcie fotela.

– Przykro mi, Ben. Twoja propozycja jest bardzo szczodra, ale w szkole to tak nie działa.

– Mógłby pan porozmawiać z jego nauczycielką – wtrąciła się mama. – Dałaby Benowi jakieś zajęcie.

Dyrektor wyglądał na zszokowanego.

– Pani Harper – ściągnął brwi – Ben opuści się w nauce, jeśli nie będzie chodził na swoje zajęcia. A w oddziale przedszkolnym ważne są socjalizacja i nauka przez zabawę.

– Otóż to. – Mama odchyliła się na krześle z triumfalną miną. – Właśnie dlatego mój Will się nudzi.

– Will jest jednym z najstarszych dzieci w grupie przedszkolnej. – Wbił wzrok w papiery. – Pani Scott mówi, że czyta tak ja siedmio-, ośmiolatek i potrafi już dodawać w słupkach.

– I dzielić liczby wielocyfrowe – wtrąciła mama z dumą.

– Ale tu nie chodzi tylko o matematykę, czytanie i pisanie, pani Harper. – Dyrektor skrzywił się, jakby chciał zmiąć leżącą przed nim kartkę. – Jego umiejętności społeczne odstają od grupy. – Potarł oczy. – Dobrze. Przez dwa tygodnie pozwolimy Willowi chodzić na lekcje czytania, pisania i matematyki do klasy Bena. Ale tylko na te zajęcia. Pozostały czas będzie spędzał z dziećmi w swojej grupie wiekowej. Spotkamy się za dwa tygodnie, chyba że zaistnieje powód, żeby spotkać się wcześniej.

– Nie zaistnieje.

Zabrzmiało to tak, jakby mama była tego absolutnie pewna.

– Jeśli jego zachowanie się poprawi, porozmawiamy o dalszych krokach.

– To znaczy o przeniesieniu go na stałe? – Pochyliła się do przodu.

– Zobaczymy – odparł pan Hutchinson i złożył ręce. – Ben? Co ty na to, żeby Will chodził z tobą na matematykę i angielski?

Poczułem na sobie wzrok mamy, ale nie odwzajemniłem jej spojrzenia. Gdybym powiedział, że mi się to podoba, to byłaby kpina. Miałem zostać chłopakiem, który radzi sobie w szkole gorzej od młodszego brata? Ale wtedy pomyślałem o innych dzieciakach z klasy. Will był bystrzejszy nawet od Abigail Chaney, która znała już tabliczkę mnożenia. Niedługo przestaną się śmiać.

– Okej. Może siedzieć ze mną w ławce.



Na drugim brzegu wylałem wodę z glanów, włożyłem do nich suche wkładki i ubrałem się, używając koszuli jako ręcznika. Nocny wiatr był tak lodowaty, że nie umiałem powstrzymać drgawek.

Usłyszałem szczęknięcie zębów. Odwróciłem się. Lizzie usiłowała wciągnąć spodnie. Bezskutecznie.

– Pomóc?

Bez słowa podała mi ubranie. Nie wytarła się po wyjściu z wody, więc rozpiąłem jej kraciastą koszulę i roztarłem ramiona. Była sztywna z zimna. W końcu zaczęła oddychać swobodniej. Odwróciła się plecami, zdjęła mokry podkoszulek i włożyła koszulę. Potem stanęła na zdrowej nodze. Wytarłam jej nogi i ostrożnie pomogłem wciągnąć spodnie.

Zapięła je drżącymi rękami, potem znów usiadła, żeby włożyć

buty. Przy prawym zacisnęła zęby. Wstrzymałem oddech, ale kiedy pociągnęła, but wszedł na kostkę. Luźno zawiązała sznurowadło.

Kiedy już wszyscy się ubrali, Will wskazał palcem na zbocze wzgórza.

– Punkt kontrolny jest tam.

– Na pewno? – Grady spojrział na niego, marszcząc brwi. – Chyba powinniśmy sprawdzić na mapie?

Will się odwrócił. Jego twarz nie wyrażała żadnych uczuć.

– Jest pełnia, a więc Księżyc jest oddalony o sto osiemdziesiąt stopni od Słońca i znajduje się dwanaście godzin za nim. Godzinę temu wszedł w tamtym miejscu, a więc tam jest wschód. – Machnął ręką. – Droga przez rzekę i w górę zbocza do współrzędnych punktu kontrolnego jest na mapie linią prostą.

– Tam coś jest – mruknęła Carmen, wpatrując się w górę zmrużonymi oczami.

Spojrzałem przez lornetkę.

– To chyba jakiś kamienny kopiec. W połowie stoku.

– To jest to. – Lizzie uśmiechnęła się wyraźnie zmęczona. – Widać inne zespoły?

Pokręciłem głową.

– Cała góra jest nasza.

Grady rozłożył mapę, ale zaraz znów ją złożył. Zaburczało mu w brzuchu.

– Więc chodźmy tam już i coś zjedzmy.

Ruszył przed siebie, oświetlając drogę skaczącą plamą światła latarki.

Wziąłem Lizzie pod rękę. Uśmiechnęła się z wdzięcznością i zrobiła pierwszy krok, znów opierając ciężar ciała na kiju.

– Spowalням wszystkich – mruknęła.

– Eee tam. – Ścisnąłem jej ramię. – Gdyby nie ty, godzinę temu Grady namówiłby nas, żeby rozbić obóz.

– Nie wiem, czy zdołam wejść na tę górę.

Podniósłszy latarkę, przesunęła snopem światła po skalistym zboczu. Było bardziej strome, niż z początku się wydawało.

Will, Carmen i Grady wyrwali do przodu i już mieli nad nami znaczną przewagę. Moje obite kolano dygotało.

– Noga za nogą – powiedziałem.

Wspinając się, oddychaliśmy coraz szybciej i ciężiej, a kula Lizzie łomotała o ziemię przy każdym kroku.

– Pewnie nie możesz się doczekać roku akademickiego? – spytałem. – Nowi znajomi i te sprawy?

Lizzie nie podniosła głowy.

– To dziwne. Kiedy myślałam, że będziesz przechodził przez to samo, byłam spokojniejsza. Ale teraz...

– Martwisz się, że ty pójdziesz do Swansea, ale mnie nie będzie w Cardiffie?

– To głupie.

– Jeśli chcesz, będę do ciebie przyjeżdżał w każdy weekend.

– Tylko że...

– Że co? – Nachmurzyłem się.

– Nie będziemy robić tego samego. Co będzie, jeśli...

– Jeśli co? – Ścisnąłem jej łokieć.

– Jeśli nie będziemy mieli już o czym rozmawiać? – wyrzuciła z siebie jednym tchem. – Ty będziesz pracować, a ja studiować. – Wreszcie na mnie spojrzała. – Mówiłam ci, że to głupie.

Przełknąłem ślinę.

– Wcale mnie to nie martwi. W najgorszym wypadku możesz

gadać za nas oboje – tak jak zwykle.

– Hej! – Popatrzyła na mnie oburzona.

Odchrząknąłem.

– Jeśli się czegoś boję, to tego, że... twoi nowi znajomi będą mnie mieli za tępego mechanika.

Jej oczy się zwężyły.

– Nie kumpłowałamby się z ludźmi, którzy by tak myśleli. Poza tym co za różnica? Myślisz, że przez nich ja też zaczęłabym o tobie tak myśleć? Sądzisz, że patrzę z góry na Car, bo pracuje u fryzjera? – Wysunęła łokieć z mojego objęcia i zachwiała się. – Nigdy!

Zdażyłem ją złapać, zanim się przewróciła.

– Przepraszam cię, Lizzie. Wiem, że nie jesteś taka. Chciałem tylko powiedzieć, że mnie też to bardzo martwi. – Powlokłem się naprzód. – Musimy coś zrobić, żeby nie oddalić się od siebie. Wiedz, że będę przy tobie, jeśli tylko będziesz tego chciała.

– Wiesz, Ben...

Przerwał jej triumfalny okrzyk Carmen i Willa, którzy dotarli do kamiennego kopca.

– Dokończymy tę rozmowę. – Lizzie kiwnęła głową i podniosła wzrok. – Znaleźliście skrytkę?

– Tak! – zawołała Carmen. – Ale bez ciebie jej nie otworzymy. Dawaj tu swój kciuk!

– Tylko powoli – ostrzegłem Lizzie, bo zaczęła wspinać się szybciej.

Słyszałem, jak wlekący się ponad nami Grady dyszy ciężko.

– Dajesz radę, stary? – spytałem, kiedy go dogoniliśmy.

– Ta, jasne... – Nie podniósł wzroku.

– Już prawie dotarliśmy – pocieszyła go Lizzie. – Zaraz

zdejmiesz plecak i coś zjesz, a my rozpracujemy skrytkę.

Twarz Grady'ego się rozjaśniła i kiwnął głową.

Kiedy dotarliśmy do punktu kontrolnego, Will i Carmen pochłaniali mieszankę orzechową z dużej torby. Grady rozpiął plecak i rozłożył się, dysząc ciężko, a Carmen puściła torbę w obieg.

– Mmm! Biało. – Nasypałem sobie dużą garść orzechów i wrzucałem jeden po drugim do ust, jednocześnie wypatrując przez lornetkę innych zespołów.

Nie dostrzegłem żadnego ruchu, ale po prawej stronie zauważyłem poblask ogniska. A więc przynajmniej jeden zespół zatrzymał się na wrzosowisku, a inne najprawdopodobniej rozbiły obozy po drugiej stronie wzgórza, bo tam były osłonięte od wiatru. Czy tylko my byliśmy wciąż na nogach?

Lizzie dotknęła mojego ramienia.

– Widać stąd morze.

Oderwałem oczy od lornetki i poczekałem, aż złapią ostrość. W oddali nad czarną wodą unosiły się światła frachtowca, a miasteczko na odległej wyspie rozjaśniało kawałek nieba. Za nami stok wzgórza opadał ku zatoce z ujściem rzeki i drogą na dnie cieśniny. Opuściłem lornetkę i przeniosłem wzrok na kamienny stos. Światło mojej latarki wydobyło z mroku łańcuch, na którego końcu znajdowała się metalowa skrzyneczka, mniej więcej wielkości śniadaniówki, z małym czarnym ekranem na górze.

Carmen klasnęła.

– Otwieramy to cholerstwo!

Pomogłem Lizzie zdjąć plecak i usiąść przy skrzynce. Przycisnęła kciuk do ekranu, który w tym samym momencie rozświetlił się słowami: „WITAJ, ELIZABETH BELLAMY”.

– Włączył się! – zawołała i wypuściła powietrze.

Pojawiła się klawiatura dotykowa.

– Genialny gadżet! – Grady wyszczerzył się z lubością. – Gold musiał specjalnie zaprojektować te skrzynki – powiedział i nachylił się bliżej. – Wpisz: „trzęsienie ziemi”.

Lizzie uważnie wstukała wszystkie litery. Skończyła, wcisnęła enter i zastygła w oczekiwaniu.

## Rozdział siódmy

– Chyba teraz coś powinno się wydarzyć? – Carmen zajrzała Lizzie przez ramię.

Jęknąłem.

– Mamy złe hasło.

Carmen zmarszczyła brwi.

– To musi być „trzęsienie ziemi”. Przecież pasuje.

– Ale nie jest. – Will kilka razy kopnął ziemię czubkiem buta. – Kto ma zagadkę?

Wyciągnąłem z kieszeni kartkę i rozłożyłem ją.

– „Co można poczuć, ale nie zobaczyć? Co niszczy, ale nie może być zniszczone?”.

– Widzicie? Trzęsienie ziemi, jak nic. – Carmen skrzyżowała ręce na piersi.

– Inne rzeczy też pasują – stwierdził Will i odgarnął grzywkę z oczu.

– Na przykład jakie?

– Czas! – wykrzyknęła Lizzie. – Czujemy jego wpływ, ale go nie widzimy. I w końcu czas niszczy wszystko.

– A może wirus albo zarazki? – zaproponował Grady. – Czujemy skutki ich działania, ale ich samych nie widzimy.

Znów dopadły mnie dreszcze, dlatego schowałem się za kamiennym kopcem przed wiatrem.

– „Czas” pasuje – odezwał się Will. – Spróbuj go wpisać.



Lizzie wstukała cztery litery. Ekran zawibrował lekko i wyświetlił dwa słowa: „Drugi błąd”.

– Niedobrze. – Przykucnąłem na piętach. – Czyli co? Trzeci błąd i wypadamy z gry?

– No to została nam ostatnia szansa. – Lizzie zdjęła okulary i przetarła je koszulą. – Nie mam pomysłu. Nic mi się nie kojarzy.

– Hej! „Nic” może pasować. – Spojrzałem na Willa. – Albo „nicość”?

Pokręcił głową.

– Czy można czuć nicość?

Stałem z założonymi rękoma.

– Czyli... „wirus”? – Grady wyciągnął rękę do skrzynki, ale Lizzie błyskawicznie złapała go za nadgarstek.

– Nie brzmi dobrze.

– Nic innego nie mamy – zauważyła Carmen.

– Ale jeśli to złe hasło, to odpadniemy. Musimy mieć całkowitą pewność – zaproponowała Lizzie.

– Głosujemy? – Grady odwrócił się do Willa.

Will pokręcił głową.

– Kombinujemy dalej. Może ktoś wymyśli coś lepszego.

– Dobrze, że możemy się schować za tymi kamieniami. Przynajmniej wiatr nie urwie nam głów. – Carmen przycisnęła się do mnie, rozcierając ramiona.

Will i ja wymieniliśmy spojrzenia. Wybuchłem śmiechem.

– No i z czego... – zaczęła Lizzie. – A, jasne!

Sięgnęła do ekranu i zaczęła pisać.

W-I-A-T-R

Wstrzymałem oddech. Przez długą chwilę nic się nie działo, a potem napis znikł i na ekranie pojawiła się grafika z drzwiami.

– Wiem, o co tu chodzi! – Grady znów pochylił się nad skrytką. – Trzeba rozwiązać łamigłówkę, żeby otworzyć drzwi. – Łagodnie przesunął Lizzie na bok. – Pozwólcie, że mistrz się tym zajmie.



Po dziesięciu minutach Grady rzucił skrytkę na ziemię i przyczłapał do nas.

– Nie udało się? – Carmen siedziała oparta o plecak i jadła kanapkę.

– To bez sensu – syknął Grady. – Jestem świetny w te klocki. Wystarczy w odpowiedni sposób poprzestawiać elementy i znajduje się rozwiązanie.

– Może to dlatego że jesteś głodny – zasugerowałem. – Zjedz coś i pomyśl.

– A tymczasem niech Will spróbuje – dodała Lizzie.

Niepocieszony Grady nerwowym ruchem otworzył swój plecak. Wyjął kuchenkę turystyczną i menażkę, otworzył puszkę gulaszu i zaczął ją podgrzewać. Lizzie wyciągnęła własną kuchenkę i wstawiła wodę na herbatę. Niebieskawy poblask miał chłodną barwę, ale płomień ogrzał mój policzek.

Sam planowałem, że będę gotować i piec na ognisku, więc teraz musiałem się zadowolić zimnym, na wpół pokruszonym pasztecikiem Cornish pasty. Kiedy zapach wołowiny wypełnił powietrze, spojrzałem na Grady'ego z zazdrością.

– Chcesz, żebym odgrzał ci drugą puszkę? – zaproponował Grady.

– Dzięki, ale to byłoby nie fair. To twoje żarcie. – Wziąłem

kolejny gryz pasztecika.

Mieliśmy z Willem szczęście, że matka – w przypływie normalności – pozwoliła nam wziąć paszteciki. Namówiłem ją też, żeby dała nam kuskus i makaron błyskawiczny na dwa pozostałe dni, argumentując, że na obozie wędrownym dieta Atkinsa niespecjalnie nam posłuży.

Ale i tak uparła się, żebym spakował wielki kawał sera zawinięty w folię i więcej suszonej wołowiny, niż byliśmy w stanie zjeść.

– Masz, Ben. – Lizzie wcisnęła mi w dłonie kubek z herbatą.

Pierwszy łyk sparzył mi język, ale ciepło spłynęło do gardła i rozlało się w żołądku jak ciepły kompres.

– Udało się, Will? – Lizzie podała mu jego kubek.

Pokręcił głową.

– Grady ma rację, nic nie pasuje.

Carmen wcisnęła papier po kanapce do plecaka.

– Moja kolej.

– Jak sobie chcesz – burknął Will opryskliwie i pozwolił Carmen usiąść przy skrzynce.

Nawinęła włosy na palec, pochyliła się nisko nad skrytką i dotknęła ekranu na próbę.

– ¡Hola!, skrzyneczko – szepnęła.

Potem odchyliła głowę i podniosła skrytkę obiema rękami.

– ¡Hola!?! – wyszeptała pytająco, lekko dmuchając.

Potem uśmiechnęła się i mocno dmuchnęła w ekran. Coś kliknęło i skrzynka się otworzyła.

Will wytrzeszczył oczy.

– Jak to zrobiłaś?!

– No wiesz, nie jestem głupia! – Przekrzywiła głowę. –

Wskazówką był wiatr, nie?

– Ale to było tylko hasło aktywujące klawiaturę – Grady podniósł głowę znad swojej kolacji – a nie wskazówka do otwarcia drzwi.

– Wiatr był i jednym, i drugim. – Objąłem kubek. – Brawo, Carmen!

– Obrazek się poruszył, kiedy na niego dmuchnęłam – przyznała.

– Co jest w środku, Car? – spytała Lizzie.

– Kolejne współrzędne i kolejna zagadka. Są wygrawerowane na pokrywie. Jest też moneta przyklejona do ścianki... i drugie pudełko. – Carmen ostrożnie przechyliła skrytkę i mniejsze pudełko wypadło na ziemię.

### **Trzeci punkt kontrolny**

**78.20: 52.05**

COTWRABPAOŁRRSNYÓATA

Przysunąłem latarkę do otwartej pokrywy i wbiłem wzrok w wygrawerowany napis.

Podniosłem skrzynkę, żeby wszyscy zobaczyli jej wnętrze.

– To nawet nie jest po angielsku!

– Ale tym razem przynajmniej współrzędne nie wydają się porąbane jak poprzednio – mruknął Will, który z Grady studiował już mapę w świetle latarki. Wskazał palcem. – Tutaj. Na brzegu morza.

– A co z zagadką? – Grady wpatrywał się w napis.

– Nie teraz. – Lizzie uważnie przepisała wiadomość do notesu. Odrysowała ołówkiem monetę i wcisnęła notes z powrotem do

plecaka. – Najpierw zróbmy, co trzeba, ze skrytką, a potem znajdziemy miejsce na biwak. Dziś już chyba nie powinniśmy rzucać się na następny punkt kontrolny. Czy wszyscy się zgadzają?

– Zdecydowanie tak – odparł Grady.

– Ale i tak myślę, że możemy sobie pozwolić maksymalnie na sześć godzin snu i musimy ruszyć w drogę bardzo wcześnie.

– Jestem za.

Co za ulga! Byłem na tyle przytomny, żeby włożyć śpiwór do plastikowej torby, więc przynajmniej on będzie suchy.

Carmen wzięła mniejsze metalowe pudełko.

– Ależ to ekscytujące! – Pogładziła je palcem. – Ciekawe, co jest w środku.

– Nasz pierwszy fant geocache<sup>11</sup>. – Grady zatarł dłonie. – Jeszcze tylko pięć i wygramy.

Lizzie wyszczerzyła się w uśmiechu.

– Trzeba tylko zastąpić to, co znajdziemy, czymś o równej lub większej wartości. Jak myślicie, co tam jest?

– Jeśli organizatorzy są cwani – powiedział Will – to będzie kompas albo latarka.

– Latarka by się tam nie zmieściła. – Carmen obróciła pudełko w rękach. – Jest leciutkie.

Przystawiła je do ucha i potrząsnęła. Zagrzechotało.

– Otwórz je wreszcie! – Will zaczął się niecierpliwić.

W lesie, który został za nami, zahuczała sowa. Carmen aż podskoczyła, przyciskając pudełko do piersi. Wiatr prawie zupełnie ucichł. Wstrzymując oddech, otworzyła zatrzask, a po chwili wieko pudełka z takim namaszczeniem, jakby w środku była jakaś relikwia.

Włosy opadały ciemną zasłoną wokół jej twarzy, a kiedy

pochyliła głowę nad pudełkiem, wbijając wzrok w jego wnętrze, jej ręce zaczęły się trząść. Potem zatrzęsnęła wieczko i wcisnęła pudełko Willowi.

– W... Will? – Głos Lizzie zadrżał. – Co jest w pudełku?

Will otworzył wieczko, a potem spojrzał na mnie. Jego brwi uniosły się nieznacznie. Pierwszy raz widziałem, że coś go poruszyło.

– Co tam jest, Will? – Staralem się zachować spokój, ale w głowie miałem już gonitwę myśli.

– No co jest w tym pudełku?! – wrzasnął Grady.

Nie wypowiadając słowa, Will podniósł je tak, żebyśmy wszyscy mogli tam zajrzeć.

W środku był wciąż zakrwawiony, otoczony postrzępionymi dziąslami i wypełniony połyskującym w świetle latarki amalgamatem... zęb.

## Rozdział ósmy

– To jest ludzki ząb – wymamrotał Grady. – Z plombą.

– Fakt. Kompas to to nie jest. – Will przekrzywił głowę, a potem się rozejrzał. – Może ktoś robi nam kawał?

– To prawdziwy ząb, Will. To nie jest kawał. – Objąłem się ramionami.

– Któryś zespół chce nas przestraszyć, żebyśmy się wycofali – wyszeptała Lizzie.

– To podła sztuczka! – Oczy Grady’ego błysnęły w mroku.

Carmen trzęsła się, mamrocząc na przydechu: ¡*Dios mío!*<sup>12</sup>

– Ktoś wyjął oryginalny przedmiot i zastąpił go takim, którego wartości nie przebijemy. – Lizzie zamknęła oczy. – Tylko tak umiem to sobie wytłumaczyć.

– Ale kto? – Zdrętwiałem. – Kto wyrywa sobie ząb, żeby sabotować inny zespół?

– Ktoś, na kogo lepiej, żebyśmy nie wpadli. – Carmen roztarła sobie ramiona, jakby było jej zimno.

– Zespół, który naprawdę chce wygrać – dodał Grady.

– My też naprawdę chcemy wygrać, ale czegoś takiego byśmy nie zrobili. To jest... oszustwo – zacisnąłem bezsilnie pięści.

– Prawdę mówiąc, to całkiem dobry pomysł – powiedział Will w zamyśleniu. – No bo co nam pozostaje? Albo musimy zrobić tak samo, albo się poddać. Nie wiadomo, co było w skrzynce, zanim otworzyli ją ci przed nami. Ale musiało to być coś cennego, skoro

uznali, że równą wartość ma wyrwany ząb.

– Może uda nam się zgadnąć, co to było? – Lizzie zdjęła czapkę i chwyciła się za włosy. – Pudełko jest małe, więc to mógł być kompas.

Grady potarł skronie.

– To mogło być cokolwiek: zegarek, jedzenie, biżuteria, mapa, iPod, pieniądze, spray na owady... No, cokolwiek!

Carmen usiadła.

– To miała być zabawa!

– Nadal może być. – Lizzie zmięła czapkę w dłoni. – Tylko musimy to rozpracować. Jak zwykłą łamigłówkę. Udowodnimy, że nie można nas zniechęcić i przejdziemy do następnego punktu kontrolnego, bo poza tym zostało ich jeszcze pięć.

– To może nam wyjść na korzyść – dodał Grady. – Jeśli konkurencja się przersedzi...

Pokręciłem głową.

– Sam nie wiem, Lizzie. Po tym numerze odechciało mi się bawić w poszukiwaczy skarbów...

– Chcesz się wycofać? – Wbiła we mnie wzrok.

Zapadła cisza wypełniona jedynie brzęczeniem meszek i odległym poszumem morza.

– Skoro się nie wycofujemy, to musimy postąpić zgodnie z zasadami gry – odezwał się w końcu Will. – Trzeba zastąpić ząb czymś o równej wartości.

– Ale... co ma taką samą wartość jak ząb? – Lizzie przeniosła spojrzenie na niego.

– Czyjeś buty? – podsunął Grady.

Lizzie potarła oczy.

– A jeżeli sędziowie tego nie uznają? Wtedy nici z pieniędzy.



– Poza tym jak zamierzasz upchnąć buty w tym pudełku? – zaszydził Will.

– To może kasa? – podsunęła Carmen.

– Ale ile? – Will przekrzywił głowę. – Ile funtów może kosztować ząb?

– Pięćdziesiąt? – wypalił Grady.

– Masz pięćdziesiątaka, Grady? – spytałem. – Bo sklepów tu jak na lekarstwo...

Popatrzył na mnie z wyrzutem.

– Założę się, że wszyscy wzięliśmy kasę, bo przecież sklepy są na lotniskach. Kiedy się złożymy, to powinno wystarczyć.

– Mam około dychy. – Lizzie podrapała się w głowę. – Ale czy pięćdziesiąt wystarczy? I czy oni naprawdę chcą pieniędzy?

– Mówię to niechętnie, ale kasa wydaje mi się zbyt łatwym rozwiązaniem – pomyślałem głośno. – Nie ma w niej poświęcenia, o które chyba właśnie im chodzi.

– Chcesz kogoś złożyć w ofierze, chico? – Carmen wytrzeszczyła oczy. – Może Lizzie i ja powinnyśmy były wziąć po białej sukience?

– Bardzo śmieszne. – Pokręciłem głową. – Wiesz, o co mi chodzi. Cokolwiek Fundacja Golda umieściła w tej skrzynce, na pewno nie chcieli, żeby zastąpić to pieniędzmi. Nie wydaje mi się, żeby to była zabawa dla bogatych dzieciaków, które wykpią się ze wszystkiego, szastając kasą.

– Czyli odpadamy? – Głos Carmen się trząśł. – Wracamy do domu?

– Nie! – wybuchnął Grady. – Wykombinujemy coś.

– Spójrzmy prawdzie w oczy: możemy zostawić tylko jedną rzecz. – Will znów potarł podbródek. – Ząb.

Carmen zerwała się na równe nogi.

– Chyba jesteś *loco*!<sup>13</sup>

– Jeżeli zostawimy coś innego – kontynuował Will – to jest ryzyko, że nie trafimy i pod koniec wyprawy nas zdyskwalifikuja. Ząb będzie zgodny z zasadami. Nikt nie zakwestionuje faktu, że zostawiliśmy coś o wartości równej temu, co znaleźliśmy. Więc nie czeka nas dyskwalifikacja.

– A może im powiemy, że znaleźliśmy kompas albo kolczyk? – zaproponowała Carmen.

– Myślisz, że nas nie obserwują? – spytał Will. – Z pewnością wiedzą, co teraz jest w skrytce.

– Mam to gdzieś – warknęła Carmen. – Nie mogą oczekiwać, że...

– To może zagłosujemy? – usłyszałem własny głos. – Poddajemy się i wracamy do domu albo zostawiamy ząb... tak?

Carmen miała wojowniczą minę.

– Nie podoba mi się to.

– A weterynarzem chcesz zostać bardzo czy tylko trochę? – Po tym pytaniu Lizzie ramiona Carmen opadły.

– Jaką metodą głosujemy? – Grady poszedł za ciosem.

Podniosłem kilka kamyków leżących u podnóża kopca i rozdałem je. Potem wziąłem skrytkę z punktu kontrolnego i wyjąłem z niej wszystko oprócz przyklejonej monety.

– Wszyscy odwracamy się i puszczam skrytkę w obieg. Kto uważa, że powinniśmy zostawić ząb, wkłada swój kamień. Kiedy skrzynka wróci do mnie, liczymy głosy.

Wbiłem wzrok w skrzynkę, a potem w kamyk. Poddajemy się czy gramy dalej? I tak nie wydostaniemy się z wyspy, zanim woda nie opadnie i nie podniosą grobli, czyli spędzimy tu jeszcze trzy

dni. Ale moglibyśmy rozbić obóz przy domku na plaży, wyluzować się i wrócić spacerkiem do domu, tak jak przyszliśmy. Nie planowaliśmy tego, ale przynajmniej mielibyśmy parę dni wakacji.



– Ile T-shirtów? – Obrzuciłem spojrzeniem łóżko Lizzie z jej rzeczami gotowymi do spakowania.

– Jest sierpień, więc pewnie będzie gorąco i na pewno musimy mieć ciuchy na przebranie.

Lizzie uniosła brwi. To była aluzja do naszego pierwszego wyjazdu pod namiot, na który Will i ja zabraliśmy tylko po jednej koszulce i jednej parze spodni. Próbowałem ją przekonać, że jeśli przewrócę bokserki na lewą stronę, to znów będą jak nowe, ale mój pomysł nie spotkał się ze zrozumieniem.

– Co jeszcze bierzesz? – spytałem.

Miałem ze sobą długą listę. Jej spisanie zajęło prawie cały dzień, bo zawierała wszystkie rzeczy, które uznaliśmy za przydatne w czasie wyprawy. Jeśli zabierzemy wszystko, co się na niej znajduje, to Lizzie i mnie niczego nie zabraknie.

– Sprzęt do wspinania, oczywiście. – Lizzie wskazała stertę gratów na podłodze. – Każdy będzie potrzebował podstawowego wyposażenia, ale sama wezmę cały zestaw: karabińczyki, hexy<sup>14</sup> i resztę.

– A kuchenkę bierzesz? – Usiadłem na podłodze.

– Może nie być czasu, żeby na każdym biwaku rozpalać ognisko. – Wepchnęła ją do plecaka. – Apteczka, zapas skarpetek, żarcie, napój energetyczny, menażka, łyżkowidelec, kubek, herbata w torebkach, mleko w proszku, komórka, notes i ołówek, talia kart. – Zerknęła na łóżko. – Czego brakuje?

– Kompas, latarki i karimaty.

– Od ostatniego wyjazdu leżą pod łóżkiem. – Wyciągnęła je

i położyła z innymi rzeczami. – Czego jeszcze?

– Ręcznika?

– I szczoteczki. – Zanotowała na kartce. – Włożę ją rano do apteczki, kiedy umyję zęby. – Podskoczyła do toaletki. – Dezodorant, nawilżacz.

– Poważnie?

– To ważna rzecz – stwierdziła i otworzyła szufladę. – Kostium kąpielowy.

– Myślisz, że się przyda?

– Może... Jeśli jeden z punktów kontrolnych będzie pod wodą.

Coś grzmotnęło i drzwi do pokoju Lizzie się otworzyły. Stała w nich Carmen z ręką opartą na biodrze.

– Twoja mama powiedziała, że jesteś na górze. Jeszcze niegotowa? Ja już jestem spakowana i skończyłam pracę. Teraz musimy tylko wygrać i nie będę musiała znów się łaścić o tę okropną fuchę!

Wyjęła telefon i zmusiła mnie do wspólnego selfie. Wyszczzerzyłem się do obiektywu.

– Farbowałam dziś włosy pani Arnett. Sama się zgodziła – oznajmiła Carmen, nakładając filtr na zdjęcie, i podniosła komórkę, żeby mi je pokazać. – Wyszły fioletowe. Poszła się poskarżyć. Ale przecież Rosa uprzedzała ją, że dopiero się uczę. Co za niewdzięczne babsko! Mnie by się podobały fioletowe włosy. – Uśmiechnęła się szeroko. – O wiele bardziej wolałabym pracować ze zwierzętami. One nie narzekają.

Lizzie parsknęła śmiechem.

– Spakowałaś kostium kąpielowy?

Carmen wzruszyła ramionami.

– Nie. Jeśli zachce mi się kąpiele, to przecież mam bieliznę.

Lizzie upchnęła swój kostium w plecaku.

– Ale wzięłam wódkę. – Carmen trąciła mnie łokciem.

Zatarłem dłonie.

– Karty, alkohol, muzyka w komórkach. Nie będziemy się nudzić przy ognisku. To będzie superwyjazd.

Carmen rozejrzała się po pokoju.

– A gdzie Will?

– Z matką. Odwała jej, jakby miała go już nigdy więcej nie zobaczyć.

– Ale tak na serio – Carmen pochyliła się w naszą stronę – będziemy się dobrze bawić, tak?

Spojrzałem na Lizzie.

– Najlepiej.

– Wieczorami możemy się nawet kumplować z innymi zespołami – zasugerowała Lizzie. – Urządzimy prawdziwą imprezę.

– Chcesz imprezować z rywalami? – zdziwiłem się.

– Też prawda. Ale jestem pewna, że to będą fajni ludzie. – Skończyła zwijać namiot i umocowała go na górze plecaka. – Proszę, będzie w czym spać. To już wszystko.

Odnaczyłem jej rzeczy ptaszkami na liście.

– Może powinniśmy zabrać coś jeszcze, żeby ułatwić sobie rozwiązywanie zagadek?

– Mamy telefony. Wikipedia twoim przyjacielem – zawyrokowała Carmen.

Lizzie zmarszczyła brwi.

– Myślisz, że tam będzie zasięg?

– Możemy spakować słownik i kalkulator – podsunąłem. – Tak na wszelki.

– Dobry pomysł. – Lizzie znalazła kieszonkowy słownik na dnie szuflady w biurku.

– A skąd ty toto masz? – Carmen wytrzeszczyła oczy.

– Wygrałam w szkolnym konkursie – odparła Lizzie, pakując kalkulator. – Coś jeszcze?

– Hm... narzędzia? – zastanowiłem się.

– Po co nam narzędzia? – powiedziała Carmen. – Obciążysz tylko biedną Lizzie, chłopaku. Przecież masz scyzoryk, nie?

– No tak, ale jeżeli trzeba będzie zbudować tratwę albo...

Carmen wyrwała mi listę.

– Posłuchaj, Grady ma czekan i kombinerki, ty – toporek. Mamy linę, którą można związać kłody. Ja mam składany nóż. Czego więcej nam trzeba? Przestań się martwić! – Oddała mi listę. – Wszystko mamy przemyślane. I strategię również: cały czas napierać do przodu i codziennie zaliczać tyle punktów kontrolnych, ile się da. Wiemy, co robić. I możemy wygrać.

– Po mojemu to za dużo w tym improwizacji. – Rzuciłem spojrzenie Lizzie.

– Nie bardzo możemy coś więcej zaplanować. – Wzruszyła ramionami. – Nie wiemy, gdzie są punkty kontrolne, ani jak będą wyglądać. Najważniejsze, żebyśmy zaliczyli wszystkie siedem.

– I zgarnęli po bańce – dodała Carmen.

– Przez te trzy dni możemy się ustawić na resztę życia – stwierdziłem, wystawiłem pięść, a Carmen przybiła mi żółwika.



A zatem, jeśli postanowimy zostać w grze, ktoś będzie musiał stracić ząb.

Kiedy Will miał siedem lat, zrobił mu się ropień. Dentysta powiedział, że trzeba będzie wyrwać ząb, a mama uparła się, że

i ona, i ja musimy być z Willem w gabinecie, żeby się nie bał.

Dentysta powiedział Willowi, że zastrzyk znieczulający zaboli bardziej niż samo rwanie, a i to będzie tylko małe ukłucie. Miał szeroki, olśniewający białą uśmiech i włosy nażelowane, gładko zaczesane do tyłu. Will wrzasnął, kiedy igła wbiła mu się w dziąsło. Wyjąwszy strzykawkę, wyrwiźab dziabnął Willa palcem w rękawiczce, żeby sprawdzić, czy znieczulenie już działa. Wtedy Will ugryzł go z całej siły.

Przyszła dentystka, żeby dokończyć zabieg. Siedziałem na krześle na końcu gabinetu, patrząc, jak mama trzyma mojego brata za rękę, a on wierci się, trzęsie i wreszcie wyrywa mu się krzyk bólu, który przeszył całe moje ciało.

– To go nie boli – przekonywała dentystka. – Ale to dziwne uczucie. Dzieci zwykle tego nie lubią.

Przekręciła szczypce, szarpnęła i po chwili uniosła je, prezentując Willowi ząb, który potem włożyła do kopertki, żeby mógł zabrać go do domu.

To spojrzenie, którym Will zmierzył dentystkę, kiedy stanęła do niego plecami...



Nigdy nie zapomnę tego spojrzenia. Tamten zabieg dał Willowi w kość. A teraz, jeżeli mamy pozostać w grze, któreś z nas będzie musiało przejść przez to samo, tylko bez znieczulenia. Może nawet będę to ja.

Czy aż tak bardzo potrzebuję tych pieniędzy? A raczej – czy naprawdę przez całe życie chcę naprawiać samochody?

Gdybyśmy zostali na wyspie i wygrali ten turniej, to mógłbym pójść na inżynierię lądową, Carmen – na weterynarię, Lizzie spłaciłaby kredyt rodziców i miała na chesne na uniwerku, a Grady... no... on mógłby sobie założyć tę swoją gazetę dla

czubków i obnażać światowe spiski reptilian<sup>15</sup> i masonów.

No dobra, wydało się. Według mnie Grady marzył o bzdurach, ale wszyscy pozostali mieli sensowny plan na życie.

Po części chciałem też pozostać w grze tylko po to, żeby pokazać zespołowi, który podłożył nam ząb, że tak łatwo się nie poddamy. No właśnie, a co z innymi zespołami? Czy któryś z nich wycofa się z zawodów na widok zęba w skrytce?

Obecnie nasze szanse na wygraną wynosiły jeden do dziewięciu. Wzrosną, jeżeli któryś zespół zrezygnuje, a my pozostaniemy w grze.

Cicho włożyłem swój kamień do pudełka i przekazałem je dalej.

Jak zagłosują pozostali?

Nasłuchiwałem uderzeń kamieni o metal. Pudełko zagrzecotało, przechodząc z rąk do rąk, więc co najmniej jedna osoba zagłosowała, że zostajemy. Co robi Will?

Wreszcie Carmen włożyła mi pudełko do rąk. Przełknąłem ślinę.

– Możecie się odwrócić – oznajmiłem i potrząsnąłem „urną”.

W środku był więcej niż jeden kamień. Jeśli były tylko dwa, to znaczy, że rezygnujemy z gry.

Otworzyłem wieczko, żeby wszyscy mogli zajrzeć do środka jednocześnie.

Były trzy. Nabrałem powietrza z ulgą, ale i przerażeniem. Gramy dalej.

Przechyliłem pudełko, żeby wyrzucić kamienie na ziemię.

– Okej. – Potarłem twarz. – No to została nam jeszcze jedna decyzja.

Po chwili usłyszałem głos Grady’ego:

– Możemy ciągnąć słomki...

Lizzie się wyprostowała.



– Jestem kapitanem zespołu. To powinnam być ja.

– Nie – zaoponowałem. – Na pewno nie ty. Właśnie dlatego że jesteś kapitanem. Kapitan musi być w formie, a ty już i tak masz kontuzję.

– Carmen będzie wyrywać – odezwał się Will. – Jest naszą lekarką. Poradzisz sobie, no nie, Car?

Carmen pobladła.

– Si... Chyba tak.

– Okej. – Grady objął się ramionami. – Ty, ja czy Will? Słomki? Pokręciłem głową.

– Jeśli Will wróci do domu bez zęba, to matka wpadnie w szal. Lizzie spojrzała na mnie ostro.

– Ben, to fair...

– Tak będzie – przerwał jej Will miękkim głosem.

Popatrzyłem na Grady'ego.

– A więc ty... albo ja.

Wbił we mnie wzrok. Podniosłem kamień, pokazałem mu go i odwróciłem się. Zacisnąłem pięści, ukrywając kamień w jednej z nich.

– Wybieraj. – Stałem do niego przodem. – Kto zostanie z kamieniem, ten traci ząb.

Grady wyciągnął palec. Zatrzymał go nad jedną pięścią, a potem nad drugą. Czułem, jak kamień wpija się w moją dłoń. Ręka mi się trzęsła.

– No, wybieraj. – W głosie Willa wyczułem znudzenie.

Grady klepnął mnie w prawą pięść.

Serce zadudniło mi niczym młot. Powoli otworzyłem lewą dłoń i pozwoliłem, żeby kamień spadł na ziemię.

Grady wydał okrzyk triumfu, ale Lizzie go uciszyła.

– Jesteś pewien, Ben?

– Tak. Sam tego chciałem. – Wykrzywiłem się w wymuszonym uśmiechu. – Głosowałem, żebyśmy zostali w grze.

Carmen jęknęła cicho.

– Oj, chico, wcale mi się to nie podoba.

– A może wszyscy poczujemy się lepiej, jeżeli Benowi się to opłaci? – Will przekrzywił głowę. – Zróbmy tak: za oddanie zęba dostanie od każdego z nas działkę z wygranej. Powiedzmy dwadzieścia pięć koła.

Grady spochmurniał.

– Dwadzieścia pięć tysięcy funtów od każdego?

– Ben zgarnie dodatkowe sto kawałków, a reszta zadowoli się kwotą 975 tysięcy na głowę.

Usta Carmen rozchyliły się w uśmiechu.

– To brzmi fair.

Lizzie przytaknęła.



Matthew znów się ze mnie wyśmiewał.

– Ben zrzynda pracę od młodszego brata! Ben zrzynda pracę od młodszego brata! – krzyczał i wymachiwał rękami: – Bo Ben jest tępą jak gumowy młotek!

Najstarsza dziewczynka z naszej klasy przeszła do nas przez cały plac zabaw. Miała długie włosy, które zawsze nosiła zaplecione w luźny warkocz. Niesforne kosmyki rozwiewały się po jej twarzy. Miała okulary – niebieskie oprawki z motywem z Gwiezdných wojen. Żeby pozbyć się poprzednich, z logo Disneya, musiała przez kilka długich miesięcy użerać się z rodzicami.

Oparła ręce na biodrach.

– A Matthew Harris jest wrednym palantem – wypaliła i kopnęła go z całej siły w piszczel.



Lizzie stanęła przy mnie, a Carmen przystąpiła do sterylizowania kombinerek Grady’ego w menażce z wrzątkiem.

– W ogóle nie powinniśmy brać tego rozwiązania pod uwagę. – Jej głos przepełniony był żalem. – Co z nas za ludzie?

– Spokojnie Lizzie, wytrzymam. – Podniosłem latarkę w poszukiwaniu Willa. Mógłby mi chociaż powiedzieć, że jego doświadczenie z dentystą nie było aż tak okropne, jak je zapamiętałem. Zamiast tego wzruszył ramionami.

– To boli jak cholera, ale cała sprawa długo nie potrwa. Poza tym możemy cię znieczulić.

– Jak? – Lizzie się ożywiła.

– Mamy środki przeciwbólowe. – Grady otworzył swoją apteczkę. – Poświeć mi, Will. Może tramadol?

Lizzie wytrzeszczyła oczy.

– Babcia to brała po operacji. Skąd masz te prochy?

– Od ojca. – Grady wyciągnął pudełko. – Wypisał mi receptę, tak na wszelki wypadek.

– No i widzisz, Ben? – Will nareszcie odezwał się jak człowiek. – Prawie nic nie poczujesz.

– Co jeszcze możemy zrobić? – spytała Lizzie.

Usta Willa wykrzywiły się w zimnym uśmiechu.

– Mózg wytwarza własne substancje przeciwbólowe, ale żeby mógł to zrobić, Ben musi się zrelaksować.

– Tramadol to załatwi – powiedział Grady.

Spojrzałem na dwie tabletki, które wycisnąłem sobie na dłoń.

– Ja też mam coś, co go rozluźni! – Carmen odłożyła kombinerki

do czystej menażki i wyciągnęła magiczne grzybki z kieszeni kurtki. – Proszę!

– No, nie jestem pewien... – Zmarszczyłem brwi.

– Przecież niedawno je brałam. Nie zaszkodzą ci. – Złamała jednego grzybka na pół. – Masz, tyle spokojnie wystarczy.

Lizzie objęła mnie ramieniem, a ja przybliżyłem się do niej.

– Weź go, Ben – powiedziała.

Chwyciłem grzybka drugą ręką i przysunąłem do oczu.

– Zadziała z opóźnieniem – wyjaśniła Carmen – więc nie marudź i łykaj.

Włożyłem go do ust. Nigdy dotąd nie próbowałem czegoś tak paskudnego.

Carmen zamknęła mi usta ręką.

– Nie wypluwaj.

– Błę!

Odsunąłem się, bliski wymiotów.

– Musisz to popić. – Lizzie rozejrzała się za wodą, ale Carmen podsunęła mi już butelkę wódki, której etykieta zabłysła złotem w świetle latarki.

– Tym.

– Uuu, będzie miał niezły odlot – zauważył Will.

Położyłem kapsułki tramadolu na języku. Zawahałem się przez sekundę, a potem zmyłem je do gardła tanią wódką od Carmen.

Lizzie spojrzała na Willa.

– Możemy coś jeszcze zrobić?

– Odwrócić jego uwagę – odpowiedziała.

– Będę cię trzymać za rękę – stwierdziła Lizzie, ale Carmen parsknęła śmiechem.

– O, widzę, że świetnie się znasz na chłopakach.

Zacząła ściągać przez głowę sweter i koszulkę. T-shirt stłumił jej głos. Will i Grady wybałuszyli oczy na widok koronkowego stanika, powoli wyłaniającego się spod koszulki. W świetle latarki, którą Grady skwapliwie wycelował w Carmen, okazało się, że stanik jest jaskrawoczerwony. Nie mogłem oderwać od niego oczu. Kolor płonął na tle jej oliwkowej skóry. Może to grzybki zaczęły już działać?

Błądząc spojrzeniem między butelką wódki a czerwoną koronką, poczułem zawroty głowy, a świat zaczął się rozstępować na boki.

Carmen przełknęła ślinę.

– Na pewno chcesz, żebym ja to zrobiła? Nie wolisz, żeby Will mnie zastąpił?

– Działaj – odparłem.

Znalazłem duży, płaski kamień i usiadłem na nim ciężko.

Carmen dotknęła kombinerek.

– Który ząb, Ben?

– Żaden z przednich – powiedziała Lizzie.

– Te z tyłu najtrudniej wyrwać. – Grady zmarszczył brwi.

– Może trzonowa ósemka? – Will rozdziawił się i wskazał ją palcem. – O, ta.

Wziąłem głęboki wdech. Przez chwilę znów zakręciło mi się w głowie, ale w końcu kiwnąłem, że się zgadzam. Oddałem butelkę Grady’emu, który pociągnął z niej długi łyk.

– Do zobaczenia po drugiej stronie tęczy.

Palce Lizzie zaczęły więc się jak węże.

– Wcale mi się to nie podoba.

Starłem się nie skupiać na fakcie, że Carmen sięgnęła po kombinierki rozedrganą dłonią.

– Will, musisz go unieruchomić.

Kiwnął głową i stanął za mną. Ciężar jego dłoni na ramieniu wywołał we mnie niekontrolowany dreszcz. To nie był gest pocieszenia, tylko środek przymusu bezpośredniego, mający zapobiec mojej ucieczce.

Długi, wijący się robal przelazł mi po wnętrzu dłoni w drodze z jednej skalnej szczeliny do innej. Podniosłem rękę do oczu i mrugając, przyjrzałem się palcom.

Grady wcisnął mi do ręki butelkę wódki i pomógł podnieść ją do ust.

– No, zdrówko.

Wlałem w siebie spory łyk wódki. W głowie łomotało mi jak w kotle. Poczułem wilgoć na koszuli. Przez zdrętwiałe wargi więcej rozlewałem, niż łykałem. Wbiłem wzrok w Carmen. Jej czarne włosy zsunęły się do przodu, łaskocząc mnie w policzek, ich różowe końcówki wyglądały w ciemności na szare.

Rozejrzałem się za Lizzie. Stała za Carmen, przestępując z nogi na nogę. Wyciągnąłem do niej rękę.

– Potrzymasz mnie?

Moje słowa zabrzmiały dziwnie. Były stłumione, jakbym słyszał je z oddali.

Lizzie opadła na kolana w wilgotną trawę i chwyciła moje palce swoimi.

W końcu Carmen zabrała mi butelkę.

– Jak tam samopoczucie, chico?

– Jak w raju.

Moje spojrzenie błędziło między jej stanikiem a niebieskimi oczami Lizzie.

– Zaśpiewaj mi coś – wybełkotałem.

Normalnie nigdy nie poprosiłbym jej o coś takiego. Musiałem mieć się na baczności, bo najwyraźniej język mi się rozplątał. Co będzie, jeśli palnę coś jeszcze głupszego? „Zawsze cię kochałem, Lizzie”. To by było po prostu świetne. Otworzyłem szybko usta i wskazałem na nie wolną ręką.

– Rób, co musisz.

W jednej chwili ręce Willa unieruchomiły moje skronie jak imadło. Nie widziałem już Lizzie, ale słyszałem jej cichy śpiew płynący wprost do mojego ucha. To była stara piosenka, ta, którą często śpiewała w samochodzie. Oboje znaleźliśmy słowa na pamięć.

Carmen chwyciła mnie za szczękę, rozwarła ją i unieruchomiła, a drugą ręką włożyła mi do ust kombinerki.

Nietoperze łopotały wokół naszych głów jak nieuchwytnie plamy na tle nieba. Poczułem skurcz żołądka i zrobiło mi się niedobrze. Próbowałem odwrócić głowę, ale Will trzymał mnie naprawdę mocno. Czułem wymioty zbierające się w przełyku. Palce Lizzie splecione z moimi. Gonitwa myśli. Stanik Carmen. Księżyc. I... BÓL!

Kombinerki chwyciły mój trzonowiec. Carmen pociągnęła. Z początku nie poczułem nic, jakbym miał tam kawałek drewna, ale potem zakończenia nerwów obudziły się i zawyły bólem.

Rzuciłem się jak byk na rodeo, dławiąc się własnym krzykiem.

Will szarpnął mnie mocno, przewracając na wznak. Poczułem jego kolano na klatce piersiowej, a pod plecami głaz. Zacząłem się trząść i tłuc piętami o ziemię.

– Pośpiesz się! – krzyknęła Lizzie.

Skupiłem uwagę na twarzy Carmen. Była spocona, miała zmarszczki między brwiami i powieki ściśnięte w szparki.

– Nie... mogę... – wycedziła przez zęby. – Nie chce... wyjść. Grady, pomóż mi.

Zajął jej miejsce, a Carmen pomogła mu dobrze chwycić kombinerki.

– Ciągnij!

Zaparł się o skałę i odchylił. Spomiędzy jego palców wyrwał się mój skowyt. Zdechnę tu!

– Niedobrze, niedobrze, niedobrze. – Lizzie powtarzała to słowo jak mantrę, ściskając mnie tak mocno, że prawie połamala mi palce.

Oczy wyszły mi z orbit. Grady szarpnęła ponownie, tym razem obracając kombinerki. Poczułem, jak ząb się obluzuje i gęsta krew zalewa mi gardło. Miała posmak miedzi. Zakrztusiłem się.

– Już prawie. – Grady obrócił kombinerki jeszcze raz.

Targnął mną szloch.

Grady'emu wyrosły rogi. Jego skóra stała się purpurowa, a zęby zmieniły się w długie kły. Oczy napełniły mu się krwią, na czole wystąpiły czarne żyły.

Tysiące meszek oblaży naga pierś Carmen i z jej niemiłosiernie pogryzionej szyi zaczęła spływać krew. Spróbowałem odwrócić głowę. Udało mi się tylko spojrzeć na Lizzie.

Jej niebieskie oczy pokryły się szklistym, trupim bielmem. Po jej twarzy spływała woda, a może łzy, które zmieniły się w ocean. Jej ubranie i w ogóle wszystko przesiąkło na wskroś. Lodowata strużka sączyła się z jej ręki na moją. Wrzasnąłem i wtedy zawisła nade mną twarz Willa. Była zupełnie bez wyrazu. Normalna twarz Willa, z chłodnymi, ciemnymi oczami i ustami wykrzywionymi w tym jego uśmiechku pojawiającym się nie wiadomo z jakiego powodu.

– Chyba ma halucynacje! – krzyknęła Carmen.

Oczy Willa wwierciły się w moje.

– Po tym wszystkim, co wziął, to nic dziwnego.

Grady wydał z siebie ostatnie stęknienie wysiłku i wyrwał mój



zęb z korzeniami.

Upadł na plecy, ale nie wypuścił kombinerek. Zatoczyły łuk i chlusnęły fontanną krwi, ochlapując zszokowaną twarz Lizzie i pierś Carmen.

Will uwolnił mnie z uścisku. Przekręciłem się na bok i spadłem z głazu na ziemię. Zacząłem pluć krwią w błoto i wymiotować na trawę, jakby mi się flaki rozpruły. Prawie nie czułem, że Lizzie głaszcze mnie po plecach. Wokół moich stóp rozpostarł się gorący, kwaśny paw z wódki, krwi i pogryzionych grzybków.

– Już po wszystkim, Ben. – Słowa Lizzie niosły ukojenie.

Spróbowałem wstać, ale nie miałem władzy w nogach i rękach, więc opadłem na ziemię. Usta wypełniały mi się metalicznym smakiem. W miejscu trzonowca ziała bolesna pustka. Jeszcze raz wyplułem krew.

– Proszę. – Carmen wepchnęła mi do ust swój T-shirt; był jeszcze ciepły od jej ciała.

– Hej, popatrzcie. – Grady wstał chwiejnie i uniósł mój ząb, który miał korzenie długie jak nogi. Szkliwo upaprane było krwią i kawałkami chrząstki. – Udało mi się.

– Brawo, Grady. – Lizzie nawet na niego nie spojrzała. – Włóż ząb Bena do skrzynki. Tamten drugi zabierz i owiń go w moją ściereczkę do okularów. Jest w etui w bocznej kieszeni mojego plecaka. I tam go schowaj.

– Will? – W głosie Carmen usłyszałem niepokój. Ręce, którymi przytrzymała mi swój T-shirt w ustach, wyglądały, jakby je zanurzyła w atramencie. – Dlaczego on ciągle krwawi?

Will zmrużył powieki.

– O-o.

– Co: „o-o”? – warknęła na niego Lizzie.

– Ile wódki wypił?

Carmen podniosła butelkę.

– Jedną trzecią.

– Alkohol rozrzedza krew – powiedział Will. – Powinienem być wcześniej o tym pomyśleć.

Lizzie spojrzała na przesiąknięty krwią T-shirt Carmen, a potem na apteczkę Grady'ego.

– Nie masz tam czegoś na powstrzymanie krwotoku?

Grady pokręcił głową.

## Rozdział dziewiąty

– Ben musi zjeść, napić się i odpocząć. – Lizzie znów przejęła dowodzenie. – Nie możemy tu rozbić obozu, bo zaraz mogą się pojawić inni. Will, Grady, możecie zejść na dół i znaleźć na wschodnim stoku miejsce do rozbicia namiotów? Rozpalcie ognisko i zacznijcie przygotowywać jedzenie. Carmen i ja sprowadzimy Bena.

Will i Grady założyli swoje plecaki, a potem obarczyli się z przodu jeszcze moim i Lizzie. Wyglądali jak plasterki szynki między połówkami kajzerki.

– Twojego już nie weźmiemy, Carmen – oświadczył Will.

Grady stęknął i ugiął kolana.

Carmen założyła swój plecak.

– Nie trzeba, querido amigo<sup>16</sup>, ja nie mam kontuzji. Kiedy zejdziemy, z namiotem też sobie poradzę.

Will kiwnął głową i odwrócił się.

– Nie zapomnijcie zamknąć skrytki – zawołał jeszcze, gdy ruszyli w dół zbocza.

Zamglonym wzrokiem widziałem, jak Lizzie podnosi pudełko z moim zębem w środku. Włożyła je z powrotem do skrytki umocowanej na łańcuchu i zamknęła wieko z ekranem, a potem przycisnęła do niego kciuk. Zamek kliknął.

– Źle się z tym czuję – odezwała się po chwili. – Zostawiamy następnej grupie ten sam problem.

– Jak myślisz, co zrobią? – spytała Carmen.

Miała na sobie zielony sweter. Kiedy zdążyła się ubrać?

– Mam nadzieję, że się wycofają.

W wyobraźni zobaczyłem, jak przez tę głupią, wredną sztuczkę inni też wyrywają sobie zęby. Przełknąłem ślinę, ale moje gardło zalała nowa fala krwi i znów zebrało mi się na wymioty.

– Biedactwo. – Lizzie pogłaskała mnie po czole.

Przysunąłem się do niej.

– Nie możemy tutaj odpoczywać, chico. – Carmen pomogła mi wstać.

Zatoczyłem się, ale Lizzie mnie ustabilizowała. Pod pachą miała swoją kulę.

– Musimy tylko zejść ze zbocza – mruknęła na zachętę. – Małymi kroczkami.

Ziemia pod stopami zachowywała się jak gąbka, więc znów się zatoczyłem i klapnąłem twardo na tyłek, omal nie przewracając Lizzie.

– Dajmy mu chwilę – usłyszałem jej głos. – Jest zalany w trupa i krwawi. Będziemy miały szczęście, jeżeli uda nam się iść prosto.

– Większość zwrócił. – Głos Carmen był poważny.

– Ale pewnie dużo już strawił?

Lizzie usiadła obok i objęła mnie ramieniem.

– Krwotok chyba się zmniejszyła – powiedziała. – Chodźmy, Ben.

– Wody – wycharczałem szeptem.

Chciałem wypłukać usta.

– Jeszcze nie. – Carmen ścisnęła moją rękę. – Najpierw musi ci skrzepnąć dziąsło.

Wspólnym wysiłkiem dźwignęły mnie na nogi. Zachwiałem się.

Wokół mnie wybuchły małe światełka. Uniosłem rękę przed twarz – zostawiła w powietrzu świetlisty ślad jak światłowód.

Carmen westchnęła i wsunęła mi swój bark pod pachę.

– Wiem, chico, że zrobiłeś to trochę dla mnie. – Jej głos był ledwie słyszalny. – A ty wiedz, że zrobię, co w mojej mocy, żebyśmy wygrali.

– O mnie też pomyślał – powiedziała Lizzie. – Wie, że chcę spłacić kredyt.

Carmen popatrzyła na Lizzie ponad moją zwieszoną głową.

– Ale właściwie dlaczego miałabyś to robić? Przecież twoim rodzicom nie brakuje kasy.

Lizzie spojrzała na mnie, a potem na Carmen.

– Nie mów chłopakom, ale mój tata jest chory. Coś z prostatą. – Przełknęła ślinę. – Powinien zrezygnować z pracy, ale tego nie zrobi, dopóki nie spłaci kredytu.

– Chica!<sup>17</sup> Nie wiedziałam... Biedny papi.

– Spoko. – Lizzie wzruszyła ramionami. – Mama szuka pracy na cały etat, ale w jej wieku... znajduje tylko oferty za najniższą stawkę.

– Nawet Benowi nie powiedziałaś?

Lizzie pokręciła głową.

– Nie chciałam, żeby się martwił, a poza tym...

Spróbowałem podnieść rękę, żeby ją pocieszyć, ale ramię miałem jak miękki makaron, a wokół naszych latarek kłębiły się ćmy. Kiedy spojrzałem na Lizzie, znów mówiła. Chyba coś przegapiłem...

– ...łączy nas coś innego. To znaczy jest moim najlepszym przyjacielem. Poza tobą, oczywiście. Ale nie gadamy o problemach rodzinnych. Przecież on też ma niewesołą sytuację w domu. Było

tam nietęgo, jeszcze zanim ich ojciec odszedł, ale ze mną nigdy o tym nie rozmawia. Ilekroć zaczynam ten temat, odcina mnie.

– Więc mu się nie zwierzasz?

– Nie z takich rzeczy.

– No cóż, teraz już wie.

Lizzie się zaśmiała.

– Myślę, że niewiele zapamięta. – Złapała mnie za rękę. – Chodź, Ben. Tym razem spróbujemy dojść trochę dalej.

Z początku każdy krok był ogromnym wysiłkiem. Nasza spleciona w uścisku trójka toczyła się w ciemności. Carmen trzymała latarkę tak, żebyśmy widzieli podłoże, a Lizzie badała je dodatkowo swoim kijem.

Jej ojciec był chory, a ona mi o tym nie powiedziała. Myślała, że nie wywnętrzam się przed nią, żeby samemu nie słuchać jej zwierzeń. Nie wiedziałem, że zachowując dla siebie swoje problemy, szkodzę naszej relacji. Ale właśnie tak było.

Po jakimś czasie moje ruchy zaczęły się rozmazywać, jakby ziemia sama przesuwała się pod nogami. W końcu stok się wypłaszczył, a jednak miałem wrażenie, że wszystkie kamienie usiłują uwięzić moje stopy.

Carmen i Lizzie dyszały ciężko. Carmen słała się na nogach pod moim ciężarem, ale gdyby mnie nie prowadziła, nie mógłbym iść o własnych siłach.

– Przepraszam – powiedziałem. – Bardzo, bardzo prze...

– To nie twoja wina, chico. – Carmen stęknęła, kiedy moja stopa znów utknęła na kamieniu.

Nagle w mroku przed nami zapełgał ogień.

– Will?! – zawołała Lizzie. – Pomóżcie nam.



– Czy ty to widziałeś?! – wydarła się mama.

Podniosłem wzrok znad ćwiczeń z pisania. W jednej ręce miała tornister Willa, a w drugiej list.

– Dean?! Pytam, czy to widziałeś? – powtórzyła z krzykiem.

Z góry dobiegł ciężki tupot kroków i tata wyszedł ze swojego pokoju. Wchodząc do kuchni, popatrzył na mnie, a potem na Willa, który stał w kącie przy drzwiach.

– Co się dzieje?

– Co się dzieje? Co się dzieje? – powtórzyła mama zgryźliwie. – Ta wścibska krowa w szkole się dzieje. – Potrząsnęła listem. – Wysłała Willa do psychologa. – Ściszyła głos, jakby to było jakieś przekleństwo.

– Bez naszej zgody? – Tata zmarszczył brwi.

– W szkole tak robią – powiedziałem ostrożnie. – Pani Clark przychodzi co srodę i prowadzi Grupę Pomocy dla... – zawiesiłem głos.

– Tak? – W głosie mamy zabrzmiał zjadliwy ton.

– Dla dzieciaków, które... – znów urwałem. – Dla takich jak Norah – dokończyłem.

Norah miała okulary ze szklami jak denka od butelek i pięć razy dziennie urządzała scenę z wrzaskami.

– Z problemami? – odpowiedział tata.

Pokiwałem głową.

– A teraz żądają, żebyśmy my się z nią spotkali. – Mama zmięła list. – Jak oni śmieją?!

Tata zrobił krok naprzód.

– Mogę zobaczyć?

Mama chwyciła list mocniej.

– A po co?

– Chcę zobaczyć, co piszą.

– Nieważne, co piszą. Ta Clark ubzdurała sobie, że coś jest nie tak z moim synem. Pozwę ją!

Will spojrzał na mnie przez ułamek sekundy.

– No, wiesz... – powiedział tata wolno, przeczesując palcami swoją rudą czuprynę – skoro jest zawodowym psychologiem, to może moglibyśmy...

– Zwariowałeś? – Mama z furią wepchnęła list do kuchennego kosza na śmieci, wyjęła worek, zawiązała go ciasno i wypadła tylnymi drzwiami do ogródka. Patrzyliśmy wszyscy przez okno, jak wrzuca go do kontenera na kółkach i wraca do domu. – Już. Nie ma listu.

– Ale problem pozostał – powiedział tata łagodnie, patrząc na Willa.

Mama aż się zatrzęsała.

– Nazywasz mojego syna problemem?

– Nie wzywaliby nas bez powodu. – Spojrzał na mnie. – Ben, czy w tym tygodniu w szkole coś się stało?

Starąłem się nie patrzeć na mamę, która tupiała jedną nogą i wpatrywała się we mnie.

– Ben? – Tata ujął mnie za podbródek. – Powiedz mi.

Odezwałem się szeptem, nie patrząc mu w oczy.

– Uciął Annie kucyk.

– Co takiego? – Tata wytrzeszczył oczy.

– Bo nie chciała mu oddać swoich czipsów.

Ale mi się dostanie. Mama wwiercała się we mnie wzrokiem, a Will stał z założonymi rękami. Jego twarz nie wyrażała żadnych emocji.

– Wiedziałaś o tym, Carrie?



Mama pociągnęła nosem.

– Poszłam do szkoły i załatwiłam sprawę.

– Dlaczego nikt mi nie powiedział?

– Mówię, że załatwiłam sprawę.

Twarz mamy również straciła wszelki wyraz. Wyglądała zupełnie jak Will.

– Co dokładnie się stało? – tata zwrócił się do mnie.

Nie pozwolił mi spojrzeć na mamę.

– Nie chciała mu ich oddać – mruknąłem. – Chociaż grzecznie poprosił.

– Ale to były jej czipsy – odparł tata z łagodnym naciskiem. – Jeśli nie chciała, to wcale nie musiała mu ich oddawać.

– Ale powinna była! – krzyknąłem. – Wszyscy wiedzą... – Zacisnąłem usta.

– Co wszyscy wiedzą? – naciskał tata.

– Mogę już pójść do mojego pokoju? – poprosiłem.

Moje drżące stopy zastukały o nogi krzesła.

– Zostaw syna w spokoju! – wybuchła mama. – Daj mu odrobić pracę domową.

– Co takiego wszyscy wiedzą? – spytał tata ponownie.

Przełknąłem ślinę.

Tata wstał.

– Spokojnie, Ben. – Spojrzał na mamę, a potem na Willa. – Co wszyscy wiedzą?

– Wiedzą – odpowiedział Will – że powinni robić to, co ja im każę.

– Bo inaczej... – dodałem szeptem.

– Możemy załatwić to w domu – przerwała mama. – On nie

potrzebuje żadnego psychologa, tylko rodziny. Dzwonię do szkoły. Jeśli ta baba jeszcze raz zbliży się do Willa, to ją zniszczę!



Otworzyłem oczy. Działo pulsowało mi bólem, jakby tkwił w nim gwóźdź. Dotknąłem pustego miejsca językiem i spróbowałem przełknąć ślinę. Nie poczułem smaku krwi. To dobrze. Przekręciłem się na bok z jękiem. Byłem pewien, że ból głowy zaraz mnie zabije. Ogarnął mnie też smutek. Dlaczego? Spróbowałem coś sobie przypomnieć, ale moja pamięć była pełna luk.

Byłem wycieńczony, ale nie zasnęłbym bez środków przeciwbólowych. Sięgając po latarkę, przewróciłem butelkę z wodą. To mi przypomniało, co powiedziała Lizzie, zanim straciłem przytomność:

– Zostawiam ci proszki. Weź, jeśli uznasz, że potrzebujesz.

Obmacałem przestrzeń wokół siebie i znalazłem listek. Nie zapalając światła, wycisnąłem dwie pastylki przez folię, odkręciłem butelkę z wodą i przełknąłem je z wdzięcznością. Dobrze, że udało mi się to bez latarki, bo oczy też mnie bolały. Wszystkie mięśnie miałem obolałe i byłem głodny, ale czułem, że znów nadchodzi sen. Moje ciało chciało zdrowieć.

Zanim zasnąłem, poczułem obok jakiś ruch, więc zmusiłem się do otwarcia powiek. Dostrzegłem w ciemności postać grzebiącą przy plecakach. Czyżby ktoś z naszych jeszcze nie spał?

– Grady? – wyszeptałem.

I odpłynąłem w sen.



Pod koniec marca Will zaczął oficjalnie chodzić ze mną do drugiej klasy. Kiedy przyszedł czas domowych dyżurów z Chewbaccą, klasową świnką morską, Will dostał na jej punkcie

hopla. Najpierw przypuścił atak metodą „na malucha”, czyli robił do nauczycielki wielkie oczy i prezentował drgającą brodę.

– Ale teraz świnkę bierze Matthew. To jego kolej – wyjaśniła pani Heap. – W tym semestrze mama nie wpisała was na listę chętnych.

I nigdy nie wpisze. Mama nie znosiła zwierząt i byłem pewien, że sama zadbała o to, żebyśmy nie znaleźli się na liście.

Tego dnia, nie roniąc ani jednej łzy, Will odpuścił. Za to nazajutrz przeszedł do ofensywy ujmującym zachowaniem. Oddał Matthew batonika ze swojego drugiego śniadania, a pani Heap wręczył laurkę, którą samodzielnie wykonał podczas przerwy obiadowej. Narysował na niej kwiatki i przykleił serduszko. Nabazgrał też: „Pani Hip jest kohana”. A wtedy pisał już bezbłędnie.

Ilekcję o coś zapytała, zgłaszał się do odpowiedzi. Zdobył naklejkę za sprzątanie. Na lekcji WF wziął na siebie winę, kiedy Matthew wykopał piłkę za płot.

Pod koniec dnia Matthew sam poszedł do pani Heap i powiedział jej, że już nie chce zabierać świnki do siebie.

W drodze do domu Chewbacca ugryzł Willa w palec, bo ten uwziął się, żeby szturchnąć go przez druty klatki.



Tej nocy śniły mi się zdechłe świnki morskie z sierścią w kolorze moich włosów. I krew. Mnóstwo krwi.



Obudził mnie zapach bekonu, kawy i dymu z ogniska. Na niebie majaczył brzask. Przekręciłem się na drugi bok i przy żarzącym się ognisku zobaczyłem Carmen i Grady’ego. Carmen rozkładała bułki swoim składanym nożem, a Grady dziobał patelnię widelcem. Zapach sprawił, że od razu oprzytomniałem. Kanapki z bekonem!

Spróbowałem podnieść głowę. Już nie bolała, ale poczułem mdłości, a żołądek zacisnął mi się jak pięść. Wygrzebałem się z namiotu na przedporanny chłód i podpełzłem do ogniska.

– Ben! – Carmen podniosła wzrok. – Nie budziłeś cię, żebyś się wyspał. Jak się czujesz?

– Okej – wychrypiałem. – Głodny jestem.

– Masz. – Carmen złapała kilka plasterków bekonu ze sterty leżącej na talerzu obok i ciepnęła je na rozkrojoną bułkę. – Jedz.

Grady oddał mi swoją kawę.

– Zrobię sobie drugą.

– Dzięki.

Wziąłem kanapkę od Carmen i gryząc pierwszy kęs, odruchowo rozejrzałem się za Willem.

– Przyszła jego kolej na kąpiel w rzece. – Carmen odpowiedziała na pytanie, którego nie zadałem.

Zamarłem z kęsem kanapki przyklepionym do podniebienia. Zmywali z siebie moją krew. Po raz pierwszy spojrzałem na swoje dłonie. Zasnęte brązowe płatki układały się we wzór linii na skórze.

Grady błyskawicznie podał mi miskę z wodą.

– Masz, nabierzemy nowej.

– Dzięki.

Odłożyłem kanapkę i zanurzyłem ręce. Woda zmętniała. Wtedy dobiegł mnie głos Lizzie, a właściwie jakby szloch. Znieruchomiałem z rękami ociekającymi wodą. Lizzie miała jakiś problem. Musiałem sobie tylko przypomnieć jaki. Rozejrzałem się.

Kłęczała przy stercie naszych plecaków jeszcze w szarym dresie, który służył jej jako pizama. Jej włosy obcięte na pixie były w połowie przyklepione do głowy.

– Mówiłam wam, że mój był na dole! – zawołała. – Na pewno ktoś przy nich grzebał.

– Niby kto? – Carmen uniosła brew.

Zmarszczyłem się, bo sobie przypomniałem.

– A Grady nie wyciągał niczego w nocy? – Widziałem to jak przez mgłę, trochę przez sen, ale byłem pewien, że to był on.

Czyżbym się mylił?

– Nie. Padłem jak kłoda. Do rana się nie ruszyłem. – Grady dorzucił widelcem bekonu na talerz. – Coś nie tak z plecakami?

Lizzie odwróciła się do nas. Na jej twarzy malowała się groza.

– Nie ma... zęba.

– Niemożliwe. – Zmarszczyłem brwi. – Może go przełożyłaś...

Przerażeni Carmen i Grady wytrzeszczyli oczy na Lizzie.

Lizzie wróciła do sterty plecaków. Ten należący do niej był wybebeszony, a rzeczy leżały rozsypane na ziemi wokół jej kolan.

– Nie ma go – powiedziała stłumionym głosem.

Skoczyłem na równe nogi.

– Musi tam być!

– Na pewno włożyłeś go do plecaka Lizzie? – Carmen spojrzała na Grady'ego. – Może przez pomyłkę skitrałeś go w kieszeni?

Grady pokręcił głową, ale wstał i zaczął szukać w swoich rzeczach.

– Nie mam go. Włożyłem tam, gdzie Lizzie mi kazała. Dobrze pamiętam.

– Sprawdź jeszcze raz. – Przełknąłem ślinę. – Wszędzie.

– Mówisz, że wczoraj w nocy kogoś widziałeś, Ben? – Oczy Grady'ego zwężyły się jak szparki, kiedy wywracał na lewą stronę kieszeń koszuli. – Myślałeś, że to ja, ale to nie byłem ja!

– Wydaje mi się, że widziałem, ale...

– Grady, on był zalany – powiedziała Carmen łagodnie. – Mogło mu się przyśnić... albo miał halucynacje. – Wstała i podeszła do Lizzie. – Will niósł twój plecak, chica. Ząb mógł mu wypaść. – Zamknęła scyzoryk i włożyła do kieszeni. – Wrócę i poszukam. Może go znajdzie. – I pobiegła w górę stoku.

– Ktoś ruszał plecaki – upierała się Lizzie. – Moja boczna kieszeń była otwarta. Okradli nas!

– Nie. – Zacisnąłem pięści. – Carmen go znajdzie.

– A jeśli nie? – mruknął Grady. – Co, jeśli Benowi się nie przywidziało?

– Skąd mogli wiedzieć, gdzie był ząb? – Lizzie płakała.

Grady przełknął ślinę.

– Musieli nas obserwować.

– Skąd? – Odwróciłem się gwałtownie i zacząłem lustrować głązy.

– Było ciemno. – Lizzie wytarła twarz. – Mogli się przyczaić nawet o sto metrów od nas.

– Może z lasu – powiedział Grady. – Jeśli mieli noktowizor, to widzieli nas jak w dzień.

– Ale po co mieliby nas obserwować? – Przeszedł mnie dreszcz.

Do obozu, wycierając głowę ręcznikiem, wszedł Will. Usłyszał moje pytanie i szybko zlustrował każde z nas wzrokiem. Analizował sytuację.

– Nie mogli otworzyć skrytki – stwierdził w końcu i rzucił ręcznik na swój plecak. – Więc się przyczaili, żeby zobaczyć, jak to zrobi następny zespół.

Nałożył sobie bekon na bułkę i zaczął jeść.

Lizzie ukryła twarz w dłoniach.

– Widzieli, że Carmen dmucha na skrytkę. Wiedzieli, jak wrywamy Benowi ząb, i gdzie go wkładamy. I postanowili nam go ukraść, żeby nie wrywać własnego.

– To ma sens. – Grady upuścił koszulę. – Już dawno ich tu nie ma. Mają lokalizację drugiego punktu kontrolnego i nasz ząb ze skrytki.

Usiadłem na kamieniu.

– To co robimy?

Spojrzeliliśmy po sobie. Wreszcie Grady jęknął.

– Widzę to tak: mamy cztery możliwości.

Will kiwnął głową.

– Ktoś musi oddać drugi ząb.

– Nie! – Ręce same uniosły mi się do twarzy. – Wymyślcie coś innego.

– Okej – odezwał się znowu Grady. – A więc są trzy kolejne możliwości. Pierwsza: poddajemy się i wracamy na plażę.

Lizzie zacisnęła usta.

– Albo?

– Druga: kontynuujemy, a pod koniec imprezy mówimy sędziom, że inny zespół ukradł nasz pierwszy przedmiot ze skrytki, i mamy nadzieję, że nam uwierzą.

– Nie mamy na to żadnego dowodu – zauważył Will.

– Z wyjątkiem dziury po zębie Bena – powiedziała Lizzie.

– Która dowodzi wyłącznie tego, że miał rwany ząb. Na przykład przed wyjazdem. – Grady pokręcił głową. – To nie wystarczy.

– A trzecia opcja? – Lizzie przyjrzała się Grady’emu badawczo.

– Znajdziemy tych gnojków i zmusimy, żeby oddali ząb.

Zapadła długa cisza. Wbiłem wzrok w niedojedzoną kanapkę.

Nie mogłem się zmusić, żeby znów podnieść ją do ust.

– Bądźmy poważni, Grady – odezwała się cicho Lizzie. – Z moją kostką, kolanem Bena, ramieniem Willa i twoim łokciem nikogo nie nastraszymy ani nie zmusimy do oddania czegokolwiek, zwłaszcza jeśli to będą goście więksi od nas.

– Tam grasuje osiem innych zespołów. – Potarłem oczy. – Skąd mamy wiedzieć, który nas okradł? Nawet jeżeli dopadniemy drani, a oni zaprzeczą, że mają ząb... to co wtedy?

– To byli ci, których widzieliśmy przed nami. Prowadziła ich dziewczyna – warknął Grady.

– Prawdopodobnie. – Will skrzyżował nogi. – Ale nie mamy jak się upewnić.

– Jest j e s z c z e j e d n a opcja – powiedziałem i ukląknęłam. – Kontynuujemy jak gdyby nigdy nic i zaliczamy pozostałe punkty kontrolne, ale w którymś momencie znajdujemy okazję, żeby przeszukać graty innego zespołu i w ten sposób odzyskamy ząb.

– To najlepsze rozwiązanie – przyznał Grady.

– Ale musimy wypatrywać okazji. – Will wziął następną kanapkę. – Kiedy już znajdziemy inne zespoły, to możemy poczekać, aż zostawią bagaż bez nadzoru.

– A jeśli nie trafi się okazja? – spytał Grady.

– To wtedy zdecydujemy, czy wyrwać kolejny ząb, czy powiedzieć organizatorom o kradzieży – odparł Will.

– Dobra. – Podniosłem się. – Ta noc była okropna, ale znaleźliśmy pierwszy punkt kontrolny, a chyba nie wszystkim zespołom się to udało. Czuję się już znacznie lepiej. Jak twoja kostka, Lizzie?

– Jest sztywna i boli, ale z kulą mogę iść dalej.

– Świetnie! Więc skupmy się na działaniu. Jaki jest plan na dziś?



– Zwijamy obóz i ruszamy. – Lizzie zaczęła pakować plecak. – Mamy jeszcze dwa dni i pięć punktów kontrolnych. Dziś powinniśmy zaliczyć trzy. Drugi – późnym rankiem, trzeci – po obiedzie, a czwarty – wieczorem. Potem sześć godzin snu i na jutro zostają ostatnie dwa.

– Przy odrobinie szczęścia wyprzedzimy zespół, który wyrolował nas dziś rano – odezwał się Grady, zbierając nasze śmieci.

Podszedłem do Lizzie.

– Na pewno masz siłę na forsowny marsz?

Pokiwała głową i uśmiechnęła się szeroko.

– Słońce wschodzi, więc to powinien być przyjemny dzień. Zróbmy, co się da, żeby był też dobry.

Zaśmiałem się i zacząłem zwijać śpiwór.

– Racja. Postarajmy się, żeby był zarąbisty.

Po kilku minutach Lizzie podniosła wzrok.

– Słuchajcie... Czy Carmen nie powinna już wrócić?

## Rozdział dziesiąty

– Carmen! – krzychałem.

Opuchlizna na moim kolanie trochę się zmniejszyła. Postanowiłem zignorować dyskomfort, choć jeszcze trochę mnie bolało, i zmusiłem się do truchtu w górę zbocza. Will biegł przede mną, a Grady – za mną.

Lizzie została w obozie, żeby spakować nasze graty i czekać na Carmen, gdyby jednak sama wróciła. Nie była z tego specjalnie zadowolona, ale Grady zasugerował, że powinna skorzystać z okazji i porządnie owinać kostkę, to będzie jej łatwiej iść.

– Carmen!

Powinniśmy ją już zobaczyć. Las i rzekę zostawiliśmy z tyłu, kamienny kopiec był przed nami. Gdyby Carmen wciąż szukała zęba, to powinna być właśnie tutaj.

Zatrzymałem się. Grady stanął zdyszany obok.

– Gdzie ona jest?

– Gdybyś był nią i szukał zęba, to gdzie byś poszedł?

– Był owinięty w ściereczkę do okularów. Może pomyślała, że ją związało.

Grady rozejrzył się, marszcząc czoło.

– Więc się rozdzielimy – stwierdziłem i wyciągnąłem palec. – Ty idź trawersem na wschód, ja na zachód.

Grady kiwnął głową.

Góra wyglądała jeszcze surowiej niż nocą w świetle księżyca

i naszych latarek. Stoki były z rzadka upstrzone kępami krótkiej, beżowej trawy. Na tym monotonnym tle wyróżniał się jedynie kolor ostów, a wschodni stok pokryty był w większości żwirem i piargami, spod których wystawały większe skały.

– A co, jeśli spadła? Może gdzieś leży nieprzytomna. – Grady załamał ręce.

– Pomogę ci szukać, kiedy skończę po mojej stronie.

Will nie zatrzymał się. Parł w górę. Minął już kamienny kopiec, ale ledwie na niego spojrział.

– Widzisz coś, Will?

Odwrócił się.

– Wejdę na szczyt. Stamtąd więcej widać.

– Zaraz będą tu inni. – Grady rozejrzał się wokół z niepokojem. – Wolę tu nikogo nie spotkać. A jeśli nas zmuszą, żebyśmy im powiedzieli, jak dostać się do skrytki?

Pchnąłem go lekko w stronę skał.

– Idź, poszukaj Carmen. O innych zespołach pomyślimy, kiedy ją znajdziemy.

Z mojej strony wzgórze widać było niewyraźne czarne morze. Wczesnoporanne niebo było białe, świat uchwycony w chwili przejścia od czerni i bieli w kolor. Mgła czepiała się traw i bladych pajęczyn oblepiających moje buty. Było wcześniej, ale już dawno powinniśmy być w drodze do następnego punktu kontrolnego. Traciliśmy czas.

– Carmen! – zawołałem ponownie, po czym stanąłem bez ruchu i nasłuchiwałem odpowiedzi. Nic. Jeżeli Carmen rzeczywiście była w zasięgu mojego głosu, to – tak jak sugerował Grady – musiała gdzieś leżeć nieprzytomna. – Car?! Słyszysz mnie?

Wtedy przyszło do mnie wspomnienie z zeszłej nocy. Carmen

i Lizzie rozmawiały przy mnie o czymś i Carmen martwiła się o Lizzie. Nie, nie o nią. O jej ojca. Jest chory.

A Lizzie mi o tym nie powiedziała. Myślałem, że dzieli się ze mną wszystkim, a jednak były rzeczy, których o niej nie wiedziałem. I to z własnej winy, bo sam miałem przed nią tajemnice.



Tata gwałtownie nabrał powietrza.

– Mówiłaś, że Will nie sprawia kłopotów w szkole. – Ręce mu się trzęsły. – Że odreagowuje tylko w domu i ma problem tylko ze mną, bo się nie dogadujemy. Przecież sama pokazałaś mi ten artykuł... *Dobry w szkole, zły w domu*. Mam go w komputerze.

Mama popatrzyła na mnie i Willa.

– Idźcie do swoich pokojów.

Skoczyłem na równe nogi i wybiegłem. Will ruszył za mną, ale wolniej. Zatrzymałem się na szczycie schodów. Po chwili Will stanął przy mnie i wbiliśmy wzrok w zamknięte drzwi do kuchni.

– Jeśli nie jestem jedyną osobą, na której on się wyżywa... – Tata mówił podniesionym głosem.

– Skoro to ci przeszkadza, powinieneś bardziej interesować się jego szkołą! – wrzasnęła mama.

– Nigdy mi na to nie pozwalasz! – Tata walnął w stół. – Powiedziałaś, że szkoła to twoja sprawa! Nawet spotkania z nauczycielami umawiasz wtedy, gdy wiesz, że pracuję.

Nie usłyszałem odpowiedzi mamy.

– Tym razem mówię poważnie, Carrie. Nie wiem, jak to może mu zaszkodzić. I będziemy mogli razem z kimś porozmawiać.

Głos mamy wznosił się i opadał, ale kształt słów mi umykał. Czułem, że Will patrzy na mnie w poszukiwaniu jakichś

odpowiedzi. Wzdrygnąłem się, widząc jego dłoń na mojej nodze. Małe, ostre paznokcie wbiły mi się w udo.

Tym razem głos mamy do mnie dotarł.

– Uwierz mi, Willowi nic nie jest. To normalny chłopiec. Jest trochę niegrzeczny, ale się uspokoi.



To zbocze wzgórza było strome. Wybierając drogę, musiałem jedną ręką łapać się skał. Zarośla były usiane króliczymi norami. Wyobraziłem sobie, jak wiatr porywa owinięty w szmatkę ząb i rzuca go do jednej z jam. Jeśli ząb rzeczywiście wypadł z plecaka i potoczył się z wiatrem, to mógł tutaj być.

Niestety, nie znalazłem go. Ponownie spojrzałem w stronę szczytu.

– Widzisz coś, Will?!

– Trzy zespoły już ruszyły w trasę! – Wskazał linię drzew za nami, a potem w stronę drugiego punktu kontrolnego.

– A Carmen?

Przyłożył do oczu lornetkę. Sprawdził stok, otoczenie podnóża góry, a potem spojrzał dalej.

– Nie widzę jej! – odpowiedział w końcu.

Nagle powietrze rozdarł potworny wrzask. Błyskawicznie odwróciłem głowę, żeby go namierzyć. Rozejrzałem się za jakimś morskim ptakiem, zakładając, że to jego okrzyk, ale w głębi duszy wiedziałem, że to coś innego.

Ruszyłem trawersem z powrotem, żeby jak najszybciej dotrzeć do Grady’ego. Potykając się o skały, szedł w moją stronę.

– To byłeś ty?! – krzyknął.

Pokręciłem głową i ryknąłem:

– Will?!

Na wpół biegł, na wpół ślizgał się po zboczu w naszą stronę.

– Na tej wyspie jest kupa innych ludzi. Ktokolwiek mógł...

– Ale żaden z nich nie zaginął! – Oczy zaczęły mnie szczypać. –

Gdzie ona jest?!

Will zatrzymał się gwałtownie przy kopcu i kucnął. Kiedy wstał, trzymał coś w ręce. Był to składany nóż Carmen. Miał zakrwawione ostrze.

– Musimy ją znaleźć – jęknął Grady.

– Wiem. – Otworzyłem oczy, kiedy Will wkładał nóż Carmen do kieszeni. – Nie mogła odejść daleko. Will nie widział jej ze szczytu góry, więc musi być w jakiejś rozpadlinie albo pod półką skalną.

Szukaliśmy we wszystkich zakamarkach, gdzie tylko mógł się zmieścić człowiek. Spojrzałem na zegarek dziadka – minęła ponad godzina.

– Lizzie będzie się o nas niepokoić – powiedziałem.

– Szukamy dalej. – W głosie Willa nie było emocji. – Lizzie nic nie jest. Carmen potrzebuje naszej pomocy.

– Może to nie ona krzyczała. – Grady otarł wierzchem nadgarstka spocone czoło. – To mogło być cokolwiek... ptak... albo foka...

– Taa... – Z nadzieją zajrzałem pod kolejny nawis skalny. Nie było pod nim niczego poza rozwalonym ptasim gniazdem z gałązkami i potłuczonymi jajami. – Gdzie ona jest?

– Nie obeszlśmy jeszcze całej góry. – Will działał bardziej metodycznie od nas, bo szedł zygzakiem.

– Widzę inny zespól. – Grady wskazał ręką. Same rosły byczki. Przechodzili właśnie przez rzekę, oddalając się od nas. – Jakim cudem ich nie spotkaliśmy?

– Musieli wchodzić na górę od innej strony – stwierdziłem i stanąłem. – Może widzieli Carmen? Gonimy ich?

Will zastanowił się chwilę.

– Nie ma jej z nimi. Jeśli są w porządku, to wzięliby ją ze sobą, gdyby znaleźli ranną.

– A jeśli nie są w porządku?

– To albo ją znaleźli i zostawili, albo...

– Albo jeden z nich ma ranę od jej noża – mruknąłem posepnie.

Im dalej się zapuszczaliśmy, tym bardziej strome robiło się zbocze. Zdałem sobie sprawę, że wcale nie okrążamy całej góry, a tylko pierwszy z wielu płaskowyżów. Na zachód prowadził on ku urwiskom najeżonym skałami. Teraz przed nami widać było dwa jeszcze wyższe wierzchołki góry – jeden bardziej w kierunku północno-zachodnim, a drugi – prawie idealnie na północ.

Usiadłem ciężko na głazie.

– Nie ma jej tam.

– Skąd ta pewność? – zażądał odpowiedzi Will.

– Tamte chłopaki nie zabrały jej ze sobą, ale mógł to zrobić inny zespół – odezwał się Grady i twarz mu pojaśniała. – Jeśli ruszymy do drugiego punktu kontrolnego, to może ją dogonimy?

– Myślisz, że zdołali się tędy prześlizgnąć niezauważeni? – Pokręciłem głową.

– Zakładasz, że to Carmen krzyczała. – Grady zacisnął pięści. – A to mógł być ptak! A Carmen mogła odejść stąd z innym zespołem wieki temu!

Will bez słowa poklepał się po kieszeni, do której schował jej scyzoryk.

– Broniła się – mruknąłem. – Dlaczego?

Powietrze przeszył ostry krzyk wydryka. Wielki ptak podleciał do nas, a potem zanurkował i zniknął pod naszymi stopami, żeby po kilku chwilach znów się pojawić z wściekłym krakaniem. Potem

znowu zniknął, wrzeszcząc gniewnie.

– Jesteśmy nad urwiskiem. – Grady zerwał się na równe nogi. –  
Lepiej sprawdźmy, co jest pod nim.



Grady pierwszy to zobaczył: ciemny ślad na ścianie, który okazał się być cieniem.

– To jaskinia!

Ruszyliśmy biegiem.

Will wyciągnął latarkę z kieszeni spodni i ją włączył.

– Da się wejść do środka! – powiedział i zniknął nam z oczu.

– Znalazłeś ją? – Grady próbował zajrzeć do jaskini przez moje ramię. – Jest tam?

– Tak... – Głos Willa był dziwnie stłumiony. – Znalazłem.

Otwór wejściowy był wąski. Przeciskając się do środka, rozdarłem koszulę o ostre krawędzie skały. Carmen leżała wewnątrz na boku, odwrócona plecami do nas. Will klęczał przy niej.

W świetle jego latarki zobaczyliśmy, że Carmen leży w kałuży. Kiedy skierował promień bezpośrednio na nią, zaśniła szkarłatem.

– Czy ona... żyje? – szepnął Grady. – Chwycił mnie za ramię, wbijając mi palce w skórę.

– Tak, ale jest nieprzytomna. – Will dotknął jej twarzy. – Carmen?

Grady ukląkł obok Willa.

– Co się stało?

Przycisnąłem ręce do piersi.

– Zrobili jej krzywdę? – wyszeptałem.

Wzrok Willa spotkał się z moim. Podniósł prawy nadgarstek



Carmen. Jej przedramię kończyło się kikutem. Zniknął nawet tatuaż z pustułą.

Kładąc rękę na ustach, cofnąłem się odruchowo aż pod ścianę jaskini. Wyrwało się ze mnie rozpaczliwe: – Hy! Hy! – Na pół szloch, na pół skurcz żołądka, jakby ciało chciało samo wyrzucić wielką kluchę zaciskającą się w przelyku. – I co...? Co robimy?

Roztrzęsionymi dłońmi Grady wyjął nadgarstek Carmen z ręki Willa.

– Kauteryzacja... Znaczą przypalili ranę. Widzicie?

Kiedy to powiedział, zrozumiałem, skąd pochodzi odór wypełniający jaskinię. Spalone drewno, mięso, miedź. Poczułem kolejny skurcz żołądka.

– Już nie krwawi? – Will nachylił się, żeby spojrzeć z bliska.

– Nie, ale trzeba właściwie oczyścić ranę, opatrzyć ją i... – Grady wskazał na podłoże jaskini. – Straciła mnóstwo krwi.

Will pokiwał głową.

– Nie chcieli jej zabić. Chyba przypalili ranę wystarczająco szybko. Musi odpocząć, dużo pić i przyjmować dużo żelaza.

– Czyli co...? Stek z warzywami? – powiedział Grady.

– Jasne. Mam przy sobie patelnię! – wybuchłem.

– Robię, co mogę! – krzyknął Grady. Potem podniósł głowę. – Zaraz! W apteczce mam żelazo w tabletkach.

– Okej... to dobrze – Spojrzałem na twarz Carmen.

Była wciąż nieprzytomna, ale między jej oczami przebiegała gruba zmarszczka. – Będzie potwornie cierpiała. Musi dostać coś na ból. Potrzebujemy twojego plecaka, Grady. – Nagle wytrzeszczyłem oczy. – Lizzie jest całkiem sama!

– Nie możemy zostawić Carmen – powiedział Grady. – Ale nie wolno jej ruszać. Nie ma mowy!

– Zostań z nią. My w Willem pójdziemy po Lizzie i plecaki.

Wyszedłem już z jaskini i ruszyłem w drogę.

– A jeśli oni tu wrócą? – Zawodzenie Grady’ego dogoniło nas na ścieżce na zboczu góry.

Tym razem puściłem się pędem, nie myśląc nawet o kolanie. „Boże, błagam cię, niech Lizzie będzie cała!”.



Kiedy wtoczyłem się na nasz biwak, Lizzie podniosła głowę. Will deptał mi po piętach.

– Znaleźliście ją?! – powitała mnie pełnym niepokoju krzykiem.

Podbiegłem do niej i uściskałem ją mocno.

Will wkładał już swój plecak. Z przodu zarzucił sobie plecak Carmen.

– Lizzie nic nie jest, Ben. Chodźmy.

Ruszył z powrotem. Mijając ognisko, zasypał je kilkoma kopnięciami suchej ziemi.

Lizzie odepchnęła mnie od siebie.

– Co się dzieje? Gdzie ona jest? Następny punkt kontrolny jest w tamtą stronę. – Wskazała palcem.

– Nie idziemy do następnego punktu kontrolnego. – Zarzuciłem swój plecak i zaraz stęknąłem pod ciężarem, podnosząc toból Grady’ego. – Bierz rzeczy. Trzeba się stąd zmywać.

Biwak był na otwartej przestrzeni.

Lizzie zaczęła się trząść.

– Powiedz mi, gdzie jest Carmen!

– Po drugiej stronie góry. – Podałem jej kij, który służył jako kula. – Idziemy do niej.

– Jest cała? – Oczywiście Lizzie były szeroko otwarte.

Pokręciłem głową.

– Nie, nie jest.

## Rozdział jedenasty

Stłoczyliśmy się wszyscy w jaskini. Z Willem zablokowaliśmy wejście plecakami. Włączyliśmy też wszystkie latarki, żeby rozgonić mrok po kątach.

Lizzie chodziła w tę i z powrotem, klnąc jak szewc.

– Kto to zrobił? – Jej głos zabrzmiał rozpaczliwie. – I dlaczego?

– Jak myślisz, Will? – zapytałem roztrzęsiony.

– No... Ja to się raczej zastanawiam, co jest w drugiej skrytce.

Lizzie zatrzymała się i zdjęła okulary.

– O czym ty mówisz?

Will oparł się o ścianę.

– Zakładaliśmy, że skrytki geocache będą zawierać normalne rzeczy, nawet po tej z zębem. A jeśli byliśmy w błędzie? Co, jeżeli następna zawiera coś podobnego do zęba, ale... większego?

– Masz na myśli... dłoń? – Głos Lizzie był stłumiony i matowy.

– Coś w tym rodzaju.

– Naprawdę sądzisz, że ktoś odciął Carmen rękę, żeby ją włożyć do skrzynki geocache? – Wytrzeszczyłem oczy.

Will spojrzał na mnie z zaciekawieniem.

– A ty nie? – Wzruszył ramionami. – Albo ktoś postanowił podbić stawkę w pierwszej skrytce... albo wszystkie skrytki będą zawierać podobne rzeczy, bo takie było założenie gry.

– Jak to „takie było założenie”? – Drżącymi rękami Lizzie ponownie włożyła okulary.

– Części ciała mogą być we wszystkich skrytkach – powiedział Will.

Lizzie usiadła ciężko obok mnie.

– Ale przecież organizatorem jest Fundacja Golda. To niemożliwe – odparła i pokręciła głową.

Grady wydał z siebie jęk.

– Powinienem był to przewidzieć. To przecież wielka korporacja...

– To nie ma żadnego sensu, Grady. – Lizzie skarciła go spojrzeniem. – Jaki mogli mieć w tym cel?

Nawet Grady nie znał odpowiedzi.

– Lizzie ma rację, Will. To bez sensu. Może był jakiś inny powód. – Wziąłem Lizzie za rękę. – A co, jeśli ktoś musiał to zrobić Carmen... i zostawił ją tutaj, bo tu jest bezpiecznie?

– Po co ktoś miałby odcinać...?

– Nie wiem, Grady, okej? Może... ukąsił ją wąż albo przytrzasnęła rękę pod skałą i nie mogła się wydostać. Nie będziemy mieli pewności, dopóki się nie obudzi.

Grady zwiesił głowę.

– Ale jeżeli jednak chodzi o skrytki – powiedział Will po chwili – to zostawili ją sobie tutaj na później. Dowiedzą się, co jest potrzebne, i tu wrócą.

Lizzie zerwała się na nogi.

– Potrzebujemy broni!

– Potrzebujemy się stąd wynieść – zachrypiął Grady. – Ale... nie możemy. – Spojrzał na Carmen, a potem na Lizzie. – Prawda?

Popatrzyła na niego ostro.

– Nie, nie możemy.

– Idę po toporek. – Podczołgałem się do plecaka.

– Ja mam kij. – Lizzie przyciągnęła do siebie swoją kulę.

– Masz. – Will wyjął sznurek z kieszeni kurtki i rzucił go Lizzie ze swoim scyzorykiem. – Przywiąż go na końcu, zrób sobie dzidę czy coś w ten deseń.

– Ja m... mam czekan. Do wspinaczki – wymamrotał Grady.

– Świetnie – odparłem i poturlałem mu jego plecak. – A ty, Lizzie? Gdzie twój sprzęt alpinistyczny?

– Czekan jest na spodzie mojego plecaka, razem z liną i rakami.

– Daj go Willowi.

Przycisnąłem toporek do piersi. Nie był duży, ale jego ostrze bez problemu cięło drewno. Gdybym się zamachnął, mógłbym zadać komuś poważne rany. Tylko czy było mnie na to stać?

– Jak oni mogli skrzywdzić Carmen?! – wyszeptała Lizzie, owijając scyzoryk sznurkiem. – Ona jest dobra. Będzie weterynarzem.

Przygryzłem paznokieć.

– Teraz to chyba już nie...

Will pokręcił głową.

– Nie wydaje mi się.



W czwartej klasie po raz pierwszy pojechaliśmy na zieloną szkołę z dwoma noclegami w ośrodku turystycznym Oxley Farm. Oczywiście mama panikowała, że musi spuścić Willa z oczu, ale wtedy już miał dobrze opanowaną sztukę czarowania, więc pojechał z całą klasą.

Pierwszego dnia poszliśmy na ściankę wspinaczkową. Lizzie była wniebowzięta. Podobnie nasz kolega z klasy, Tommy.

– Będę na górze szybciej od was! – zawołał.

Zaśmiałem się, ale Will przyjął tę deklarację z kamienną twarzą.

Kiedy już stanęliśmy pod ścianką, Will uparł się, że chce iść pierwszy. Tommy wspinał się zaraz po nim. Ja byłem następny, a potem Lizzie.

Wspinaczka zaczęła mi właśnie sprawiać przyjemność. Obejrzałem się, żeby zobaczyć, jak daleko w dole jest reszta kolegów, i pomachałem do nich. Kiedy znów spojrzałem w górę, Tommy właśnie wyprzedzał Willa.

Przyśpieszyłem, chcąc ich dogonić, ale straciłem za dużo czasu i byłem za daleko w tyle. Nie widziałem dokładnie, jak to się stało, ale w jakiś sposób uprząż Tommy'ego się rozpięła.

Przeleciał z krzykiem obok mnie. Zawadził stopą o plecy Lizzie i obrócił się w powietrzu, zaplątany w jej linę. Kiedy uderzył o ziemię, wszyscy usłyszeliśmy trzask łamanego nadgarstka.



Wycofałem się w głąb jaskini, żeby dopuścić Willa do wejścia.

Uzbroiwszy się po zęby, zaczęliśmy nasłuchiwać odgłosów z zewnątrz. Dzień mijał, Carmen nie odzyskiwała przytomności, a my nie usłyszeliśmy nic poza krzykami mew.

– Myślicie, że to już pora obiadowa? – spytał Grady.

– A co, głodny jesteś? – Lizzie zmarszczyła brwi.

– Nie... – W jaskini wciąż unosił się słaby zapach przypiekanego ciała. – Tak tylko... pomyślałem, że powinniśmy być już w drodze do czwartego punktu kontrolnego.

Spojrzałem na zegarek dziadka.

– Wpół do dwunastej.

Ręce mi opadły. Właśnie straciliśmy przewagę, którą zdobyliśmy, zrywając się przed świtem i zaliczając pierwszy punkt kontrolny. Pogmerałem językiem w pulsującej bólem dziurze po zębie i wyobraziłem sobie, że wyprzedziły nas wszystkie zespoły.

Co za strata...

Poczułem ssanie w żołądku, ale nie z głodu. To była pustka po przyszłości, której nie będzie mi dane przeżyć.

Wtedy spojrzałem na Carmen i aż się wzdrygnąłem. W takich okolicznościach w ogóle nie powinienem myśleć o wyprawie ani zaliczaniu punktów kontrolnych.

– Musimy wrócić do domu – powiedziałem.

Will popatrzył na mnie i zmarszczył brwi.

– Mamy już pół dnia obsuw. Nie wygramy. A zresztą... co chcesz zdziałać w takich okolicznościach? – Wskazałem na Carmen. – Co, jeśli masz rację i pozostałe skrytki są coraz gorsze? Jesteś gotów oddać kilka własnych części ciała?

Will pokręcił głową.

– Nie, ale...

– Ale-srale! – wybuchłem. – Myślałeś, że jak by było, gdybyśmy zostali w grze?

Grady przełknął ślinę.

– Moglibyśmy...

– Co?! Zrobić to, co ci tutaj?

– Nie! Wykraść fanty innego zespołu.

Zawahałem się.

– Chyba i tak planowaliśmy to zrobić? – Grady zmarszczył brwi.

– Zanim to się zdarzyło.

Wskazałem na Carmen, która zaczęła jęczeć w malignie.

– Zapomniałeś o czymś, Ben. – Lizzie ścisnęła mnie za rękę. – Nie możemy wrócić do domu. Jeszcze przez półtora dnia nie mamy powrotu. Grobla wynurza się co trzy dni. Jeżeli spróbujemy przeprawy na Fetlar przy wysokiej wodzie, możemy wpaść w ruchome piaski albo w coś jeszcze gorszego. Nie można nawet



zadzwoić po pomoc. Nawet jeśli postanowimy się wycofać, do czasu podniesienia grobli jesteśmy uwięzieni na wyspie.

– Mamy rację – drążyłem uparcie.

– No tak. – Grady spojrział na plecaki. – Ale...

– Ale co?

– Jeśli je odpalimy, to pozostali dowiedzą się, gdzie nas szukać. I że jesteśmy słabi.

– Jeden zespół już to wie, a przynajmniej zna miejsce, gdzie zostawili Carmen – oznajmiłem, przygryzając paznokcieć.

– Jeden – odparł Grady. – Oprócz tego jest ich jeszcze siedem. I kto wie, ile z nich też szuka „dawców”?

– Naprawdę sądzisz, że to o to chodzi?

– Ja tak nie myślę. – Lizzie ponownie zdjęła okulary i przetarła przekrwione oczy. – Jestem pewna, że Will się myli: następne punkty kontrolne nie będą takie jak pierwszy. Nie dowiemy się, co naprawdę spotkało Carmen, dopóki się nie obudzi, ale nie wierzę, że ktoś odciął jej dłoń po to, żeby wrzucić ją do skrytki. To byłoby po prostu chore.

– Więc co chcecie zrobić? – Spojrzałem na resztę.

– Możemy zrobić tylko jedno – powiedziała Lizzie. – Musimy dotrzeć do ostatniego punktu kontrolnego. Wiem, że wtedy trzeba będzie przejść trasę bez pomocy, ale na jej końcu ktoś musi czekać na zwycięzców. Jeśli go znajdziemy, będziemy mogli wezwać pomoc.

Położyła rękę na biodrze Carmen i oparła się o moje ramię.

Grady szepnął coś Willowi. Nie słyszałem, co mówi, ale Will kiwnął głową.

Otworzyłem usta, żeby spytać, o co chodzi, ale uciszył mnie odległy krzyk. Mocniej chwyciłem toporek i objąłem Lizzie.

– Co z Carmen? – szepnąłem do Willa.

Pogłaskał ją po czole.

– Płacze przez sen.



Zjedliśmy skromny obiad: zimną fasolę, mieszankę studencką, peklowaną wołowinę i słodycze.

– Nie wiem, czy zdajecie sobie z tego sprawę – odezwał się Grady cichym głosem, odwijając z papierka tabliczkę czekolady – ale wielu poważnych naukowców uważa, że rzeczywistość jest tylko wielką grą komputerową.

– Czytałam o tym – prychnęła Lizzie.

– Teraz to nawet fajnie pomyśleć, że to mogłaby być prawda, nie? – Odstawiłem na bok puszkę fasoli. – Przydałby się restart.

Will spojrzał w stronę wejścia do jaskini.

– Ciekawe, ile mamy żyć.

Milczałem.

– Dawaj dalej, Grady. – Will położył czekan na kolanie i założył ręce za głowę. – Tylko opowiedz coś, czego jeszcze nie słyszeliśmy. – Podrapał się po nogach. – No, śmiało.

Grady sprawdził temperaturę Carmen i oparł się plecami o ścianę.

– Są tacy, którzy uważają, że dinozaury nigdy nie istniały.

– Serio? – Lizzie podniosła głowę z mojego ramienia.

Grady uśmiechnął się nieznacznie.

– Wymyśliła je CIA, żeby zniechęcić do podróży w czasie.

Lizzie pokręciła głową.

– To jeszcze bardziej pokręcone niż twoje zwykłe dyrdymały. Jak niby podłożyli kości wewnątrz skał?

– A poza tym – wtrąciłem się – pierwszych kości dinozaurów nie znaleziono w Ameryce.

– Tak nam się mówi. – Grady założył ręce na piersi. – Pamiętaj, że nie można wierzyć w nic, czego nie widzieliśmy na własne oczy. Wszystko trzeba ciągle kwestionować.

– Ciekawe, bo w rewelacje tych czubów z Internetu wierzysz na słowo – odparłem. – Dlaczego ich nie kwestionujesz?

– Gdyby podróże w czasie były możliwe – odezwał się Will – bardzo chętnie cofnąłbym się, żeby zobaczyć dinozaury. To znaczy, oczywiście, zabrałbym jakąś wielką spluwę...

Nagle mój zegarek zaczął wydawać z siebie przenikliwe pikanie. Wyłączyłem go szybko.

– Co to było? – Lizzie zadarła głowę.

– Mój alarm. Zaczyna się odpływ. Dokładnie za dwa dni będziemy mogli wrócić groblą na Fetlar.

Lizzie zebrała nasze śmieci i włożyła je do swojego plecaka.

– Mamy coś do jedzenia dla Carmen, kiedy się obudzi? – Wyszarpała kosmetyczkę. – Mam multiwitaminę. Może damy jej kilka tabletek?

– Czy można przedawkować witaminy? – Spojrzałem na Grady'ego, który wzruszył ramionami.

– Ben i ja mamy trochę suszonej wołowiny – powiedział Will. – I co jeszcze?

– Jest też pepperoni wołowe – stwierdziłem i skinąłem na Willa.

Wyciągnął naszą torbę z żarciem i podał mi ją.

– Zostało też nieco bekonu. – Lizzie zagryzła wargę. – Ale surowego nie zje, a nie możemy go usmażyć. A co ty masz, Grady?

Popatrzyliśmy na jego wielki plecak.

– Został ci gulasz? – zapytałem. – To by było dobre.

Grady przetarł czoło.

– Mam jeszcze parę puszek. Ravioli, parówki koktajlowe... Poza tym... no, głównie słodyczne – przyznał niechętnie. – Przecież mnie znacie. Mam dużo gumisiów... – Zawiesił głos.

Lizzie położyła palec na ustach i zrobiła wielkie oczy.

– Słuchajcie.

Chwyciłem toporek. Z drugiej strony góry dobiegły nas odległe głosy.

– Próbują otworzyć skrytkę w punkcie kontrolnym – szepnęła.

– Czyli jakieś zespoły są jeszcze za nami? – Grady podniósł głowę.

Spiorunowałem go wzrokiem i pokazałem, żeby był cicho.

– Klóć się. – Lizzie chwyciła swój kij.

– Dostali się do skrytki? – Will przysunął się do barykady z plecaków, nasłuchując.

Wrzaski były teraz głośniejsze. Wyższy męski głos krzyczał na inne, niższe.

– Chcą mu wyrwać ząb. – Will podniósł swoją broń, ale nie zbliżył się do wylotu jaskini, skąd wpadało światło dnia.

Przyłożyłem rękę do twarzy. Działo wciąż bolało.

Krzyki się nasiliły. Słyszeliśmy stękanie, szczucie, pokrzykiwania i płacz.

Lizzie dostała dreszczy.

Nagle zza naszych pleców dobiegł rozdzierający wrzask. Carmen się obudziła.

Grady rzucił się, żeby zakryć jej usta, ale Carmen wiła się, wyginała w kabłąk i szarpała, żeby wyrwać się z jego uścisku. Lewą ręką trzymała się kurczowo za zakrwawiony nadgarstek. Policzki miała mokre od łez i wydawała z siebie potwornie

brzmiący ni to krzyk, ni to szloch.

– Carmen, to my – wyszeptała Lizzie.

Przyłączyłem się do niej.

– Car, ktokolwiek to był, już go tu nie ma. To ja, Ben.

Carmen uspokoiła się trochę, ale wciąż wiła się i szlochała zakneblowana ręką Grady’ego.

– Każcie jej być cicho! – warknął Will. Wciąż był przy wejściu. – Jeśli nas usłyszą...

Brązowe oczy Carmen spotkały się z błękitnymi oczami Lizzie. Jej pierś unosiła się i opadała, tłocząc ból, panikę i próby zachowania ciszy.

– Środki przeciwbólowe, Grady. – Chwyciłem butelkę z wodą, a Grady wolną ręką pchnął do mnie swoją apteczkę. Wycisnąłem tabletki tramadolu z listka. – Weź je, Car.

Grady zabrał rękę z jej twarzy. Wykręciła głowę w moją stronę, zgrzytając zębami. Przystawiłem jej tabletki do ust i zmusiłem, żeby je otworzyła. Zakrztusiła się. Wlałem jej wodę do kącika ust.

– Połknij je, proszę.

Zrobiła to niezręcznie, po czym chwyciła Lizzie za kołnierz sztywnymi palcami.

– Oni myśleli, że jestem... tobą!

– Co takiego? – Will odwrócił się i wbił w nią wzrok.

– Chcieli... nam... uniemożliwić...

– Otwarcie dalszych skrytek – dokończył Will, kiwając głową. – Bez kciuka Lizzie byłoby po zawodach. Sprytnie!

– A moje palce... zabrali je, żeby... zostawić w skrytkach.

Wtedy oczy Carmen się wywróciły. Znowu zemdląła.

## Rozdział dwunasty

Carmen siedziała w objęciach Lizzie, okropnie się trzęsąc. Lizzie jedną ręką głaskała ją po głowie, a drugą przytrzymywała puszkę z gulaszem.

Grady podsunął jej łyżkę.

– Musisz zjeść – powiedział łagodnie.

– Porzygam się. – Carmen odwróciła głowę.

– Przypominasz coś sobie, Car? – Will pochylił się nad nią.

Wpadła w jeszcze większy dygot.

– Mówili na niego Ris.

– Reece Armstrong – powiedział Will. – Zespół ósmy.

– Duży koleś. Myślał, że mam na imię... Elizabeth. Mówiłam, że to nie ja, ale nie dał się przekonać.

– Nie musisz nic opowiadać, jeśli nie jesteś na to gotowa – wyszeptała Lizzie.

Carmen pokręciła głową.

– Widzieli, że inny zespół prowadzi dziewczynę... na lince... jak na smyczy. Reece mówił o niej per „dawca części”. Powiedział, że nie są głupi, żeby tak wykorzystać kogoś ze swoich. I że... ja jestem jego „dawcą części”.

Zakrztusiła się i umilkła.

– Więc wyprzedzają nas dwa zespoły – odezwał się Grady.

Zgromiłem go wzrokiem.

Lizzie zaczęła przeczesać włosy Carmen palcami, próbując

rozplątać krwawe kołtuny.

– Nie rozumiem – powiedziała. – Czy tym idiotom się wydaje, że będą mogli spokojnie wrócić do domu? I że nikt nie pójdzie na policję?

Will uniósł brwi.

– Okej, Will, rozumiem! – wybuchła. – Myślisz, że „dawcy części” i im podobni nie wrócą do domu i nikt się nie dowie, jak było.

Will przyklęknął.

– Niekoniecznie. Niektórzy mogą wcale nie myśleć, co będzie później, kiedy już wygrają. Może nawet planują kupić milczenie swoich ofiar. Ale Reece sprytnie pomyślał. Jeśli już chce się wykorzystać kogoś w ten sposób, to najlepiej nieznanego. W ten sposób po tygodniu ofiara w stresie pourazowym cię nie rozpozna, nie będzie wiedziała, czy widziała ciebie, czy zaatakował ją ktoś inny.

Grady przytaknął.

– Na wyspie jest kilkadziesiąt innych osób w kamuflażu, a cały zespół sprawcy potwierdzi jego wersję.

Will przekrzywił głowę.

– W najgorszym razie członkowie zespołu będą się obwiniać nawzajem.

– Ostatnio mówili o podobnej sprawie w wiadomościach – przypomniałem sobie. – Trzech podejrzanych. Jeden zwał winę na drugiego. Nie było jak sprawdzić, kto zamordował, więc wszystkich wypuścili.

Carmen złapała mnie za rękę.

– Już jest popołudnie, tak?

Kiwnąłem głową.

– Mieli kilka godzin, żeby znaleźć następny punkt kontrolny. – Popatrzyła na Lizzie, a potem na mnie. – On tu zaraz wróci. Jeśli Will ma rację, to jesteście świadkami, na których nie może sobie pozwolić.

Ręka jej się trzęsła, więc ścisnąłem ją w dłoniach.

– Myślisz, że dasz radę iść?

– Oczywiście, że nie! – Lizzie popatrzyła na mnie z oburzeniem, ale w oczach Carmen coś stężało; ponura determinacja osuszyła jej łązy.

– Jeśli będę musiała – powiedziała.

Lizzie z ociąganiem pomogła mi ją podnieść. Carmen zwiła między nami jak worek.

– Zanim stąd wyjdziemy, przynajmniej zdecydujemy, dokąd iść – oznajmiłem i spojrzałem na Willa.

Rozłożył mapę.

– Jest kilka możliwości.

– Jakich? – Grady pochylił się nad jego ramieniem.

– Możemy iść na zachód w stronę klifów i poszukać innej jaskini...

– Niezły pomysł – ożywiła się Lizzie. – Przecież miało tu być ich mnóstwo. I trudno byłoby nas znaleźć.

– Ale znalezienie odpowiednio dużej może długo potrwać, a szukając będziemy na otwartej przestrzeni – dokończył Will.

– Och! – Carmen wstrząsnął dreszcz, kiedy Lizzie przeczesiała włosy palcami.

– Inna opcja? – Chwyciłem toporek.

– Powrót do przystani. – Will stuknął w mapę palcem. – Jeżeli ukryjemy się w budynku, w którym znaleźliśmy pierwszą skrytkę, to tam powinniśmy być bezpieczni. Inne zespoły będą raczej iść do



przodu. Jeśli wpadniemy tam na kogoś, to będzie zespół, który wycofuje się z gry i ukrywa tak jak my.

– I nie będzie dla nas zagrożeniem. – Lizzie się rozjaśniła.

– To jest myśl. – Schyliłem się, żeby podnieść mój plecak. – Chodźmy.

Jednak Will się nie ruszył.

– Masz jakieś „ale”? – Lizzie westchnęła.

Will wzruszył ramionami.

– Dla Carmen to daleka droga. – Spojrzał na Lizzie. – Tam nie udzielą nam pomocy lekarskiej. Jeżeli w ogóle jest tu jakiś lekarz, to w ostatnim punkcie kontrolnym, od którego się oddalamy, idąc do domku na przystani.

Zmrużyłem oczy.

– Ty wciąż myślisz, że powinniśmy walczyć o nagrodę, no nie? – powiedziałem.

Grady spłonął rumieńcem.

– A nawet jeśli tak, to co? – Wskazał Carmen. – Po tym wszystkim pieniądze przydadzą się jej jeszcze bardziej.

Will podniósł mapę.

– Jest jeszcze trzecia opcja: mniej więcej w połowie drogi stąd do trzeciego punktu kontrolnego jest jakiś budynek.

Pokręciłem głową.

– A co, jeśli Reece z zespołem wracają właśnie z trzeciego punktu kontrolnego? Mogą na nas wleźć.

Will podał mi mapę.

– Możemy ich ominąć. Jaką trasę stąd do następnego punktu kontrolnego byście wybrali?

Zmarszczyłem brwi.

– To zależy. Ma być najkrócej czy najłatwiej?

– Mieliśmy iść wzdłuż rzeki, minąć małe jezioro i przeciąć wrzosowisko – powiedział Grady.

– Tak. Ale jeśli przejdziemy przez rzekę i skierujemy się prosto do domku, to powinniśmy zejść im z drogi. Poza tym będzie prawie cały czas z górki – wyjaśnił Will.

– To jest ogromne ryzyko – stwierdziłem, oddając mu mapę.

Lizzie pokiwała głową.

– Ben ma rację. Jest aż osiem innych zespołów. Łatwo możemy na któryś wpaść. Jestem za powrotem do przystani.

– To nie jest głosowanie – rozległ się cichy i chrapliwy głos Carmen. – Chcecie się zaszyć do końca gry i pozwolić im zgarnąć po milionie funtów na głowę za to, co mi zrobili? – mówiła coraz głośniejsze.

– Ciszej! – Grady popatrzył z niepokojem na wejście do jaskini.

– Nie! – Carmen zmroziła mnie spojrzeniem. Szorstko odgarnęła zmatowione krwią włosy z policzka. – Idziemy do domku. Odpoczniemy, aż nabiorę sił. A potem robimy pędem całą trasę, olewamy zawartość skrytek i znajdujemy ostatni punkt kontrolny przed wszystkimi innymi. Nagrody nie zdobędziemy, ale jeśli uda nam się schować tę ostatnią skrzynkę... albo ją zniszczyć, to inni też nic nie wygrają.

Zapadła długa cisza.

– Wiecie co? – odezwał się Grady po namyśle. – Jeżeli nikt nie wypełni zadania ze skrzynkami geocache, to może dadzą kasę tym, którzy dotrą na koniec trasy w najkrótszym czasie.

– I tam najszybciej udzielą nam pomocy. Pokaż. – Lizzie pochyliła głowę nad mapą. – Jeżeli jesteś tego pewna, to możemy najpierw ruszyć na północny wschód. Będzie trzeba trochę nadłożyć drogi, ale wtedy jest mniejsze prawdopodobieństwo, że

wpadniemy na inne zespoły.

Złożyła mapę i oddała ją Willowi.

Carmen przyglądała się w milczeniu, jak zapinam na piersi swój toból, a potem biorę jej plecak i ważę go w ręce.

– Coś stąd będzie ci potrzebne? Wódka? – Dotknąłem kieszeni, w której wciąż miałem schowane jej grzybki. – Może walniesz sobie halucynkę?

Widać było, że jest jej niedobrze. Pokręciła głową.

Zarzuciłem sobie jej plecak z przodu i złapałem równowagę. Spróbowałem obciążyć obite kolano.

– Will może go wziąć – mruknęła Lizzie.

Stała podparta o swoją kulę. A może teraz, kiedy przywiązany był do niej nóż Willa, bardziej pasowałoby nazwać ją „włócznie”?

Pokręciłem głową.

– Nie ma mowy. Jeśli spotkamy się z Reecem, to Will musi mieć wolne ręce.

Lizzie wcisnęła głębiej okulary.

– Przecież jesteś od niego większy.

– Ale mam kontuzję.



Są moje dziewiąte urodziny. Zielony tort w kształcie stegozaura leży na podłodze w kuchni w pokruszonych kawałkach. Tata siedzi przy stole, a z rany nad brwią leci mu krew. Mama rozbiera Willa, który ma w ręku nóż do krojenia tortu.

Spróbowałem przyłożyć tacie do czoła papierowy ręcznik, ale mnie odepchnął. Czułem jego gniew.

– Zaatakował Bena – wyszeptał tata. – Powstrzymałem go w ostatniej chwili.

– Wcale nie zaatakował – zaprzeczyła mama, obejmując jedną

ręką poczerwieniałego Willa. – Tylko mu groził. Gdybyś się nie wtrącał...

Wrzuciła nóż do zlewu.

Popatrzyłem na tatę i odezwałem się:

– To moja wina. Przepraszam.

Zbladł jak ściana i spojrzał na mnie, wytrzeszczając oczy.

– Co ty mówisz, synku?! – Wstał. – Są twoje urodziny i możesz sam zdmuchnąć świece na swoim torcie.

Starłem się nie patrzeć na podłogę. Kleksy niebieskiego wosku zaczęły tężeć na linoleum. W rozwalonym torcie odcisnięty był ślad stopy Willa.

– To nie fair wobec Bena – powiedział tata.

– Rozumiem Willa – odparowała mama. – Wiesz, że dobrze go rozumiem. I ogarniam tę sytuację. Ostatnio jest znacznie grzeczniejszy.

– Naprawdę? – Tata popatrzył na mnie.

– No, chyba tak. – Kiwnąłem głową. – Od kilku tygodni nikomu nie zrobił krzywdy. Uczył się.

– Nie wiem, jak długo to jeszcze zniosę... – Tata zawiesił głos.



Był powód, dla którego nigdy nie biłem się z bratem.

Przygryzłem wargę – czy dobrze robię, zabierając plecak Carmen? A co, jeśli Willowi stanie się krzywda?

Ale przecież potrzebowaliśmy broni, a Will był bronią.

– Wszyscy gotowi? – Lizzie rozejrzała się dookoła.

Grady stał z nieszczęśliwą miną przy wyjściu, przytłoczony ciężarem plecaka.

– Nie chcę wychodzić – wymamrotał, przyciskając do piersi swój

czekan.

– Nie możemy tu zostać. – Will uraczył go rzadkim półśmiechem i błyskiem w oku. – Spójrz na to w ten sposób: wiemy, że oni na pewno tu wrócą.

Grady kiwnął głową.

– Carmen? – Przeniosłem wzrok na nią.

– Jestem gotowa – odpowiedziała, obserwując wyjście z jaskini.

Lizzie złapała ją za ramię.

– Jedną minutę. Posłuchajmy.

Zastygliśmy w milczeniu. Powietrze poruszało się, nęcąc do wyjścia na zewnątrz. Ptaki kwiliły przejmująco. Słyszałem też odległe pobekiwanie owiec. Na zboczach góry panowała cisza.

– Idziemy – odezwała się wreszcie Lizzie.

Było jeszcze jasno. Wychodząc z mroku jaskini, musieliśmy mrużyć oczy. Prowadzili Will i Grady. Lizzie i Carmen szły za nimi. Ja wlokłem się na końcu.

Poruszaliśmy się bez słów. Nasz niezgrabny pochód przerywały tylko postękiwania i jęki oraz szczeł gratów w plecaku Grady'ego.

– To jest bez sensu. – Lizzie oparła się z jękiem na swojej włóczni. – Grady robi straszny raban.

Byliśmy wciąż na płaskowyżu. W dole po prawej stronie migotała wstążka rzeki. Po lewej góra wznosiła się ku kolejnemu szczytowi i urwiskom.

Zatrzymaliśmy się i Will zaczął odczepiać wiszące przy plecaku Grady'ego: menażkę, kawiarkę, kuchenkę turystyczną i karabinki.

– Zostawiamy to.

Grady pokiwał głową.

– No dobra.

Stał i obserwował, jak Will zrzuca jego rzeczy.

– Możecie to ukryć? – Kostki Lizzie pobieleły od ściskania włócznie. – Nie chcemy, żeby ktoś się zorientował, dokąd poszliśmy.

– Ukryć? Gdzie? – Will przekrzywił głowę.

Dotelepałem się do krawędzi wzniesienia z rowem wypełnionym wodą.

– Tutaj.

Grady skrzywił się, kiedy Will topił jego rzeczy w sadzawce.

– Doszliśmy już wystarczająco daleko na północny wschód? – zapytałem Willa.

Spojrzał na mapę i kiwnął głową.

– Prawdopodobnie.

– Więc możemy już zacząć schodzić?

Zbocze usiane było głazami, kępami wrzosów i ostów, króliczymi norami i żwirem. Nie było tam żadnej ścieżki, więc ten, kto nas szukał, nie mógł się zorientować, którądy pójdziemy.

Carmen bez słowa postawiła nogę na zboczu i potykając się, z kikutem wciśniętym pod drugą pachę, zaczęła chwiejnie schodzić. Jej skołtunione włosy szarpał zimny wiatr. Były teraz czarnoczerwone, bo różowa farba zniknęła pod oblepiającymi je błotem i krwią.

Pół idąc, pół potykając się, musiałem zwalczyć pokusę, żeby nie zacząć biec. Przez wielki plecak Carmen zawieszony na piersi nie widziałem drogi przed sobą, więc nie mogłem wybierać bezpiecznych miejsc, gdzie postawić nogę. Musiałem zdać się na Willa. Na ile to było możliwe, szedłem po jego śladach.

Ramiona mnie bolały, a szyja swędziała. Byliśmy za bardzo odsłonięci. Nad nami rozciągał się tylko ogrom nieba, a pod nami – stok góry i wrzosowisko u jej podnóża. Gdyby ktoś się pojawił, nie mielibyśmy gdzie się schować.

Pewnie w pobliżu działało osiem innych zespołów. Jedna grupa ukradła nasz ząb z plecaka Lizzie. Druga... zajęła się Carmen. Co najmniej te dwa zespoły miały nad nami przewagę. Kiedy kryliśmy się w jaskini, wyprzedził nas przynajmniej jeszcze jeden. A pozostałe pięć? Można przyjąć, że do teraz wszystkie znalazły pierwszy punkt kontrolny.

– Ciekawe, ile zrezygnowało? – mruknąłem.

– Co? – Lizzie odwróciła się do mnie.

– Jak myślisz, ile zespołów się poddało? Wiesz, kiedy znaleźli ząb...

– Nie wiem. – Lizzie uniosła okulary i potarła oczy. – My zostaliśmy w grze.

– Wydaje mi się, że przynajmniej jeden powinien tam odpaść. Nie sądzisz?

Lizzie wzruszyła ramionami.

Zatrzymałem się.

– Hej!

– Co jest? – Will odwrócił się do nas.

– Ci, którzy się poddali, pewnie wrócą do przystani, no nie?

– Możliwe. – Pokiwał głową.

– Więc gdy tam pójdziemy, kiedy Carmen już odpocznie, znajdziemy sojuszników – zespoły, które nie planują, jak nam zaszkodzić, ale za to mają wszelkie powody, żeby zwiększyć swoją liczebność.

Will i Grady też się zatrzymali.

– Drugi punkt kontrolny nie był łatwy do rozgryzienia – nie odpuszczałem. – Musieliśmy rozpracować prawidłowe współrzędne, zagadkę, grę z zamkniętymi drzwiami, no i był tam ząb. Ktoś na pewno odpadł.

– Ben ma rację – powiedziała Lizzie. – Jeżeli pójdziemy do przystani, będziemy mogli połączyć siły z innym zespołem.

Carmen szła dalej.

– Słyszałaś, Car?

– Nie będziemy się... nigdzie... zatrzymywać. – Nie odrywała oczu od stoku. – Nie pozwolę, żeby zespół Reece’a... wygrał.

– Car – spróbowałem ją przekonać – nie wydaje ci się, że...

Odwróciła się do mnie gwałtownie z niepokojącym błyskiem w oczach.

– NIE WYCOFUJEMY SIĘ.

– Wiem, co czujesz, ale...

– Serio? Bo straciłeś... ząb, Ben? – Uniosła ramię. – Jakie życie czeka mnie bez ręki? Powiedz mi!

Zamknęła mi usta.

– Nie obronicie mnie już, ale możecie dotrzeć do ostatniego punktu kontrolnego i sprawić, żeby Reece nie zdobył pieniędzy – wypaliła i wystrzeliła w dół zbrocza.

– Jeżeli nie dostaną się do następnej skrytki, to zaczają się przy punkcie kontrolnym! – krzyknęła Lizzie. – Będą czekać na kogoś, kto ją otworzy.

Carmen znów się odwróciła. Jej oczy się zwężyły.

– Nie poddam się!

Przystając obok Willa, powiedziałem ciszej:

– Lizzie ma rację. Jeżeli pójdziemy do następnego punktu kontrolnego, to wystawimy się zespołowi, który tam czeka. To może być Reece albo ci oszuści, którzy ukradli mój ząb. Albo ktoś, kogo jeszcze nie spotkaliśmy.

Will pomachał do Carmen, ale go nie widziała.

– Musimy być ostrożni.



## Rozdział trzynasty

Teren był płaski. Z punktu obserwacyjnego między skałą a kępą ciernistych krzewów widać było mały domek wciśnięty w zakole rzeki. Miał grube, kamienne mury i piętro. Dawniej ktoś uprawiał okalający go ogródek. Dach był w połowie zawalony. Między popękanyimi dachówkami rosła kępa dzikich kwiatów.

Leżeliśmy jedno przy drugim. Carmen była wyczerpana. Położyła Willowi głowę na przedramieniu, a kikut ręki ukryła pod swoją kurtką.

Przeczesałem teren, patrząc przez lornetkę. Na południu widać było jezioro, które mijaliśmy w drodze do pierwszego punktu kontrolnego.

– Poszli sobie? – szepnął Grady.

Pokiwałem głową.

Już mieliśmy ruszyć do domku, kiedy wyszedł zza niego inny zespół, zmuszając nas do padnięcia na ziemię. Nie zobaczyli nas i poszli na północ, ale moje serce przez długą chwilę waliło jak szalone.

– Jak myślisz, co to za jedni? – dopytywał Grady.

– Nie mam pojęcia – odparłem i wyostrzyłem lornetkę. – Ani zespół Prishy, ani Reece’a.

Największa była tam wyglądająca na twardzielkę dziewczyna z włosami obciętymi na jeża i maczetą u pasa.

– Widzisz jeszcze kogoś? – spytał Will.

Podpierał się na łokciach, lustrując odcinek rzeki znajdujący się na wprost.

– Na razie nie. – Przeniosłem wzrok na drzewa, które dały nam schronienie poprzedniego dnia. – Ale tam chyba coś się rusza.

– Jak długo musimy czekać? – jęknęła Lizzie. – Carmen się wyziębi.

– Żeby dotrzeć do domku, trzeba przejść przez rzekę – zauważył Grady. – Będziemy musieli ją nieść.

Zacząłem obserwować wodę.

– Przy rozwidleniu z wody wystają kamienie. Może da się przejść po nich?

– Pójdźcie pierwsi z plecakami. – Lizzie ścisnęła ramię Carmen. – Ja zostanę z Car, a potem po nas wróćcie.

– Nie uśmiecha mi się zostawiać was same. – Zmarszczyłem brwi.

– Nie możesz nieść swojego plecaka, plecaka Carmen i jej samej na dokładkę. Zresztą ja też nie przejdę bez pomocy.

Rozejrzałem się jeszcze ostatni raz.

– Dobra. Lizzie, daj swój plecak Grady’emu.

Podniosłem się na kolana i poprawiłem sobie plecak Carmen na ramionach.

Lizzie odczepiła linę wiszącą przy moim plecaku i przeciągnęła ją przez mój pasek. Podałem jeden koniec Willowi, a drugi – Grady’emu.

Grady aż jęknął pod ciężarem, ale liny nie puścił.

– Po drugiej stronie rzeki jest piaszczysta łacha. Tam zrzucimy plecaki. – Przełknąłem ślinę. – Za chwilę się widzimy.

– Daj szkła. – Lizzie wyciągnęła rękę.

Kiwnąłem głową i oddałem jej lornetkę.

– Uważajcie na siebie – powiedziała, musnęła moją szczękę ustami i odwróciła wzrok, zanim zdążyłem spojrzeć jej w oczy.



Mknęliśmy wzdłuż brzegu rzeki, ale z każdym krokiem, który oddalał nas od Lizzie i Carmen, byłem coraz bardziej spanikowany. Co będzie, jeżeli znajdzie je inny zespół?

– Ruchy! – mruknąłem i puściłem się jeszcze szybszym truchtem, zmuszając Grady’ego, żeby dotrzymał mi kroku albo został w tyle.

Zatrzymaliśmy się nad samym brzegiem. Po lewej stronie rzeka się rozwidlała. Trochę dalej na prawym dopływie wodę spieniał jaz. Ale tutaj, przed rozwidleniem, brzegi były bardziej oddalone, a woda płytsza i wystawały z niej śliskie kamienie, zielone od glonów.

Will stanął na pierwszym z nich. Był niewiele większy od jego buta. Szybko przeskoczył na następny – szerszy, ale gładszy. Przez chwilę chwiał się, machając ramionami, aż w końcu znieruchomiał.

Spojrzałem na Grady’ego, przełknąłem ślinę i sam skoczyłem. Miałem niezłe poczucie równowagi – przecież jeździłem na desce – ale byłem obciążony dwoma plecakami. Wylądowałem na zdrowej nodze, a kontuzjowaną uniosłem. Rozłożyłem ramiona na boki i utkwilem wzrok w skamielinie spiralnej muszli na boku głazu, na którym stał Will.

– Dobra jest! – Szum wody wypełnił mi uszy, wiatr wydawał się nasilać, a woda chlapała na moje łydki.

Will przeskoczył na następny kamień. Poszedłem w jego ślady. Znalazłszy się na szerszym i bardziej płaskim głazie, poczułem z tyłu, że lina się napina i znów luzuje, kiedy Grady wskoczył na pierwszy kamień.

Na następnym kamieniu zaliczyłem poślizg, ale zanim upadłem

na kolana, udało mi się zachować równowagę, nie łapiąc przy tym liny.

– W porządku?! – krzyknął Grady.

– Jest dobrze! – odkrzyknąłem.

Will wykonał kolejny skok. Byliśmy w połowie przeprawy, kiedy usłyszałem krzyk Lizzie. Gardło mi się zacisnęło. Gdy się odwróciłem, zobaczyłem, jak rozpaczliwie macha w stronę drzew rosnących na brzegu rzeki przy jej zakręcie. Nie byliśmy już sami.

Od intruzów dzieliło nas jeszcze paręset metrów. Zamarli na nasz widok.

Jak szalony przenosiłem wzrok z Willa na Lizzie.

– Musimy wracać!

– Nie! – Will rzucił się do przodu, zmuszając mnie, żebym poszedł w jego ślady.

Po czterech kolejnych skokach, których prawie nie zarejestrowałem, stanęliśmy na drugim brzegu. Zatoczywszy się, Grady wpadł mi na plecy. Jak najszybciej zrzuciłem oba plecaki na cienki pas suchego piasku na brzegu rzeki i ruszyłem z powrotem.

Tamten zespół też przyśpieszył.

Will przeskakiwał po kamieniach, a ja zaraz za nim.

– Pilnuj plecaków, Grady! – krzyknął Will.

Spanikowany Grady patrzył to na nas, to na szybko zbliżających się obcych. Z początku przeskakiwał z nogi na nogę, ale w końcu przycisnął do piersi swój czekan i stanął spokojnie.

Zignorowałem ostatni kamień. Łądując w lodowatej wodzie przy drugim brzegu, wyciągnąłem zza paska swoją broń. Musieliśmy pierwsi dopaść Lizzie i Carmen. Opuściłem głowę i ruszyłem sprintem.

Bez plecaków byliśmy wystarczająco szybcy. Zatrzymałem się

z poślizgiem między dziewczynami a zbliżającymi się obcymi, uniosłem toporek i wydałem z siebie dziki wrzask.

Will zatrzymał się ślizgiem obok mnie i podniósł czekan.

Carmen dźwignęła się na kolana. Lizzie oparła koniec włóczni o ziemię i wyciągnęła jej ostrze przed nami.

– Ani kroku dalej! – krzyknęła.

Kapitan drugiego zespołu podniósł rękę i wszyscy się zatrzymali. Staliśmy teraz twarzą w twarz, mierząc się wzrokiem. Dyszałem ciężko. Gość wyglądał na Chińczyka. Drugi chłopak i dziewczyna z jego zespołu też byli Azjatami. Podobnie jak my byli uzbrojeni – mieli noże, toporek i metalowe drzewołazy. Byli tam też wysoka blondynka o sportowej budowie ciała i chudy chłopak z krzaczastymi brwiami, zrosniętymi jak u Breźniewa. Ten ostatni przyjął jakąś pozycję karate.

– Co to za jedni, Will? – rzuciłem, nie spuszczać ich z oczu.

– Pewnie zespół Wang Ana – odparł podniesionym głosem. – Zgadza się?

Kapitan nieznacznie opuścił pięści.

– Mówcie mi An. – Przechylił się lekko, żeby zobaczyć, co mamy za plecami, a potem wyszczerzył się w szyderczym uśmiechu. – Wykorzystaliście własnego człowieka? – Wskazał na Carmen.

Lizzie wytrzeszczyła oczy.

– To nie my!

An kiwnął głową.

– A wy? – wycharczałem. – Co zrobiliście z pierwszą skrytką?

Wysoka dziewczyna otworzyła usta i wskazała lukę po prawym kle. Po chwili wahania również się rozdziawiłem. Dziura po brakującej ósemce nie była tak bardzo widoczna, ale zrozumieli.

– Są tu tacy, którzy rozwiązali to inaczej – stwierdziłem, nie opuszczając toporka.

– Wiem. Widzieliśmy. Jeden zespół dotarł do punktu kontrolnego przed nami. Był z nimi jeden mały koleś. Nie dali mu wyboru.

– Sądzymy, że na następnym punkcie kontrolnym jest coś jeszcze gorszego – odezwał się Grady. – Być może ręka Carmen...

An popatrzył na swoich.

– Zastanawialiśmy się, czy może...

– A jednak zostaliście w turnieju? – przerwałem mu, marszcząc brwi.

– Milion funtów – rzuciła wysoka, jakby to wszystko wyjaśniało.

– Więc gracie dalej... – Poprawiłem chwyt na toporku.

– Tak jak wy – wyszczerzyła się.

– Chcemy tylko dotrzeć do końca trasy, żeby pomóc Carmen. Ktoś musi tam czekać na finalistów.

An podniósł rękę i dziewczyna się cofnęła.

– Nie chcecie zgarnąć kasy?

Carmen zachwiała się, więc położyłem dłoń na jej ramieniu.

– To już nie ma znaczenia. Liczy się jej zdrowie.

– Hej! – Lizzie się wyprostowała. – Może oni mogą nam pomóc – powiedziała i spojrzała na Ana. – Elektronika nam zamokła. Może macie działający tele...? – urwała, widząc jego minę. – Nie macie.

An rozłożył ręce.

– Od czasu, gdy znaleźliśmy się na wyspie, nic nie działa.

Spojrzał na członków swojego zespołu.

– Myślicie, że za tym wszystkim stoi Fundacja Golda?

– Jaki mieliby w tym cel?! – wybuchła Lizzie. – To idiotyzm.

Kretyni z pierwszego zespołu jadą po bandzie, uciekają się do brudnych sztuczek, a inni ich naśladowają.

– „Brudne sztuczki”... – zastanowił się An.

Azjatka nachyliła się do Ana i zaczęła gorączkowo szeptać mu do ucha. Gdy dobiegły mnie słowa: „połączyć siły”, pochwyciłem wzrok Lizzie.

An uciszył koleżankę.

– Oni zrezygnowali z pieniędzy, a my nie – powiedział i popatrzył na nas. – Musi być jakiś sposób na zwycięstwo, który nie wymaga tego... – Wskazał na Carmen.

Przyjrzałem mu się. Pod szelkami jego plecaka rosły plamy potu.

– Denerwujesz się? – spytałem.

An oblizał usta.

– Gorąco jest.

Breżniew odchrząknął.

– Dokąd idziecie? Może przez chwilę możemy pójść razem. Wszyscy będziemy bezpieczniejsi – oznajmił i wskazał Carmen. – Wygląda na to, że przyda wam się pomoc.

Lizzie otworzyła usta, ale odezwałem się pierwszy:

– Wygląda na to, że jesteście w porządku. – Zerknąłem na Willa i zobaczyłem, że przenosi ciężar ciała na drugą nogę. – Co zamierzacie zrobić ze skrytką w następnym punkcie?

An uciekł wzrokiem, ale Breżniew zarechotał nerwowo.

– A możemy się nad tym zastanowić, kiedy już tam dojdziemy?

– Myślę, że jednak lepiej nam będzie osobno. Jak zauważyłeś, mamy inne cele.

Lizzie pochyliła włącznie grotem w ich stronę.

– Tak z ciekawości, przyszlście stamtąd? – Wskazała drugi punkt kontrolny. – Czy może obchodziliście górę? I co jest

w następnej skrytce geocache?

An przełknął ślinę.

– Wracacie z trzeciego punktu, zgadza się?

– No wiesz...

– Nic jej nie mów – warknął Brezniew.

– A więc: tak! – prychnęła Lizzie. – Wracaliście, żeby znaleźć kogoś... takiego jak Carmen.

– To nieprawda – powiedziała Azjatka. – Nie jesteśmy źli.

Podniosłem toporek.

– Więc co zostawiliście w skrzynce?

– Nic poza...

– Zamknij się, Casey – uciszył ją Brezniew.

– Może nam się udać – stwierdził chłopak stojący tuż za nim. – Bierzmy ich.

– Więc postanowiliście wziąć nas z zaskoczenia? – Przeniosłem spojrzenie na Brezniewa. – Ale nie będzie tak łatwo, bo was przejrzelismy.

– Co jest w następnej skrytce? – Will się przybliżył. – Palec?

Poblady An kiwnął głową. Zacisnąłem palce na trzonku toporka.

– Naprawdę sądzicie, że dostaniecie tę kasę w zamian za worek części ciała?! – krzyknęła Lizzie. – Za dwa dni Fundacja Golda nie da wam nagrody, tylko wezwie gliny.

– Widzimy to inaczej. – An się przysunął.

– Ani kroku dalej! – Lizzie dziabnęła włócznią powietrze. – Nikomu nie musi się stać krzywda. Może... jedni pójdą w swoją stronę, a drudzy w swoją?

– Mamy udawać, że nigdy się nie spotkaliśmy? – spytał An.

Spojrzał na Brezniewa. Przez długą chwilę trwał między nimi



niemy dialog. W końcu Breżniew kiwnął głową.

Odsunąłem się na bok. Nie, żeby nie mieli któreś przejść, ale to był gest rozejmu. Jednak mimo to, kiedy An i jego zespół przechodzili obok nas, trzymałem toporek uniesiony w gotowości.

Gdy już nas minęli, odwrócił się do nas ten drugi skośnooki chłopak.

– Też sobie zrobię dzidę, Okularnico! – krzyknął. – Może po ciebie wrócimy.

Kiedy tylko się oddalili, toporek wypadł mi z palców, które nagle przybrały konsystencję makaronu. Klapnąłem na ziemię i ukryłem głowę między kolanami.

Lizzie położyła mi rękę na ramieniu.

– Dobra robota, Ben.

– Carmen musi się schować przed wiatrem – powiedział Will, pomógł jej wstać i wrzucił ją sobie na plecy chwytem strażackim. – Idzicie?

– Taa – odparłem i podniosłem toporek, wstając i pomagając Lizzie dokuśtykać do brzegu rzeki.



Popatrzyłem tęsknie na kominek.

– Co, rozpalilibyś ogień? – Lizzie i Carmen siedziały przytulone między dwoma śpiworami.

– Wtedy wszyscy inni dowiedzieliby się, że tu jesteśmy – stwierdziłem i ugryzłem kawałek kurczaka z zapasów udostępnionych przez Grady'ego, starając się nie patrzeć na owcze odchody zalegające na podłodze.

Carmen żuła suszoną wołowinę.

– Gdybyśmy nie wywalili mojej kuchenki, to moglibyśmy zagotować wodę... – zauważył Grady, pakując do ust kolejny

widelec zimnej fasoli.

Will siedział przy wybitym oknie i obserwował teren przez lornetkę. Odłamki szkła nadal tkwiące w ramie były matowe od kurzu, oblepione pajęczynami i zasuszonymi muchami.

Siedziałem po przeciwnej stronie pomieszczenia, obserwując drzwi. Schody zawałyły się dawno temu, więc gdyby inny zespół chciał schronić się w domu, nie mielibyśmy gdzie się ukryć.

Z miejsca, w którym siedziałem, widać było małe jezioro. Króliki wypłoszone naszym nadejściem skakały teraz po całym ogródku, a ptaki wróciły na dach. Pośród kępy wrzosu trzepotał skrzydłami motyl. Przeszedł mnie dreszcz, więc objąłem się ramionami.

Wyteżyłem słuch, łowiąc odległy szum morza. Na mapie widziałem niedaleko od domu wąską zatokę, a raczej wcięcie w skałach.

– Jak długo mamy tu czekać? – W głosie Grady’ego wyczułem niepokój.

– Aż Carmen będzie gotowa iść – odpowiedział Will.

Lizzie pokręciła głową.

– Nie chcę wyruszać za dnia.

– Chcesz stracić tyle czasu? – westchnął Grady. – Mieliśmy dziś zaliczyć trzy punkty kontrolne. Jeżeli zostawimy je na jutro, to będziemy musieli dotrzeć do wszystkich pięciu w jeden dzień. Nie wiem, czy nam się to...

– Nie powiedziałam, że mamy je zostawić na jutro. – Lizzie rozmasowywała ramiona Carmen. – Poczekajmy do zmierzchu. Wtedy będzie mniejsze ryzyko, że ktoś nas zobaczy. To najlepsza pora na marsz – niewiele widać przez lornetkę, ale jest za jasno dla noktowizora. Wyruszymy po zachodzie i zobaczymy, jak daleko zajdziemy.

– Więc wyfruwamy stąd razem z nietoperzami? – Spojrzałem

w górę; krążyły nad nami morskie ptaki.

– Poczekajmy. Carmen musi porządnie odpocząć – odpowiedziała Lizzie. – Tak będzie najbezpieczniej, bo przynajmniej kilka innych zespołów będzie już wtedy biwakować.

Pokiwałem głową.

– Do następnego punktu kontrolnego nie jest aż tak daleko.

– Na miejscu otwieramy skrytkę i spadamy – powiedziała Lizzie. – Nie będziemy się tam rozgaszczać, więc jeśli ci się nudzi, Grady, to rozpracuj wskazówkę.

– Całkiem o niej zapomniałem – oznajmiłem i jeszcze raz wyjrzałem przez drzwi.

Czy coś poruszyło się właśnie przy kamiennym murku w ogrodzie? Zastygłem w bezruchu.

Stary baran podniósł głowę, skubnął bluszczu pnącego się po kamieniach i spokojnie odszedł. Poczulem, że serce znów zaczyna mi bić mocniej.

– W moim plecaku, Grady. – Lizzie stuknęła go noskiem buta.

Grady zaczął grzebać, aż wreszcie znalazł jej notes.

– Tam była moneta, nie? – Przypomniałem sobie, że Lizzie ją odrysowywała.

– I bezsensowny ciąg liter. – Grady podniósł notes.

Will odwrócił się, żeby popatrzeć.

– To kod. Spróbuj go złamać. – Lizzie ułożyła się wygodniej, podtrzymując Carmen, która miała zamknięte oczy.

Grady pokiwał głową, wyjął z kurtki ołówek i zaczął coś gryzmolić.



Tata wpatrywał się w mamę.

– Chyba dopiero teraz widzę, kim naprawdę jesteś.

– Dziwactwa wygadujesz – powiedziała, zmywając naczynia.

Siedziałem na ganku zajęty czyszczeniem kółek nowej deskorolki z błota. Tata nie widział mnie przez kuchenne drzwi.

– W zeszłym tygodniu, w dniu urodzin Bena, powiedziałaś, że rozumiesz Willa. To dlatego, że jesteś taka sama jak on.

– Nie bądź śmiesz...

– Im więcej przyglądam się Willowi, tym bardziej widzę w nim ciebie – westchnął. – Widać, że się uczy. Potrafi zamydlić oczy. Tak jak ty. Od początku umiałaś owinąć mnie sobie wokół palca.

Zamarłem z palcami na decku deskorolki.

– Pewne rzeczy zaczynają mnie zastanawiać. Jak to jest, że wszystko zawsze dzieje się po twojej myśli, nawet jeśli ja chcę, żeby było inaczej? Na przykład dlaczego od dziesięciu lat nie widziałem się z moim bratem? – Odchrząknął. – Próbowałem przypomnieć sobie przyczynę, ale nie znalazłem innej poza tą, że ty go nie lubisz.

Więc mamy jakiegoś stryjka?! Odłożyłem deskę i szczotkę na schodek.

– Will jest absolutnie normalny... Ja też – odparła mama. – Dlaczego musisz wszystko utrudniać, Dean? Zawsze próbujesz znaleźć winę we mnie. – Pociągnęła nosem. – Myślałam, że mnie kochasz.

Tata podszedł do drzwi.

– To już na mnie nie działa.



Po jakimś czasie Will opuścił lornetkę.

– Zmiana? – spytał.

Kiwnąłem głową i przeszedłem pod okno. Grady oddał Willowi notes i zajął moje miejsce przy drzwiach.

Widziałem teraz rzekę. Góra z kopcem, przy którym umieszczono punkt kontrolny, majaczyła w niewielkiej odległości. Wzdrygnąłem się.

– Czego próbowałeś, Grady? – Will odwrócił notes do góry nogami i lustrował go, ściągnąwszy brwi.

– Głównie podstawiania liter. – Grady pokręcił ramionami, żeby się rozruszać.

– Ta moneta na pewno jest wskazówką – zasugerowałem.

– Możliwe. – Will przyjrzał się odrysowi zrobionemu przez Lizzie.

– Ma jakąś datę albo inny napis?

– „Caesar”. Nic więcej.

– Rzymska.

– No, raczej.

Nagle Lizzie parsknęła w dziwny sposób, wydając z siebie dźwięk niepasujący do okoliczności.

– Moneta była przyklejona do skrytki, więc to jest szyfr Cezara. W zeszłym roku było o tym na matmie. Pan Goode powiedział, że to właśnie Cezar wymyślił szyfry.

Will zastygł na chwilę.

– Pamiętam.

Zaczął coś skrobać na kartce.

– No i? – spytał Grady. – Jakie jest rozwiązanie?

– Chwila. Dwadzieścia liter można zapisać w siatce dwa na dziesięć, cztery na pięć albo pięć na cztery – uśmiechnął się. – I jest... pięć na cztery.

Will odwrócił zeszyt, żebyśmy zobaczyli.

**C O T W R**  
**A B P A O**  
**Ł R R S N**  
**Y Ó A T A**

– „Cały obrót, prawa strona!” – Parsknąłem śmiechem. – To nie było takie trudne.

– Jeżeli się wie, że to szyfr Cezara. – Grady zgromił mnie wzrokiem. – Wcałe nie było aż takie łatwe.

– Na punkcie kontrolnym otwieramy skrytkę i od razu zmywamy się z następnymi współrzędnymi – oznajmiłem i pokiwałem głową. – Lizzie? Jak się ma Carmen?

– Śpi – wyszeptała. – Mamy jeszcze około godziny do wymarszu. Może też się prześpimy, co?

– Śmiało – zgodziłem się. – My z Willem pełnimy wartę.

– Dzięki, Ben. – Grady usiadł oparty plecami o ścianę, z czekanem wciśniętym pod brodę. Rozejrzał się niespokojnie po domu. – A wiecie – powiedział jeszcze, ziewając – że wcałe nie było lądowania na Księżycu? Amerykański rząd je sfiingował, ponieważ Rosjanie chcieli tam być pierwsi.

Zamknął oczy i usnął. Oddech Grady’ego zmieniał się stopniowo w pogwizdujące chrapanie, a ja utkwilem wzrok w kamiennym kopcu na zboczu góry.

– Czuję się jak królik w ziemnej jamie – szepnąłem – jakbym czekał na okazję, żeby się wymknąć lisom.

– Bardziej obawiałbym się psów, które przylecą, żeby nas odkopać – stwierdził Will.

– Czyli kogo?

– Zespołu Ana. Powiedzieli, że wrócą.

Niepewnie wypuściłem powietrze.

– Gdyby chcieli tu przyjść, to już mielibyśmy ich na karku.

– Być może – wyszeptał. – Ale może są inteligentni... I czekają, aż zaśnieemy...

Im głębiej słońce zapadało za horyzont, tym bardziej mieliśmy wrażenie, że jesteśmy obserwowani.

– Może nie powinniśmy ich budzić? – spytałem. – Nie znajdziemy lepszego miejsca do obrony.

Will wzruszył ramionami.

– Jeśli tutaj zostaniemy, to w końcu będziemy musieli się bronić. Albo An tu wróci, albo ktoś inny będzie chciał się schronić. Ale jeżeli się stąd ulotnimy, to mamy szansę uniknąć konfrontacji.

– Chyba że nas dopadną na otwartym terenie...

Will rozłożył ręce.

– Według mnie lepiej zaryzykować wymarsz.

– No, oczywiście – odparłem i rzuciłem mu wściekłe spojrzenie.

– Nie zamierzam pytać, o co ci chodzi – wyszeptał.



– On ma przyjaciół! – wrzeszczała mama. – Jest normalny!

– To Ben ma przyjaciół. – Tata tak poczerwieniał, że aż piegi mu zniknęły. – Will żyje na jego koszt, jak pasożyt.

– To nieprawda. – Głos mamy ścichł niepokojąco. – Will jest czarujący. Wszyscy go lubią.

– Według Bena wszyscy się go boją.

– Może to Ben jest pasożytem. Pomyślałeś o tym? Will jest przystojny i inteligentny...

Spojrzałem w stronę platformy na szczycie schodów. W jasnym

prostokącie drzwi do swojego pokoju stał Will. Skrobał główkę zapałki paznokciem kciuka. Usiadłem przy stoliku z telefonem, zaglądając przez szparę w drzwiach kuchennych. W korytarzu leżał stos walizek taty.

– Doktor dał mi ten wydruk... – Tata wyciągnął w stronę mamy jakiś papier, ale ona zmięła go i cisnęła nim w tatę.

– Byłeś u psychologa beze mnie?! – wrzasnęła. – Ty zdrajco! Nie potrzebujemy tych śmieci. To ty jesteś przyczyną wszystkich problemów. Wydaje ci się, że możesz zawinąć kitę i nas zostawić?

– Nie mogę tu zostać, chyba że ty...

– Kazesz mi wybierać między tobą a moim synem?! To nie jest żaden wybór.

– Proszę tylko, żebyś pozwoliła komuś nam pomóc. Przecież on wczoraj mało nie spalił domu. – Ramiona taty zwisły bezsilnie.

– Żaden psycholog dyletant nie będzie mu grzebał w głowie! – Wypowiedziała te słowa, jakby było w nich coś obrzydliwego. – Ani wymyślał kłamstw na jego temat. A co, jeśli nam go odbiorą? Sama sobie z nim poradzę.

– Masz dwóch synów, Carrie.

– Torben jest samodzielny. Nie potrzebuje mnie tak jak Will.

Ramiona mamy były napięte. Już podjęła decyzję. Patrzyłem to na tatę, to na Willa. Nasze oczy się spotkały, a potem Will wycofał się do swojego pokoju i cicho zamknął drzwi.

– Ben powinien być ze mną – powiedział tata.

Wytrzeszczyłem oczy, a serce zaczęło mi walić młotem.

– Oszalałeś? – syknęła mama. Zamarłem. – Will go potrzebuje. Jeśli zamierzasz...

– A więc sama przyznajesz. – W głosie taty zabrzmiał ponury triumf. – Przyznajesz, że bez Bena nie jest normalny.



– Ben go uspokaja. – Mama skrzyżowała ręce na piersi. – Od dawna chciałeś odejść, więc droga wolna. Ale nie myśl sobie, że zabierzesz Bena. Potrzebujemy go.

– Potrzebujecie? – westchnął tata. – No cóż, a ja go kocham.

– Wynoś się! – wybuchła. – No już, zabieraj się i wynocha! Won!

Tata poczłapał smutno do korytarza i podniósł walizki. Zawahał się na mój widok.

– Przykro mi, że to wszystko słyszałeś, Ben.

– Will też słyszał.

– Zawsze myślisz najpierw o nim. – Tata stał w korytarzu z walizkami dyndającymi u rąk. – Mógłbyś pójść ze mną.

Przełknąłem ślinę.

– Chciałbym – wychrypiałem. – Ale tak naprawdę nie mogę, prawda?

– Możesz. – Ukląkł obok mnie. – Nie jesteś odpowiedzialny za Willa.

– Nie. – Nagle wezbrał we mnie gniew. – Ale ty jesteś.

Kiedy tata wyszedł, skierowałem się do kuchni. Zmięty wydruk wciąż leżał na podłodze. Przeczytałem czarny tytuł: „Zachowanie waszego dziecka: Wskazówki i pomoc”. Rozprostowałem kartkę i podeszedłem do szuflady z ważnymi pismami, żeby ją tam włożyć.

– Wyrzuć to do śmieci – warknęła mama.



Nie przestawałem obserwować terenu za oknem.

– Will... pamiętasz ten dzień, kiedy odszedł tata?

– Jasne – odparł bez emocji.

– A wiesz, dlaczego odszedł? – spytałem. Spojrzał na mnie, a potem znów przystawił do oczu lornetkę. – Złożyło się na to wiele

rzeczy, był więcej niż jeden powód.

Nie odpowiedziałem. Will odłożył lornetkę.

– Myślisz, że odszedł przeze mnie – oznajmił spokojnie.

– Nie o to mi chodziło. – Przetarłem oczy. – Zresztą nieważne. Sam nie wiem, dlaczego o tym teraz myślę.

– Dlatego, że się boisz. – Will przeskanował wzrokiem podwórko, a potem znów odwrócił się do mnie. – Boisz się, że nie wrócimy z tej wyspy.

– Wrócimy z niej.

Will powoli zamknął i otworzył powieki.

– Czytam w tobie jak w otwartej książce i wiem, że myślałeś o tym samym co ja. Skoro trzeci punkt kontrolny pchnął jeden zespół do tego, żeby uciąć rękę Carmen, to co będzie w następnym... Nawet jeśli reszta punktów zawiera normalne fanty, w co wątpię, to jednemu zespołowi już teraz bardzo zależy, żebyśmy nie poszli na policję. Więc, tak czy inaczej, jesteśmy w niebezpieczeństwie.

– A według ciebie wyjdziemy z tego cało? – Lornetka zwisała mi u palców, w których straciłem czucie.

Will pokiwał głową.

– Choćby nie wiem, co się działo, wyciągniesz nas z tej wyspy. Tak ja zawsze to robisz.

– Co niby robię?

– Myślisz, że tego nie widzę? Zawsze się o mnie troszczyłeś. Dbaleś, żeby nic mi się nie stało.

Być może po raz pierwszy w życiu stanąłem twarzą w twarz z tym faktem.

– Muszę cię przywieźć z powrotem do domu. Inaczej mama się zabije.

Will prychnął.

– Will!

Spojrzał na mnie.

– Naprawdę jeszcze jej nie przejrzalesz?

– Już wcześniej próbowała...

Will przekrzywił głowę.

– Znalazłeś ją w wannie. Dobrze to sobie wykalkulowała.

– Co takiego?

– Myślę, że najpierw kombinowała tak, żeby znalazł ją ojciec – bo miał wtedy przyjść, żeby zabrać nas na weekend – ale potem wykombinowała, że bardziej go zaboli, jeśli to ty ją znajdziesz.

– Nie zrobiłaby tego.

Will wzruszył ramionami.

– Skoro tak mówisz...

– Tata ma rację. Masz coś nie tak z głową.

Nic nie odpowiedział.

– Nie przeszkadza ci to?

– A powinno? – Will uniósł brew. – Nie wydaje mi się, żeby coś było ze mną nie tak. Może w dzieciństwie byłem bardziej... niestabilny. Ale teraz nad sobą panuję. – Znów wyjrzał przez drzwi. – Nie martw się, Ben. To nic nie da. Ty jesteś silny, a ja... jestem mną. Razem sprowadzimy wszystkich do domu.

## Rozdział czternasty

Kiedy nietoperze zaczęły krążyć nad domem, Lizzie otworzyła oczy.

– Już czas? – Przeciągnęła się, a potem gwałtownie wzięła oddech, przypomniawszy sobie, że Carmen śpi oparta o nią.

Za późno. Poruszając się, wyrwała Carmen ze snu. Jej twarz natychmiast zmarszczyła się i postarzała w grymasie bólu.

– Dam ci tramadol. – Lizzie znalazła tabletki w kieszeni plecaka Carmen, dała jej dwie, a resztę wsunęła do kieszeni spodni.

Zanim znów podniosłem lornetkę do oczu, kopnąłem Grady'ego w stopę. Obudził się gwałtownie z chrapliwym krzykiem.

– Masoni! Iluminaci! – Wyciągnął przed siebie czekan i mrugał jak opętany.

– Spokojnie, Grady. Czas ruszać w drogę. – Wstałem, wbijając pięści w dolną część pleców. Coś mi chrupnęło w kręgosłupie. – Na pewno chcesz iść przez punkty kontrolne, Carmen?

Wyciągnąłem rękę, żeby pomóc jej wstać. Przyjęła pomoc i dźwignęła się na nogi, dodatkowo podpierana przez Lizzie.

– Zawsze możemy wrócić do przystani – powiedziała Lizzie łagodnie.

Carmen spojrzała na nas zamglonymi oczami.

– Nie. Chcę dojechać do końca. Mogę sama nieść swój sprzęt.

Pokręciłem głową. Lizzie zwinęła ich śpiwory.

– Poradzę sobie.

Will wziął swój plecak, a Lizzie podniosła włócznię.

– Nie mam broni – odezwała się nagle Carmen.

– A jaką byś chciała, Car? – spytał Will.

Odwróciła się do niego.

– Nóż.

Will pokiwał głową.

– Mam twój. – Wyjął go z plecaka i podał Carmen.

Zamknęła drżącą dłoń na czerwonej plastikowej rękojeści.

– Czyli... znalazłeś go?

– Na górze. – Will spojrzał jej w oczy. – Zraniłaś gościa. Zuch dziewczyna.

Carmen rozłożyła ostrze i wyciągnęła nóż przed siebie.

– Ruszajmy, zanim się ściemni. – Will otworzył drzwi.

Jeszcze raz wyjrzałem na zewnątrz.

– W którą stronę? – spytał Grady.

Will wskazał palcem.

– Na północny wschód wzdłuż rzeki, aż do morza.

Opuściliśmy dom i ruszyliśmy w drogę poprzez chmary meszek kłębiących się w opuszczonym ogrodzie.



Z każdym krokiem brzegi rzeki wznosiły się coraz wyżej nad nami.

– Nie podoba mi się to – mruknąłem.

Lizzie uniosła brwi.

– Dlaczego? Tu jesteśmy dobrze ukryci.

– Tak, ale nie widać, czy ktoś nie nadchodzi z zachodu.

Lizzie wyciągnęła rękę, ścisnęła moją dłoń, a potem ją puściła.

Znowu prowadził Will. Grady szedł z tyłu, a dziewczyny ze mną

w środku pochodu. Niosłem dwa plecaki i utykałem. Lizzie kulała, podpierając się włócznią. Carmen wlekła się jak zombie. Kikut okaleczonej ręki chowała pod kurtką, a nożem trzymanym w drugiej dźgała niewidzialnych wrogów.

– Jak ona się ma? – szepnąłem.

Lizzie pokręciła głową.

Nie sililem się na dalszą rozmowę. Parliśmy przed siebie wzdłuż brzegu rzeki. Księżyc wyglądał jak rozmazany odcisk palca na niebie. Po niedługim czasie trudno już było rozpoznać sylwetkę Willa, który wysforował się naprzód.

Im dłużej maszerowaliśmy, tym wyraźniej było słyszeć morze. W końcu z szumu tła przeszło w głośny huk fal przyboju o skały. Udawało mi się jeszcze rozróżniać majaczące przed nami pojedyncze ptaki, a raczej plamy bieli pikujące w stronę klifów.

Strome brzegi górowały nad nami w mroku po obu brzegach rzeki. Tak bardzo się bałem, że inni obrzucą nas kamulcami, a potem sami spadną na nas z klifu, żeby nas wykończyć, że trudno mi było oddychać.

I wtedy rzeka otworzyła się na morze.

Kiedy ściany kanionu się skończyły, wreszcie udało mi się złapać oddech. Wznoszące się nad nami łęgowiska były szczelnie wypełnione ptakami. Widzieliśmy skały upstrzone białymi, zwapniałymi zaciekami. Z każdej szczeliny wystawały krzaczaste gniazda. Panował tu niesamowity zgiełk: krakanie, skrzeczenie, krzyki i szwargoty, jakby całe to ptasie towarzystwo było rozwydrzoną publicznością niemogącą się doczekać przedstawienia.

Zatrzymaliśmy się na mizernym spłachetku płaskiego terenu i zaczęliśmy obserwować.

– Ale hałasują! – krzyknęła Lizzie.

Will szukał już brodu.

– Musimy przejść na drugi brzeg ujścia! – zawołał.

Nie mogłem oderwać wzroku od wody. Zaraz za zatoką widać było atramentową plamę – małą przybrzeżną wysepkę.

Grady złapał mnie za ramię.

– Nawet o tym nie myśl, Ben. Pamiętaj o prądach? Zniosłoby cię na pełne morze.

Wzdrygnąłem się.

– Chyba nie warto ryzykować.

– Nie – potwierdził Will. – Jeszcze nie.



Ujście rzeki okazało się płytkie, więc bez problemu przeszliśmy po dnie na drugą stronę. Po szybkim rekonesansie odszukaliśmy ścieżkę w pasującym nam kierunku, pnącą się w górę klifu.

Oddech Carmen przerodził się teraz w ostry charkot. Mogła iść tylko podpierana przez Grady'ego.

– Może byśmy tu odpoczęli? – On też dyszał ciężko, kiedy dotarliśmy na szczyt klifu.

Lizzie pokręciła głową.

– Nie tutaj. Jesteśmy zbyt widoczni. Punkt kontrolny leży bardziej w głąb lądu. Najpierw tam dotrzyjmy.

– Daleko jeszcze? – spytał Grady.

Will spojrzął na mapę.

– Zrobiliśmy trochę mniej niż połowę drogi.

Grady jęknął. Carmen nie odezwała się słowem. Parliśmy więc naprzód. Jeszcze trochę i będziemy świetnie widoczni w noktowizorach.

Will zatrzymał się gwałtownie przy rozwidleniu ścieżki.

– Tutaj chyba odbijamy w głąb lądu...

– Nie jesteś pewien? – Zmarszczyłem brwi.

Dwa plecaki, które niosłem, miażdżyły mi kręgosłup. Nie pragnąłem niczego poza tym, żeby jak najszybciej znaleźć się przy punkcie kontrolnym.

– Nie na sto procent. Trochę dalej może być drugie rozwidlenie. To jest chyba za wcześnie.

– Więc idziemy – stwierdziłem i ruszyłem zdecydowanie do przodu.

– Ale jeżeli to jest ten skręt, to będziemy musieli się cofać – jęknął Grady, cały czas stojąc. – Jak to nie jesteś pewien? Nie przyjrzałeś się mapie?

– Jest ciemno, Grady – warknął Will.

– No to poświeć sobie latarką. – Grady poprawił rękę Carmen na swoich barkach.

– Zdradziłby innym, że tu jesteśmy – mruknąłem.

Lizzie podniosła rękę.

– A może zasłiśmy dalej, niż myślisz, Will? Może są tu jakieś charakterystyczne elementy krajobrazu, które wskażą, dokąd mamy iść?

Will przewrócił oczami.

– Oczywiście, że są. Jeśli faktycznie jesteśmy tam, gdzie myślę, to znajdujemy się na linii prostej łączącej pierwszy punkt kontrolny z południowym brzegiem wysepki w zatoce – stwierdził i założył rękę na piersi.

– Wystarczy spojrzeć: z jednej strony mamy wyspę, z drugiej – kamienny kopiec.

Westchnąłem.

– Wystarczyło powiedzieć, że jest za ciemno.



Will machnął lornetką.

– Widać zarys góry.

– Więc możemy się tylko domyślać – powiedziała Lizzie.

– Idźmy ścieżką – zdecydowałem. – Jeżeli za kwadrans nie dojdziemy do punktu kontrolnego, to zawrócimy i poszukamy innego rozwidlenia.

Ruszyłem w prawo, licząc na to, że reszta pójdzie za mną.



Punktem kontrolnym okazało się niskie, szerokie drzewo rosnące w zagajniku umęczonym przez wiatr i deszcz. Skrzynkę przykuto łańcuchem do pnia i schowano wśród korzeni. Grady opuścił Carmen na ziemię.

– Idę na oko – zadeklarował Will i stanął nieco dalej, żeby obserwować cienie na wrzosowisku.

Dotknąłem jego ramienia.

– Widzisz coś?

– Nie, ale oni tam są.

– Skąd wiesz...?

– Przynajmniej jeden zespół obserwuje ten punkt kontrolny. Zakładają, że rozwiążemy zagadkę, otworzymy pudełko geocache, doznamy szoku i zaczniemy kombinować, skąd wziąć palec... Spodiewają się, że będą mieli mnóstwo czasu, żeby się podkraść. Powinniśmy jak najszybciej załatwić ten punkt i zwinąć się stąd, zanim tu przyjdą.

Lizzie klęczała już przy skrytce z kciukiem przyciśniętym do pokrywy. Ekran zapłonął bładą elektroniczną poświatą.

– Jaka była odpowiedź? – Palce Lizzie zawisły nad klawiaturą.

– „Pełen obrót, prawa strona” – podsunął Grady, pochylając się nad jej ramieniem.

Gdy Lizzie wpisała hasło, natychmiast pojawiła się gra z zamkniętymi drzwiami.

– Jeżeli jest tak jak poprzednio – mruknąłem – to musisz obrócić skrzynkę.

Wszyscy usłyszeliśmy kliknięcie otwierającego się zamka.

Wewnętrzne pudełko wypadło na ziemię. Było większe od poprzedniego i przypominało trumnę wielkości palca. Lizzie nawet nie spojrzała na nie. Zamiast je otworzyć, włączyła latarkę i oświetliła pokrywę skrytki.

– O nie – wyszeptwała.

– Co? – Teraz ja pochyliłem się niezręcznie nad jej ramieniem, a plecak Carmen wbił się w moje uda.

– Przepisz to, Grady.

Rzuciła mu notes.

– „Moja piąta i trzecia dają czternaście. Między moją czwartą a drugą jest jeden. Moja pierwsza jest mniejsza od dwóch drugich, ale druga i trzecia dają dziesięć. Razem dają trzydzieści”.

– Spoko – rzuciłem, gdy Grady zajęty był pisaniem. – To łamigłówka matematyczna, a Will jest genialny z matmy.

Will nie oderwał oczu od horyzontu.

– Możemy już iść?

Lizzie odczytała na głos współrzędne wygrawerowane od spodu pokrywy.

Grady zapisał je w notesie, a potem podniósł pudełko geocache.

– Mam otworzyć?

– Wiemy, co w nim jest – powiedziałem i się cofnąłem, wyobrażając sobie zgięty jak szpon przez skurczone ścięgna odcięty palec, drzazgi pokruszonej kości, obgryziony paznokieć...

Carmen wytrąciła mu pudełko z ręki.

– Zostaw to! – syknęła.

Lizzie wcisnęła notes do kieszeni kurtki, włożyła pudełko z fantem do skrytki i zatrzasnęła pokrywę. Odcisnęła jeszcze kciuk na ekranie i szybko wstała.

– Idziemy.

I wtedy z wrzosowiska dobiegł nas krzyk. Z ukrycia i mroku wypadły cieniste postacie i zamajaczyły na szczycie pagórka.

– Widzieli, że zamykamy skrzynkę! – krzyknął przeraźliwie Will. – Myślą, że mamy jej zawartość. Zbliżają się!

– Biegiem! – wrzasnęła Lizzie.

– Dokąd? – Rozejrzałem się nieprzytomnie.

Nawet nie wiedzieliśmy, w jakim kierunku ruszyć, żeby znaleźć następny punkt kontrolny.

– Tędy! – Grady popędził przed siebie na oślep z opuszczoną głową i majtającym się plecakiem, a potem zniknął w ciemnościach.

Odwróciłem się, żeby pobiec za nim, ale Lizzie złapała mnie za ramię.

– Nie możesz biec z dwoma plecakami. Będą cię spowalniać. Zostaw jeden. – Szarpnęła za plecak Carmen, ale go nie zdjąłem.

– Tam są jej rzeczy...

– Zostaw go, Ben! – Oczy Carmen błysnęły w mroku.

Jednym szarpnięciem zdjąłem plecak z piersi i od razu poczułem ulgę w ramionach.

– Wybacz, Car – powiedziałem, zrzucając go przy punkcie kontrolnym.

Jedną ręką wziąłem Lizzie pod łokieć, a drugą ścisnąłem toporek. Will zarzucił zdrową rękę Carmen na barki i wszyscy razem popędziliśmy za Gradym.

– Hej! – dobiegły nas wrzaski pogoni.

Ta, jasne. Na pewno się zatrzymamy i pozwolimy im się dogonić.

– To jest jakiś... koszmar! – wydyszała Lizzie.

Prawie ją niosłem, bo zamiast opierać się na swojej zmilitaryzowanej kuli, niosła ją, żeby się o nią nie potykać.

– Olej ich. Gdyby mogli nas dogonić, to nie darliby japy. – Popchnąłem nas do przodu. – Tylko trzeba się gdzieś ukryć.

Grady potykał się przed nami, głośno dysząc. Był tylko czarnym cieniem ledwie widocznym w szarym mroku. Na prawo od nas Will holował Carmen.

– Hej, wy tam!

Lizzie wydała z siebie zdławiony szloch, pociągając mnie w bok, kiedy jej kostka wreszcie nie wytrzymała tempa. Szarpnięciem przyciągnąłem ją do siebie, objąłem w pasie i niezgrabnie pobiegliśmy dalej.

Wiatr zdechł. Słyszałem tylko własny charkot, przerywane szlochem dyszenie Lizzie i nierytmiczny tupot naszych nóg o ziemię. Khhhrrr. Pffff. Tup!

Miażdżyłem butami mech i przedzierałem się przez trawy. Potknąłem się o bryłę błota.

Lizzie skręcała się w moim uścisku.

– Chyba nas... doganiają.

– Nie... wcale nie. – Pociągnąłem ją jeszcze mocniej.

Gdzie jest Will? W uszach mi dzwoniło i czułem pulsującą krew. Czy Grady coś krzyczał?

Nagle trafiłem nogą w pustkę. Nie mogłem puścić Lizzie. Pociągnąłem ją ze sobą, odrzucając w bok toporek, żeby nie nadziać się na ostrze. Potoczyliśmy się w dół zbocza. Żwir rysował

mi łokcie i twarz. Lizzie nie krzyczała, ale jej włócznia pękła z głośnym traskiem. W końcu zatrzymaliśmy się w bezładnej płątaniu rąk i nóg.

– To wy, Ben? – Grady dotelepał się do nas po chwili.

– Tak – wyszeptałem.

Will skoczył za nami w dół pochyłości. Carmen westchnęła boleśnie, bo przy lądowaniu wykręciła sobie rękę. Zacząłem gramolić się na nogi, ale Lizzie złapała mnie i coś wskazała.

Wylądowaliśmy w głębokim rowie. Z jednej strony był tam niski, ale głęboki nawis, w którym panowała ciemność. Jeśli wpełzniemy w to miejsce, będziemy niewidocznymi.

Pokazałem jej oba kciuki i przeczołgałem się pod nawis. Lizzie i Grady poszli w moje ślady, Will wcisnął za nami Carmen, a potem sam wtoczył się do środka.

Serce waliło mi niczym młot. Przycisnąłem pięść do zarastającego miejsca po zębie, a Lizzie wtuliła twarz w moje ramię.

– Curtis, gdzie oni są?

To były głosy chłopaków starszych od nas, może dwudziestoletnich. Pewnie ledwo się zmieścili w limicie wieku.

– Rozdzielamy się. Trzeba ich znaleźć.

Plama światła latarki przesunęła się po niebie, a potem zjechała na stok rowu przed nami. Wytrzeszczyłem oczy, gdy zobaczyłem mój toporek. Leżał na widoku po drugiej stronie rowu. Światło błysnęło na stalowym ostrzu, ale nikt nic nie krzyknął. Prawie popłakałem się z ulgi, kiedy światło odpłynęło.

Tkwiliśmy w milczącym uścisku. Czas wlekł się niemiłosiernie. Zewsząd dobiegały nas krzyki – czasami odleglejsze, a czasami tak bliskie, że aż serce podchodziło mi do gardła. Chciałem zabrać toporek, ale za bardzo się bałem, żeby wyjść z kryjówki.

Stopniowo przerwy między krzykami stawały się coraz dłuższe.

– Poszli sobie? – szepnęła Lizzie.

– Może szukają na klifach – odszepnął Grady.

A co z Carmen? Jej głowa opadła bezwładnie na jedną stronę.

– Car, nic ci nie jest?

Nie było odpowiedzi. Podczołgałem się do niej i nagle zamarłem.

– Nie ruszaj się. – Te słowa zabrzmiały prawie jak syk. – Mam nóż.

Zza Carmen, z głębi wnęki, obserwowały nas dwie postaci. Nie byliśmy sami.

## Rozdział piętnasty

Wycofałem się bardzo, bardzo powoli.

– Will? – rzuciłem szeptem.

Mój brat włączył cieką latarkę, którą nosił przy pasku.

– Zgaś to! – warknął ktoś.

Will skierował promień w stronę głosu. Światło wydobyło z ciemności dwie przytulone do siebie szczupłe dziewczyny. Jedna trzymała duży nóż. Drugim ramieniem obejmowała koleżankę.

– Nic wam nie zrobimy – odezwał się Grady.

– Odlóż ten nóż. – Podniosłem ręce, starając się przybrać możliwie łagodny wygląd. – Jesteś Prisha? Chyba widzieliśmy was wcześniej.

Dziewczyna pokręciła głową.

– Somia.

– Co się stało? Gdzie reszta waszego zespołu?

Czubek jej noża opadł.

– A myślisz, że przed kim się chowamy? – Somia patrzyła na nas wilkiem. – Liam i Sanjay chcieli uciąć palec Pashy. Powiedzieliśmy im, że zrobimy to rano, i kiedy rozbijali biwak, uciekliśmy. – Dopiero teraz zobaczyła Carmen. – To wy jej to zrobiliście?!

– Nie! – Lizzie podczołgała się do mnie. – Ukrywamy się przed tymi, którzy to zrobili... i przed tymi, którzy nas gonili.

– Ukrywamy się przed wszystkimi – mruknął Grady.

– Nie możecie tu zostać. – Somia zatoczyła krąg. – To nasza kryjówka. Znajdźcie sobie inną.

– Może pójdziecie z nami? – Lizzie rozłożyła ręce. – Same nie jesteście bezpieczne.

– Chyba żartujesz?! – Somia rzuciła jej groźne spojrzenie. – Tę jamę można zobaczyć tylko wtedy, gdy się zejdzie do rowu. A jeśli ktoś spróbuje nas stąd wywlec, to go posiekam. Do końca gry będziemy tu wystarczająco bezpieczne. Został jeszcze tylko jeden dzień. Przeczekamy i po wszystkim stąd wyjdziemy.

– Z nami będzie wam lepiej. Obronimy was. – Will odgarnął grzywkę z oczu i zaprezentował im swój rzadko spotykany uśmiech.

Somia zatrzymała na nim wzrok przez sekundę.

– Serio? Tak jak ją obroniliście? – Wskazała nożem Carmen. – Skąd mam wiedzieć, czy sami nie chcecie nam poobcinać palców? Przecież bierzecie udział w turnieju.

Pasha zaczęła szeptać coś gorączkowo na ucho Somii.

Somia pokręciła głową.

– A ja im nie ufam. – Zmierzyła nas wzrokiem. – Zresztą już się wynoszą. No, jazda stąd!

Dźgnęła powietrze nożem, zmuszając mnie, żebym się wycofał.

– Jak? Carmen jest nieprzytomna.

– To ją ocućcie – wybuchła Somia.

Zrobiłem ruch w jej stronę.

– Nie ty! – Powstrzymała mnie. – Ona. – Wskazała Lizzie.

Lizzie zaczęła obchodzić mnie na czworakach, ale dotknąłem jej ramienia, żeby ją zatrzymać.

– W porządku. – Wysunęła się spod mojej ręki. Dotarłszy do Carmen, sprawdziła jej puls, odetchnęła z ulgą i potrząsnęła nią. –



Car?

Carmen jęknęła.

Lizzie spojrzała na Grady'ego.

– Ona ma gorączkę!

– To pewnie infekcja. – Grady był bliski łez. Wygrzebał z plecaka swoją apteczkę. – Trzeba było od razu dać jej antybiotyki! Nie pomyślałem... Dopilnuj, żeby je połknęła.

Wręczył Lizzie dwie kapsułki. Lizzie posadziła Carmen i odsunęła z jej twarzy zmatowiałe włosy.

– Macie wodę?

Podąłem jej butelkę przypiętą z boku plecaka.

Nie opuszczając noża, Somia przyglądała się, jak Lizzie zwilża wodą czoło Carmen, a potem powoli ją poi.

Carmen zakrztusiła się i otworzyła oczy.

Lizzie wsunęła jej kapsułki do ust i wlała trochę wody.

– Powinna też dostać kolejny przeciwbólowy – przypomniała.

Grady pokiwał głową. Lizzie podała jej tramadol, który wcześniej schowała do kieszeni spodni.

– A teraz wynocha! – warknęła Somia.

– Naprawdę każecie nam ją wlec na zewnątrz w takim stanie? – Grady zgarbił się nad swoim plecakiem, popatrując nerwowo na gwiazdy.

– Nie możecie tu zostać – odparowała Somia. – Będzie nas za dużo i ściągniecie uwagę innych.

Półprzytomna Carmen wyrwała się z objęć Lizzie. Wypęzła spod nawisu i chwiejnie wstała.

– Nie damy im wygrać! – Zatoczyła się. – Gdzie mój nóż?

Lizzie podała jej broń.

– A ona wciąż o tym samym. Nie do wiary. – Potarłem twarz. – Nie możemy iść do następnego punktu kontrolnego. Już teraz mieliśmy szczęście, że nas nie dopadli!

Carmen bluznęła na mnie wiązanką hiszpańskich wyzwisk. Will zdążył ją złapać, zanim ugięły się pod nią nogi.

– Spokojnie – powiedział łagodnym tonem. – Ben tylko tak zrzędzi. Zaraz ruszamy dalej.

– Mówiłem poważnie! – wybuchłem. – Nigdzie nie idziemy!

Carmen zamachnęła się na mnie nożem, ale chybiła. Lizzie złapała ją za rękę.

– Już dobrze, Car, pójdziemy. – Spojrzała na mnie. – Sprawdzić nie zaszkodzi.

Założyłem ręce na piersi.

– Powinniśmy znaleźć kryjówkę. Somia się ze mną zgodzi.

– Nie! – zawyła Carmen.

Grady zakrył jej usta.

– Przestań ją wkurzać, Ben!

– Zaraz ich nam ściągniecie na łeb! – wrzasnęła wściekle Somia.

Pasha zaczęła zawodzić.

– W porządku. – Zgrzytnąłem zębami. – Daj mapę. Pokażę wam, gdzie jest następny punkt. – Stuknąłem palcem w złożony papier. – O, tutaj. Po drugiej stronie wyspy, obok kościoła. Pół nocy będziemy tam leżać – oznajmiłem i popatrzyłem na Lizzie. – Kto będzie niósł Carmen, ty?

– Ja. – Will objął Carmen mocniej i po chwili oboje wbili we mnie wściekły wzrok.

– To nie ja tu jestem czarnym charakterem – warknąłem.

Lizzie wzięła mapę i latarkę Willa.

– Możemy przejść przez las. – Pokazała palcem. – Patrzcie, tam

jest jeszcze jakiś inny budynek oprócz kościoła. Czyli będzie mnóstwo kryjówek.

– Serio? – mruknąłem. – Mnóstwo kryjówek zaznaczonych na mapie. Inne zespoły też tam przyleżą. Najpewniej wpakujemy się komuś prosto do obozu.

– Więc będziemy ostrożni – powiedział Will.

– Im szybciej dotrzemy do końca trasy, tym szybciej udziela nam pomocy. – Lizzie wzięła mnie za rękę.

– A jeżeli dojdziemy do ostatniego punktu kontrolnego w najkrótszym czasie, to może nawet wygramy. – Grady zapiął pas piersiowy plecaka, unikając mojego spojrzenia.

– Tu już nie chodzi o to, żeby wygrać, tylko żeby przeżyć. Czyżby ten drobiazg wam umknął? – Przeczesalem ręką włosy, a potem sięgnąłem po toporek.

– Nie pozwolimy im wygrać – wycharczała Carmen.

– No tak, ale Car, co jeszcze chcesz poświęcić, żeby ich powstrzymać? – Wypuściłem powietrze, próbując opanować emocje.

Lizzie wytrzymała moje spojrzenie.

– Musimy działać powoli i ostrożnie. Będziemy się przemieszczać z jednej kryjówki do następnej, bez latarek. Jeżeli uda nam się wyprzedzić wszystkich innych, to jesteśmy w domu.

– Naprawdę myślisz, że zdołamy wyprzedzić inne zespoły? – Wskazałem jej kostkę.

– Oni muszą zdobywać fanty do skrytek, a my nie. Wystarczy, że przemkniemy obok nich.

– W naszych pelerynach niewidkach?

– Nie bądź taki, Ben. – Grady stanął obok Willa i Carmen. – Wiemy, jak maszerować po cichu i nie zwracać na siebie uwagi.

Potarłem oczy i poczułem, że Somia nas obserwuje.

– Ja tylko próbuję nas ocalić.

– Jeżeli tej nocy zdołamy załatwić jeszcze dwa punkty kontrolne, podczas gdy większość zespołów będzie biwakować, to jutro znajdziemy się dokładnie tam, gdzie od początku planowaliśmy być – powiedział Will. – Co więcej, jeśli prześpiemy się tylko dwie godziny, to utrzymamy prowadzenie.

– Czy królowny podjęły już decyzję? – warknęła Somia.

– Nie podoba mi się to. – Wyrwałem łokieć z uchwytu Lizzie i omijając wszystkich, wypęzłem spod nawisu.

– I nie musi, chico – prychnęła Carmen. – Byleś robił, co trzeba.



Droga prowadziła z powrotem przez ujście rzeki, które jeszcze raz pokonaliśmy, brodząc. Szliśmy z wyłączonymi latarkami.

Grady znalazł gwiazdę polarną, która wyznaczała nam kierunek. Księżyc rzucał blade światło na krzewiastą równinę, ułatwiając odnajdowanie drogi. Wiatr kęsał przez kurtkę, ale przynajmniej meszki i nietoperze zniknęły. Było za późno nawet dla nich.

Przemieszczaliśmy się powoli i ostrożnie. Kiedy już ujście rzeki zostało za nami, staraliśmy się unikać wzniesień i klifów.

Will na wpół niósł Carmen, a ja podtrzymywałem Lizzie. Prawie słyszałem niewypowiedziane słowa, które cisnęły się jej na usta. Lizzie nie znosiła milczenia, zawsze musiała je czymś wypełniać, ale ja byłem wdzięczny za tę ciszę. Powiedziałem, co myślę, i zostałem przegłosowany. Zmuszałem się do każdego kroku, bo mózg wrzeszczał, że mam natychmiast paść na glebę i się schować. Ostrożnie, bo ostrożnie, ale jednak zbliżaliśmy się do niebezpieczeństwa. Cholernie mi się to nie podobało.

– Przez las czy go okrążamy? – Słowa Grady'ego przerwały ciszę.

Serce zaczęło mi łomotać.

– Jak sądzisz, Ben? – szepnęła Lizzie.

– Nagle chcesz wiedzieć, co sędzę? – warknąłem trochę za ostro. Spojrzała na mnie zaskoczona, a potem popatrzyła na Willa. – Bardziej prawdopodobne, że inni biwakują w lesie albo że tam się zaczęli, nie?

Will kiwnął głową.

– No więc trzeba iść dookoła. – W jej głosie było słychać zdecydowanie, ale czułem, że Lizzie się trzęsie.

Utrzymując linię drzew po lewej stronie, posuwaliśmy się teraz jeszcze wolniej. Spomiędzy drzew zaczęło przebłyskiwać ognisko. Kiedy je mijaliśmy, wstrzymywałem oddech. Nagle od strony Grady’ego trzasnął patyk. Wszyscy zamarliśmy.

– Nie podnoś stóp! Suwaj palcami po ziemi – syknęła Lizzie.

Staliśmy bez ruchu, nasłuchując. Noc przyniosła tylko stłumiony śmiech. Nikt nas nie ścigał.

Ruszyliśmy dalej, zachowując jeszcze większą ostrożność. Przez to napięcie wszystkie mięśnie piekielnie mnie bolały. Co będzie, jeśli nie wytrzymam, upadnę i ściągnę nam na kark inne zespoły jak kajmany na bagnie?

Stopniowo ognisko zniknęło nam z oczu. Przynajmniej jeden zespół nie używał noktowizora. Potarłem oczy zmęczone od wpatrywania się w ciemność. Zgłupieli z tym ogniskiem czy co?

Powoli ominęliśmy las i przestrzeń przed nami zaczęła się otwierać. Z lewej strony dobiegł mnie plusk wody – to nocna bryza tworzyła fale na tafli jeziora. W oknach budynku mającego dalej, na jego drugim brzegu, tliło się światło. „To sygnał”, pomyślałem. Być może właśnie tam zbiorą się wszyscy myśliwi.

Kiedy dotarło do mnie, że myślę o nas jak o zwierzynie łownej, przeszedł mnie dreszcz.

Po prawej stronie czarnym, bezgwiazdnym kształtem na tle granatowego nieba rysował się krzyż. Dotknąłem ramienia Lizzie i wskazałem palcem. Kościół z mapy! Byliśmy prawie na miejscu.

Wrzosowisko zmieniło się w łąkę, długie trawy łaskotały w nogi, mocząc nas, bo noc stawała się wilgotna. Sowa przeleciała tak nisko nad naszymi głowami, że prawie dotknęła mnie skrzydłem, i rozplynęła się w mroku. Wytarłem spocone ręce w spodnie.

Wreszcie Lizzie przerwała ciszę.

– Nie chciałam cię ignorować, Ben.

– Wiem – uciałem.

– Musisz mi wybaczyć. – Głos jej się prawie załamał. – Co będzie, jeśli tego nie przeży...

– Nie zginiemy tu, Lizzie! – Podchwyciłem jej spojrzenie. – Poza tym nie jestem na ciebie zły, tylko się martwię, że leżymy w zasadzkę.

– Musimy dotrzeć do końca.

– A tobie ciągle się wydaje, że tam będzie czekać pomoc? Przecież w ostatniej skrytce był palec!

– Nie wiem, co się tu wyprawia, ale przy siódmym punkcie kontrolnym ktoś będzie czekał. Na pewno. Musimy być silni jeszcze tylko przez jeden dzień. – Przełknęła ślinę. – Dwadzieścia cztery godziny. Nawet mniej.

Zmusiłem się do uśmiechu.

– No, jeśli tak to ujmujesz...

Potrząsnęła głową.

– Więc nie jesteś na mnie zły?

– Jeśli ty nie jesteś na mnie – odparłem i podniosłem wzrok. Zbliżaliśmy się do kościoła. – Liz, słyszałem, o czym mówiłyście z Carmen, kiedy byłem... niedysponowany.

- Aha... – Spróbowała zabrać dłoń z mojej, ale ją przytrzymałem.
- Dlaczego mi nie powiedziałaś, że twój tata choruje?

Zacisnęła zęby.

- Nie chciałam cię zranić.

– I nie zraniłaś – skłamałem. – Ale jak mam być twoim przyjacielem i cię wspierać, skoro nie wiem, co się u ciebie dzieje?

Na długą chwilę zapadła cisza, którą zakłócał tylko odgłos naszych kroków. Potem Lizzie się odezwała.

- Teraz wiesz, jak się czułam przez całe życie.

Złapałem powietrze zaskoczony.

- Jak to...?

– Od zawsze wiedziałam, że masz jakiś problem. Jeszcze zanim odszedł wasz tata. Ale nigdy mi o tym nie powiedziałaś. Próbowałam pytać, ale ty zmieniałeś temat, aż w końcu dałam za wygraną. Więc doszłam do wniosku, że łączy nas... no... coś innego. Nie rozmawiamy na poważne tematy.

– Właśnie, że tak! – wykrzyknąłem. Po chwili dotarło do mnie, że podniosłem głos. – Nie? – dodałem szeptem.

– Tak naprawdę to nie. – Lizzie pokręciła głową. – O tym, że twoja mama trafiła do szpitala, dowiedziałam się od Matta, który usłyszał o tym od swojej mamy. Ale okej. Znalazłam sposób, żeby być przy tobie i cię wspierać. Po prostu... staram się być normalna. I ty też się starasz. Nie gadamy o trudnych sprawach, trzymamy się lekkich tematów i tak też jest dobrze.

- Czyli, że... nie ufasz mi?

– Jasne, że ufam. – Lizzie wzruszyła ramionami. – Ale i tak wciąż nie wiem, co się u ciebie dzieje. Może któregoś dnia mi o tym opowiesz. Próbuję tylko powiedzieć, że... jeśli jednak nie, to też będzie okej. – Przytuliła się do mnie.

– Kocham cię, Ben. Jesteś moim najlepszym kumplem.

Uśmiechnąłem się z bólem w piersiach.

Przyczailiśmy się jakieś sto metrów od kościoła za zniszczonym kamiennym murkiem. Kościół był tak samo zrujnowany jak dom, w którym schroniliśmy się wcześniej – jedna ściana zawaliła się zupełnie jak zamek z piasku pod nogą wrednego dzieciaka. Światło księżycy wydobywało z ciemności nagrobki – dotknięte zębem czasu, krzywe albo zupełnie roztrzaskane. Pomyślałem o domach zaznaczonych na mapie. Było ich tylko trzy, więc skąd tyle grobów? Musiało tu być pochowanych dużo ludzi z poprzednich pokoleń.

– Czy ktoś tu jest? – wyszeptał Grady.

– Nie wiadomo. – Will przekrzywił głowę. – Nic nie słyszę i nie widać ognia, ale to może tylko znaczyć, że ci tutaj są bystrzejsi od tamtych w domu... albo że zastawili pułapkę.

– Gdzie jest punkt kontrolny? W kościele?

Pokręciłem głową.

– Za nim. Na cmentarzu... najprawdopodobniej.

– Dobre miejsce na zasadzkę – zauważył Will.

– Możemy jeszcze wycofać się na wzgórze i znaleźć jaskinię – powiedziałem, ale Carmen, wciąż opierając głowę na ramieniu Willa jak zepsuta lalka, odwróciła się i wbiła we mnie wściekły wzrok, więc uniosłem ręce. – Dobra już, dobra. – Wypuściłem powietrze. – Nie świruj – dodałem i oparłem toporek o mur. – Więc zrobimy tak jak poprzednio. Will, weź się za zagadkę, dopóki jesteśmy w ukryciu. Do skrytki idziemy tylko z gotową odpowiedzią.

– Zgoda. – Lizzie wyciągnęła notes. – Trzymaj, Will. – Wygrzebała też kalkulator z plecaka.

– Potrzebuję więcej światła.



– Oślepi cię i nie będziesz widział w mroku – ostrzegła go Lizzie.  
– Przy świetle księżycy nie da się rozwiązywać tych równań – szepnął Will.

Grady wyjął latarkę, ale jej nie włączył. Wymieniliśmy spojrzenia. Potem Lizzie wyciągnęła z plecaka brudnozielony T-shirt i owinęła nim latarkę.

– Niech wszyscy poza Willem zasłonią jedno oko – zastrzegła. – W ten sposób uda nam się później coś dostrzec w ciemności.

Potem zebrała nas w ciasnym kręgu i skierowała snop światła w ziemię.

Nasze ciała zasłoniły słabą zieloną poświatę. Will kucnął na ziemi z notesem w jednej ręce i ołówkiem Lizzie w drugiej. Zaczął pisać.

– To algebra – mruknął. –  $A, B, C, D, E$ .  $E$  plus  $C$  równa się czternaście.  $D$  minus  $B$  równa się jeden. – Zmrużył oczy i przysunął do nich notes. – Dwa  $B$  minus  $A$  równa się jeden.  $B$  plus  $C$  równa się dziesięć. – Przygryzł ołówek. –  $A$  plus  $B$  plus  $D$  równa się szesnaście.  $A$  plus  $D$  plus  $E$  równa się dwadzieścia... To nie jest takie proste, jak myślałem. – Wydał z siebie warkliwy jęk. – Nie mogę myśleć.

– Daruj sobie algebrę. – Rozejrzałem się nerwowo, ale nie dostrzegłem żadnego ruchu. – Po prostu rozpracuj liczby, dobra? Jeśli  $B$  plus  $C$  daje dziesięć, to  $B$  musi być liczbą od jednego do dziesięciu, zgadza się?

– A jeżeli to są ułamki? – spytał Grady. – Albo liczby ujemne?

– Przypuśćmy, że nie – powiedziałem.

– Okej, w porządku – wymamrotał Will, żując ołówek i dziabiąc w kalkulator. – Chyba to mamy – oznajmił po kilku minutach.

– Co? – Nie widziałem, co jest na kartce, bo było wtedy za ciemno. Will kucnął na piętach. –  $A, B, C, D, E...$  7, 4, 6, 5, 8.

– W sumie dają trzydzieści – szepnął Grady po chwili.

– Ale to nie jest wskazówka do otwarcia skrytki. – Lizzie ściągnęła brwi. – To zupełnie co innego niż „pełen obrót w prawą stronę” albo „wiatr”.

– Może to się okaże oczywiste, kiedy już podejdziemy do punktu? – zauważył Grady.

– Chcesz ryzykować? – Zaczynała mnie boleć głowa. – Jakie litery da podstawienie tych cyfr pod alfabet?

– Żadnych sensownych. – Lizzie ścisnęła za rękę Carmen, która wierciła się niespokojnie.

– Dlaczego nie idziemy? – mruknęła zła.

– Za chwilę. – Głos Willa zabrzmiał kojąco.

– Może to anagram? – drążyłem.

– Jest tylko jedna samogłoska. – Lizzie pokręciła głową. – G, D, F, E, H.

Wpatrywaliśmy się w kartkę z zagadką bez pomysłu na rozwiązanie.

– Będzie trzeba pójść i przyjrzeć się skrytce, nie? – wyszeptała Lizzie.

– Naprawdę wszyscy jesteśmy tam potrzebni? – spytał Grady. – Jeżeli nie, to mogę tu zostać z Carmen – wyszeptał na wpół przepraszająco.

Szczęka mi opadła.

– My mamy ryzykować, kiedy ty będziesz siedział w ukryciu?

Grady przełknął ślinę.

– Skoro tak to ujmujesz...

– Właśnie tak.

– Pomyślałem tylko, że... jeżeli zobaczą nas przy skrytce, to Carmen spowolni ucieczkę. Ale jeżeli zostanę z nią tutaj, zajmę się

nią, wtedy – w razie potrzeby – będziecie mogli szybko uciec i... wrócić tu do nas.

– Mówisz poważnie?! – Wkurzyłem się jeszcze bardziej. – Chcesz, żebyśmy odciągnęli od ciebie niebezpieczeństwo?

– To nie takie głupie, Ben – przerwała nam Lizzie. – To najlepsza opcja dla Carmen i sami będziemy bardziej mobilni. Ja nie mogę nie pójść, bo muszę przyłożyć kciuk. Will będzie mi potrzebny... Ale ty możesz zostać z nimi.

– Chyba żartujesz?

– Przecież sam nie chcesz zaliczać wszystkich punktów kontrolnych.

– To nie znaczy, że zostawię was samych. No, nie do wiary... – Przcisnąłem pięści do skroni, bo ból głowy się nasilił. – Grady zostanie i będzie pilnował Carmen. Ty, ja i Will pójdziemy do skrytki. Wy będziecie otwierać, a ja stanę na straży. – Trochę się podniosłem. – Zostawiamy plecaki z Grady, żebyśmy w razie potrzeby mogli dać w długą.

Z trudnością zdjąłem mój toból z ramion. Miałem wrażenie, że jest do nich przyspawany, a skóra i kości przybrały kształt szelek i pasków. Postawiłem go obok plecaka Carmen.

– Antybiotyk jej daj – warknąłem.

Will wstał i wziął latarkę od Grady'ego.

– Może się przydać.

Grady kiwnął głową.

– Powodzenia.

Wydałem wściekły pomruk, po czym wlałem na murek i wyciągnąłem rękę, żeby pomóc Lizzie. Will wylądował obok mnie jak kot.

Mimo że zapuszczaliśmy się na cmentarz, gdzie inni mogli

urządzić zasadzkę, a skrytka, którą mieliśmy otworzyć, mogła zawierać odciętą część ludzkiego ciała, to fajnie było przez chwilę być tylko z Lizzie i Willem. Poczujęm się prawie tak, jakbyśmy znowu byli w podstawówce.

Przemykaliśmy od grobu do grobu. Latarką owiniętą w T-shirt Will skanował ziemię w poszukiwaniu skrytki. Lizzie jedną ręką ścisnęła kurczowo swój notes, a drugą wodziła po nazwiskach wykutych na nagrobkach. Zatrzymywała się dłużej na datach.

– Co za strata... – mruknęła.

– Nigdzie jej nie widzę – warknął Will.

Sprawdziliśmy wszystkie płyty nagrobne i kamienie. W głowie mi pulsowało przy każdym ruchu. Tak mocno zaciskałem ręce na toporku, że aż kostki mi pobielwały.

Lizzie nas ostrzegła i wszyscy daliśmy nura za dużą kamienną płytę, która wyglądała tak, jakby zaraz miała się zapaść.

– Jak myślisz, może jest gdzie indziej?

– Musi być tutaj – powiedziałem.

Zmarszczyła brwi.

– A co, jeśli trzeba ją wykopać?

Pokręciłem głową.

– Inni są przed nami. Gdyby kopali, to byłoby tu pełno dziur.

Will poświecił na jeden z grobów.

– Jedne są ziemne, drugie mają płyty nagrobne. Może da się którąś odsunąć.

– Ale którą? – Gdzieś na krawędzi mojego pola widzenia zamigotała poświata. Obraz w prawym oku znikł jak w zepsutym telewizorze. Zbliżała się migrena. Już teraz czułem się niezdarny, jakby spuchły mi ręce. To zupełnie do mnie niepodobne. Odgoniłem od siebie to uczucie. – Nie będziemy otwierać

wszystkich grobów.

Lizzie zaczęła czytać, wyglądając mi zza ramienia:

– Bessie Tait, Elspeth Tait, Sinnie Tait, Garthe Duncan, Eaner Galdie, Johne Galdie...

– Jak, jak? – Will odwrócił się gwałtownie.

– Bessie Tait, Elspeth Tait, Sinnie Tait, Garthe Duncan...

– Ten! – przerwał jej. – Który to grób?

Lizzie wskazała palcem.

– Ten za tobą.

– Jest tu więcej Duncanów? – Will zaczął się czołgać w kierunku wskazanego grobu.

– No – Lizzie ściągnęła brwi – właściwie to nie. Chociaż jest tak ciemno, że mogłam przeoczyć. Ale wszystkie pozostałe groby są Taitów, Galdiech i Fraserów. Jest tylko jeden Duncan. Garthe.

Will zatrzymał się przed grobem. Kamień nagrobny wbity w twardą ziemię były przekrzywiony.

– „Garthe Duncan – Farmer, Energoterapeuta, Hiromanta” – przeczytała Lizzie po cichu. – „Twoja miłość oświecili mi drogę”.

Wtedy dotarło do mnie, co usłyszał Will.

– G, D, F, E, H. To nasza wskazówka.

Lizzie kiwnęła głową.

– To co, przesuwamy kamień?

Zamiast odpowiedzi Will odłożył zawiniętą latarkę i wsunął palce pod jeden narożnik. Oddałem toporek Lizzie i pochyliłem się, żeby mu pomóc. Kamień dał się odsunąć łatwiej, niż się spodziewałem.

– Nie jesteśmy tu pierwsi – mruknąłem.

Oparliśmy kamień o grób. Pod nim leżała skrytka punktu

kontrolnego.

– No, Lizzie, otwieraj – ponaglił ją Will.

Wskazówką do gry z zamkniętymi drzwiami było słowo z napisu na płycie nagrobnej: „Światło”. Will poświecił na ekran i pokrywa skrytki odskoczyła. Pudełko, które zawierała, było szersze i bardziej płaskie od poprzedniego.

– Jak myślicie, co jest w środku? – szepnęła Lizzie, kiedy już skończyła przepisywać do notesu współrzędne i następną wskazówkę.

Przełknąłem ślinę.

– Możemy je otworzyć i się przekonać. – Will pogładził wieczko. – Nie musimy mówić Carmen.

– No nie wiem. – Lizzie pokręciła głową. – Tak naprawdę to wcale nie musimy tam zaglądać, nie?

– Jesteś pewna? – spytał Will. – A jeśli tym razem jest tam jakiś normalny przedmiot?

Oczy Lizzie pojaśniały.

– Myślisz, że to możliwe?

Will wzruszył ramionami.

– Nawet jeśli faktycznie inne zespoły podmieniały fanty w pierwszych skrytkach, to może teraz już dały sobie spokój.

– Będziemy mieć pewność tylko wtedy, gdy pierwsi dotrzemy do któregoś punktu – zauważyłem.

– Znów akurat dobre na kompas. – Lizzie postukała w pudełko.

Spojrzałem na Willa, ale nie odezwałem się, kiedy podniósł pudełko. Oddał Lizzie latarkę i otworzył zatrzask. Nie chciałem tego robić, ale coś kazało mi się nachylić bliżej.

## Rozdział szesnasty

Trupio blade światło wydobyło z mroku ludzkie ucho na dużym spłachciu waty. Krawędź małżowiny okolona była włoskami. Krew zabarwiła watę na czarno.

Lizzie zakryła twarz dłońmi.

Wziąłem pudełko geocache od Willa, zamknąłem je i włożyłem do skrytki. Zatrzasnąwszy wieczko, przyłożyłem do ekranu kciuk Lizzie. Nie opierała się. Kiedy rozległo się kliknięcie zamka, wrzuciłem skrytkę do dziury pod kamieniem nagrobnym.

– To się nigdy nie skończy, prawda? – wyszeptała Lizzie. – Albo ci cholerni sabotażyści nie zamierzają odpuścić, albo... masz rację i właśnie tak miało być. Cała ta gra jest porypana. – Spojrzała na Willa. – My tu zginiemy!

Will poklepał ją pocieszająco.

– Ben na to nie pozwoli – powiedział i szybko się wycofał na drugą stronę kamienia.

Lizzie obserwowała go przez chwilę, po czym wzięła głęboki wdech.

– Masz rację. Nic nam nie będzie. Dzięki, Will.

Kiedy Will oddalił się, żeby przeszukać dalszą część cmentarza, przyłożyła mi usta do ucha.

– Przepraszam, nie chciałam go przestraszyć. Czasami zapominam, że jest od nas młodszy.

– Nie przestraszyłaś go. – Podniosłem głos, zwracając się do

brata: – Widzisz kogoś?

Pokręcił głową.

Zmarszczyłem brwi.

– Chyba już ktoś powinien nas tu dopaść, nie?

Will wrócił, podciągnął mi rękaw i spojrzał na zegarek po dziadku.

– Jest druga w nocy. Wszyscy śpią.

Odwinąłem rękaw.

– Na pewno nie tylko my przemierzamy się nocą.

– Księżyc zachodzi, a Słońce jeszcze nie wschodzi. – Lizzie spojrzała w niebo. – Więc może jednak jesteśmy sami.

– A może zamiast zaliczać punkty kontrolne, szukają miejsc na nocleg? – zauważył Will. – Co głupszy rozpalają ogniska.

Uśmiechnąłem się zjadliwie, czym zaskoczyłem samego siebie.

– Mówisz, że nam się to nie zdarzyło?

Lizzie wyszczerzyła się w odpowiedzi. Potem jej uśmiech zgasł.

– Lepiej wróćmy do Carmen i Grady’ego – oznajmiła. – Powinniśmy iść dalej.

Trzymając się blisko ziemi, wróciliśmy do murka, który udało mi się bezgłośnie przeskoczyć mimo pulsującego bólu głowy. Wystraszyłem Grady’ego, który siedział przy Carmen z przymkniętymi oczami, oparty o kamienie.

– Zarąbisty z ciebie strażnik, Grady. – Will ściągnął brwi. Potem dotknął policzka Carmen. – Ona cała się trzęsie.

– To od gorączki. – Grady ukląkł. – Znaleźliście następne współrzędne?

– Mhm. – Uniosłem latarkę nad mapą i flaki mi się skrzyły. – Nie jest dobrze.



– Dlaczego? – Grady przygramolił się, żeby zobaczyć.

– Następna skrytka jest na cyplu, na północnym zachodzie wyspy – stwierdziłem i zamknąłem oczy, żeby pozbyć się migotliwej poświaty, która przeszkadzała w widzeniu. – Będziemy tam totalnie odkryci.



Zrobiła się trzecia w nocy, ale byliśmy zdeterminowani, żeby jeszcze przed świtem dotrzeć do wrzosowiska leżącego u stóp najwyższego wzniesienia na wyspie. Pogryzłem gorzkie pastylki na migrenę i ruszyłem w ciemność, wdzięczny, że moje oczy nie muszą się zmagać ze światłem słońca.

– Tam powinna być jakaś kryjówka – oznajmiła Lizzie. – Jaskinia albo coś.

Nie odpowiedziałem. Musiałem skupić całą uwagę na tym, żeby stawiać jedną stopę przed drugą. W brzuchu czułem pustkę, od której robiło się niedobrze, głowa pulsowała, kolano nawalało, dziąsła miałem obolałe, a w dodatku widziałem wszystko jak przez zasłonę poruszającą się na wietrze. Wyczerpanie walczyło z objawami migreny i sam nie wiem, co wygrywało.

Zorientowałem się, że chodzę zakosami dopiero wtedy, gdy wpadłem na Grady’ego. Odepchnął mnie ze stęknieniem.

– Sorry – mruknąłem.

Niebo na wschodzie zaczęło się rozjaśniać. Ptaki jeszcze nie śpiewały, ale już czułem, że zaczynają się wiercić w gniazdach. Robactwo łaziło mi po butach i coraz lepiej widziałem, gdzie stawiam nogi.

Wraz z unoszeniem się zasłony mroku czułem się coraz bardziej obnażony. Dygotałem, bo wilgotne nocne powietrze podwiewało mi kurtkę, mroząc lepką skórę.

Teren stawał się coraz bardziej stromy. Potknąłem się, wchodząc

na stok, ale nie upadłem, tylko wyczerpany lażłem dalej.

– Rozglądaj się za jakimś miejscem na kryjówkę. – Lizzie dotknęła mojego ramienia. – Ben? Słyszysz mnie?

Podniosłem głowę.

– Miejsce na kryjówkę. Tak. – Zamrugalem, patrząc na wznoszącą się przed nami górę.

Znów rozdziawiłem usta i parłem przed siebie. Sami niech się rozglądają. Jeśli przestanę się koncentrować, to nie zdołam dłużej stawiać jednej nogi za drugą, jedną za drugą, jedną za...

– Ben! Stój! – odezwał się tym razem Grady.

Wyhamowałem i podniosłem wzrok. Will niósł Carmen na plecach: jej głowa podskakiwała, a ramiona majtały się za nim. Chwył strażacki.

Lizzie i Grady zatrzymali się obok nich. Za nimi znajdowało się kamienne osuwisko, dalej – drzewo z powykręcanyimi korzeniami, a pod nimi...

– Jaskinia?

– Odkryłem ją dopiero wtedy, gdy wlażłem do jamy pod korzeniami – wyjaśnił Grady zadowolony z siebie. – Jest dobrze zakamuflowana.

– I nadaje się do obrony. – Lizzie chwyciła mocniej swoją złamaną włócznię. – Ma wąskie wejście.

Kiwnąłem głową.

– No to włączmy.

Lizzie poprowadziła mnie do jamy wypełnionej zapachem korzeni, mokrej ziemi i owadzi pancerzy. Wyłączyła latarkę owiniętą T-shirtem i pomogła mi zdjąć plecak. To była raczej szczelina skalna, a nie jaskinia: ze sklepienia zwisały korzenie powykrzywiane jak zębiska, a ziemiste dno usłane było

kamieniami. W rogu spomiędzy skał sączyła się woda nanosząca łąwice tłustej gliny i błota. Miejsca ledwie starczało dla naszej piątki i plecaków, a i to dzięki temu, że porządnie się ścisnęliśmy. Westchnąłem. Lizzie dotknęła mojego czoła.

– Coś ci się stało z twarzą. Masz migrenę?

– Już mi lepiej – skłamałem.

– Musisz się przespać.

Will rzucił protestującą gorączkowo Carmen na mój plecak. Gdy pomagałem jej się ułożyć w wygodniejszej pozycji, wtedy otworzyła oczy.

– Gdzie jesteśmy?

– W jaskini – wyjaśniłem. – Tak jakby.

– Spokojnie – powiedziała Lizzie, siadając obok niej. – Nie zostaniemy tutaj.

– Wy zostajecie – odezwał się Will.

– Co? – Lizzie podniosła wzrok.

– Ty, Carmen i Grady zostaniecie tutaj, a Ben i ja pójdziemy na cypel.

Przetoczyłem głowę, żeby na niego spojrzeć, bo byłem za bardzo zmęczony, żeby ją unieść.

Will wyciągnął nogi obok mnie, skrzywił się i odsunął ostry kamień.

– We dwóch możemy się przemieszczać szybciej i ciszej – wyjaśnił. – Ale potrzebujemy złapać trochę snu. Rozgryźcie zagadkę i obudźcie nas o czwartej.

– Jaką zagadkę? – spytał Grady.

– Jest niezła – powiedziałem, resztkami sił próbując powstrzymać zamykanie powiek. – „Co rośnie, gdy je, lecz ginie, gdy pije?”.

Głowa mi opadła. Zasnąłem.



– Przyda się wam. – Lizzie wcisnęła mi do ręki zapalniczkę.

Włożyłem ją do kieszeni. Złapałem dość snu, żeby przestało mi się wydawać, że w miejscu mózgu mam gniazdo os. Znów mogłem myśleć, ale wciąż jeszcze kręciło mi się w głowie.

Will wczuł się do jamy między korzeniami drzewa. Poszedłem w jego ślady.

Lizzie złapała mnie za ramię.

– Nie daj sobie zrobić krzywdy.

– Nie obiecuję, że to się uda – odparłem i uśmiechnąłem się blado.

– Postaraj się – powiedziała z naciskiem.

Kiedy tak na siebie patrzyliśmy, nagle poczułem się niezręcznie.

– To jest najlepsze rozwiązanie, prawda? – rzuciła.

– Tak. Musisz dać odpocząć kostce, a Carmen potrzebuje czasu, żeby spadła jej gorączka. Prześpijcie się. Grady będzie was pilnował.

– A kiedy ja mam spać? – zaprotestował Grady.

– Możemy się zmieniać. – Głos Lizzie zabrzmiał szorstko. – Każdy złapie godzinę snu.

Grady skrzyżował ramiona na piersi, a ja odwróciłem się do wyjścia.

Lizzie odchrząknęła.

– Wracaj bezpiecznie, Ben, i...

– I pilnuj Willa? – Uniosłem brwi.

Prychnęła.

– He! Nie... Jeżeli nie będzie możliwości, żebyście podeszli do

skrytki niezauważeni, to ją zostawcie.

– A co z Carmen? Nie chcemy już dotrzeć do końca trasy?

– Będzie trzeba znaleźć pomoc gdzie indziej.

Palce Lizzie zawisły w powietrzu między nami, jakby chciała dotknąć mojej twarzy. A może wcale nie? Może źle odczytywałem jej sygnały? Zwłaszcza po naszej ostatniej rozmowie.

– Ben? – syknął Will. – Ruszaj się.

– No to... idę.

– Okej.

Wyczołgałem się na zewnątrz, do Willa.

Niebo wciąż jeszcze miało ciemnoszarą barwę, ale gwiazdy zaczynały błędnąć. Było wpół do piątej. Podniosłem toporek, zadowolony, że nie muszę taszczyć plecaka.

– Możesz biec? – szepnął Will.

Kiwnąłem głową i ruszyliśmy w stronę cypla.



Po niedługim czasie wrzosowisko się skończyło. Pamiętaliśmy, żeby górę mieć zawsze za plecami.

– Przy punkcie będą inni – wydyszał Will.

Biegając u jego boku, pokiwałem głową. Jeżeli palili ogniska, to zostały z nich tylko żarzące się węgle. Żaden dym ani płomień nie ostrzeże nas, że możemy się natknąć na czyjeś obozowisko, a inne zespoły mogły już wyruszyć, żeby ubiec konkurencję w punktach kontrolnych. W pewnej chwili moje buty zachrząściły na kamieniach, żwirze i sypkim piasku. Klify za nami odcinały się od nieba jak ciachnięte nożem.

Biegliśmy synchronicznie. Will był tylko trochę niższy i pracował ramionami w tym samym rytmie co ja. Wprawdzie ze zmęczenia dostał plam na skórze, ale wydawał się tak samo

spokojny jak zawsze.

Daleko na morzu majaczyły odległe igielki świateł z sąsiedniej wyspy. Może to uliczne latarnie, a może okna w domach wcześniej wstających farmerów. Gdybyśmy wystrzelili racę, może ktoś by ją zobaczył? Ale nawet jeśli chciałoby mu się ruszyć na ratunek, to czy dotarłby tu, zanim dopadliby nas myśliwi?

Przylądek zmienił się w plażę okoloną z lewej i prawej strony płaskimi kamieniami. Wstrzymałem oddech na widok ruchu między skałami, ale potem zdałem sobie sprawę, że to foki. Ich pyszczki wyrażały zaciekawienie, ale nie strach. Kilka foczych głów wynurzyło się spod wody. Szczekaniem ostrzegają się wzajemnie o naszej obecności.

Parliśmy naprzód. Niebo jaśniało coraz bardziej. Było teraz bladoszare, a gwiazdy całkiem się rozmyły.

– Ben? Spójrz! – Will wskazał coś palcem.

Zatrzymaliśmy się. Przed nami, na jasnym piasku ktoś ułożył z ciemniejszych kamieni litery wielkości człowieka. Tworzyły jedno słowo: HELP. „Pomocy”. Mało nie upadłem, potykając się o ostatnią literę.

– Ktoś tu był przed nami. – Will potarł brodę. – Ale nie przyszedł do punktu kontrolnego.

– A więc są zespoły takie jak my. – Gwałtownie złapałem powietrze. – Oni też już nie chcą brać udziału w rozgrywce.

– Na to wygląda.

– Ciekawe, gdzie się podzieli. – Rozejrzałem się. – Zostawili wiadomość i odeszli? – Zadrzałem. – Może ktoś ich gonił.

– A może zrozumieli, że to na nic? – powiedział Will.

– Jak to na nic? – Wbiłem w niego wzrok.

– Widziałeś, żeby coś tu przelatywało? Poza ptakami. – Will

wskazał niebo. – Nad wyspą chyba nie biegną żadne korytarze powietrzne.

Spojrzałem na posępny napis z kamieni. Will miał rację.

Kto miałby go zobaczyć?

– Muszą być zdesperowani.

Will wzruszył ramionami.

– Jak sądzisz, ile zespołów wciąż poluje? – Kopnąłem kamień, tym razem rozwalając górną część litery P.

Podniósł palec.

– Ci, którzy prawie nas znaleźli na wrzosowisku, to jeden. Zespół Reece’a to drugi.

– Myślisz, że zespół Ana jest nadal w grze? – Rozejrzałem się jeszcze raz, jak gdyby ktoś mógł nagle wyskoczyć zza kamienia.

– Niewykluczone. A więc trzy. I ta dziewczyna z maczetą. To cztery. Zespół Somii i Pashy prawdopodobnie nadal szuka właśnie ich. Gdy Somia wspomniała o Liamie, pewnie chodziło jej o Liama Jonesa – zespół siódmy. Reece mówił Carmen, że widział grupę z kimś na smyczy, pamiętasz? Więc tamtych mamy raczej z głowy. Są w grze, ale na nikogo innego nie polują.

– Obstawiam, że przynajmniej jeden zespół odpadł przy pierwszym punkcie – powiedziałem.

– Prawdopodobnie. – Will kiwnął głową.

– Więc na czym stoimy? – Przygryzłem paznokieć. – Wiemy, że co najmniej cztery zespoły polują na „dawców części”. – Skrzywiłem się, słysząc te słowa ze swoich ust. – Jeden szuka Somii, ale pewnie wezmą każdego, kto się napatoczy. Jeden odpadł – ci są pewnie na przystani – a jeden, ten z więźniem, nas wyprzedza. To razem siedem. Więc w tej okolicy jest tylko jeden zespół – ci, którzy wzywali pomocy. Jak sądzisz, którzy to?

Will zmarszczył brwi.

– Chcesz, żebym zgadł, jak się nazywa ich kapitan?

– No, chyba nie... – Ruszyłem przed siebie, zbierając siły do biegu.

Will mnie dogonił i dorównywał mi kroku.

Przyśpieszając, rzuciłem jeszcze okiem na plażę. Słowo „HELP” zmieniło się w HELL. „Pieńło”.



Will biegł teraz z pięściami przyciśniętymi do boków.

– Lizzie nadal myśli, że w ostatnim punkcie udziela nam pomocy – powiedział.

– Wiem. – Mnie też przydałby się lekarz. Miałem wrażenie, że nie biegniemy, tylko wlecemy się w ślimaczym tempie, bo coraz bardziej moje nogi zapadały się w piasku. – Może i udziela.

Will przekrzywił głowę, żeby na mnie spojrzeć.

– Serio?

– Chyba na końcu musi ktoś czekać..., co?

– Ktoś, kto chce nam pomóc?

– Z Fundacji Golda – wydyszałem. – Rozprawia się... z sabotażystami.

Will zamrugał.

– Ty naprawdę wciąż myślisz... że to któryś z zespołów podmienił fanty w skrytkach? Chyba nie jesteś aż tak naiwny...

Parł niestrudzenie naprzód.

– A czemu nie? Dla miliona funtów?

– To żaden majątek! – Will zatrzymał się i oparł ręce na kolanach. – Nie w tych czasach. Nie wyżyłbyś z odsetek.

– Pozostali mogą to widzieć inaczej – stwierdziłem i zmierzyłem



go wzrokiem. – A co? Myślisz, że Fundacja Golda celowo wpakowała nas w to bagno?

Kiwnął głową.

– A po co zbudowali groblę, która podnosi się co trzy dni, zamiast zrobić stałe przejście?

– Bo cenią sobie prywatność?

– Znacznie taniej byłoby postawić bramę. Nie. Grobla jest po to, żebyśmy zostali na wyspie, dopóki nie będą gotowi nas wypuścić. Rozumiem, że komórki nie mają tu zasięgu, ale Iridium Grady’ego? Na pewno jakoś blokują sygnał.

– Ale... po co?

– Tego jeszcze nie wiem. – Poczułem jego irytację. Drażniło go, że nie umie rozwiązać zagadki. – To się okaże na końcu.

Wbiłem w niego wzrok.

– A więc to dlatego chcesz zrobić całą trasę! Trzymasz stronę Carmen, bo jesteś ciekawy, co się kryje za tą całą grą. Jesteś tak samo beznadziejny jak Grady. Ale wiesz co? Czasami nie wszystkiego można się dowiedzieć.

– A ty nie jesteś ciekawy?

– Nie aż tak bardzo. – Zamknąłem oczy. – Chcę tylko bezpiecznie sprowadzić nas do domu. Nic więcej.

Obrzucił mnie chłodnym spojrzeniem.

– Na to nie ma żadnej gwarancji. Rusz mózgowicą. Jeżeli faktycznie fundacja urządziła tę „ścieżkę zdrowia”, to sądzisz, że będą chcieli, żebyśmy wrócili do domów i zaczęli paplać wszystkim wokół, co tu zaszło?

Nabrałem powietrza.

– Do czego zmierzasz?

Will spojrzał na swój czekan.

– Myślę, że ktoś celowo zwabił nas na wyspę i dał właśnie takie zadania. Może to była Fundacja Golda, a może ktoś się pod nią podszył...

– Teraz to naprawdę brzmi jak Grady.

– Nie wiem, co nimi powoduje, ale wiem, że kiedy już znajdziemy ludzi, którzy się za tym kryją, to nie rzucą się nam z pomocą. Ale może zechcą pójść na jakiś układ.

– Puszczą nas do domu, jeżeli obiecamy nic nie mówić o turnieju?

– Coś w ten deseń. – Oczy Willa błysnęły.

– Więc ukrywanie się nic nie pomoże – westchnąłem ponuro.

– Gdybym chciał, żeby nikt nie rozpowiadał, co się stało na wyspie, to przed opuszczeniem wyspy kazałbym złapać wszystkich zawodników, żeby ich zachęcić do milczenia. Dlatego w przystani raczej nie będzie bezpiecznie. Wolałbym nie być w zespole, który tam czeka.

Wydałem z siebie jęk i odwróciłem się, żeby wznowić bieg, ale Will ani drgnął.

– Nie jesteś za nas odpowiedzialny, Ben – odezwał się w końcu.

– Wiem o tym. – Wytrzymałem jego zimne spojrzenie.

– Tak mówisz, ale w głębi duszy uważasz, że jesteś, mój „Święty Benie”.

– Jestem najstarszy i zabrałem was tutaj. – Zacisnąłem pięści.

– To Lizzie nas tu sprowadziła – odparł. – To jej wina.

– Nie... nie zgadzam się.

Pokiwał głową.

– Matka byłaby z ciebie dumna. Urobiła cię. Wytresowała jak psa.

Zesztywniałem.

– Zrobiła co trzeba, żeby mieć pewność, że będziesz mnie niańczył – ciągnął swój wywód. – Zwłaszcza po odejściu ojca. I teraz czujesz się odpowiedzialny za absolutnie wszystko.

– Nie jestem żadnym psem! – krzyknąłem.

– Wiem o Cardiffie – prychnął Will. – Matka powiedziała mi, że się nie dostałeś, ale znalazłem list z uczelni. Nie było trudno.

Odczekałem, aż fala gniewu opadnie.

– W śmieciach?

Kiwnął głową.

– Nie prosiłem o to.

– No, może. Ale mama nie dała mi wyboru.

– Nie możesz całe życie być moim cieniem – stwierdził i spojrzał na morze. – Pogadam z nią.

– A jednak ma rację. Powinienem się tobą opiekować. Na uniwerku będzie ci trudno.

– Trudniej niż tutaj? – Wskazał plażę. – Poradzę sobie. Spójrz na mnie. JESTEŚ – MI – NIEPOTRZEBNY. – Nocny wiatr przesunął mu włosy po twarzy. Will odgarnął je niecierpliwie. – Jeśli musisz, to wyrzeknij się własnego życia, proszę bardzo, ale wiedz, że nie będę się czuł winny z tego powodu. – Odwrócił się i utkwiał wzrok w dali. – Po prostu nie wiem, czego ode mnie oczekujesz.

– Jesteś moim bratem. Niczego od ciebie...

– No i dobrze. – W jego głosie nie było cienia emocji. – Niczego się nie spodziewaj. Nie jestem ci nic winien.

– Wiem. Nigdy bym...

– „Biedny Ben! Musi się opiekować Willem”. Cały ten nonsens powinien się skończyć. – Znów się do mnie odwrócił i uniósł górną wargę. – Nie wiem jak ty, ale ja mam tego dość. Nie jedź za mną do Oxfordu. Nie chcę cię tam. Będziesz mi tylko przeszkadzał.

– Przeszkadzał? – powtórzyłem jak echo, ale Will już ruszył i oddalał się plażą. – Ty niewdzięczny gnojku! – zawołałem. – Całe moje życie kręci się wokół cie... – urwałem w pół słowa.

A więc jednak żywiłem w sobie urazę. Staralem się jej nie zauważać, ale – o, tak – tkwiła we mnie jak drzazga. I potężniała. Jak długo jeszcze mogłem tak żyć, zanim go znienawidzę i zacznę się domagać spłaty długu? Jeszcze przed tygodniem Will nie protestował. Nie przeszkadzało mu, że mam mieć na niego oko w Oxfordzie. Ale teraz mnie tam nie chciał. Dlaczego?

A w dodatku nazwał mnie „Świątym Benem”... Więc może on też miał o co żywić urazę do mnie?

Zacząłem biec, bo chciałem go dogonić. Kiedy się zrównaliśmy, przez jakiś czas biegliśmy bez słowa, słuchając rytmicznych uderzeń butów o piasek.

Zatrzymaliśmy się na samym końcu cypla na północnozachodnim skraju wyspy. Wydawało się, że jesteśmy sami.

– Widzisz skrytkę? – zapytałem.

Will zmarszczył brwi.

– Współrzędne mamy dobre, nie? A może nikogo nie widzieliśmy, bo jesteśmy w złym miejscu?

– Nie widzieliśmy nikogo, bo jest piąta rano – odparł Will cicho. Złapałem go za łokieć.

– Will, co to jest? – Wyciągnąłem rękę w stronę morza.

Coś kołysało się na falach.

– Foka? – rzucił niepewnie, a potem przybliżył do oczu lornetkę.

Miałem wrażenie, że wpatruje się w morze godzinami, ale w końcu przekazał mi szkła. Zawahałem się, zanim podniosłem je do oczu. Przez sekundę myślałem, że naprawdę widzę fokę, i już

zacząłem opuszczać lornetkę, kiedy morze wzduło się falą i na powierzchni zamajaczyło coś zielonego. Pośród fal unosiła się i opadała ludzka ręka. Już miałem wskoczyć do morza, ale Will zatrzymał mnie mocnym chwytem. I wtedy zobaczyłem to co on. Unoszące się na powierzchni ciało było skierowane twarzą do dołu, a jego ruch wynikał tylko z ruchu fal.

– Chciał uciec wpław – powiedziałem i cały się trząsnę, gdy przekazywałem lornetkę Willowi. – Nie żyje...

Will kiwnął głową.

– Nie powinien był wchodzić do wody.

Po chwili odwrócił mnie przodem w stronę lądu.

– Nie patrz tam. Skup się. Trzeba znaleźć piąty punkt kontrolny.

Za jego radą spróbowałem skupić się na czymś innym. Gdzie jest skrytka?

Piasek wokół moich stóp usłany był muszlami i skreconymi wydaliniami dżdżownic. Kiedy przesunąłem but, krab uciekł w popłochu między kamienie. Lustrowaliśmy plażę we wszystkich kierunkach. Nic.

– Może jest pod wodą? – rzuciłem sucho. – W basenie pływowym.

Will pokiwał głową. Przystąpiliśmy do poszukiwań pośród zalewanych przez wodę skał i wodorostów.

Skrzynkę ukryto w ciemnym basenie przybrzeżnym. Żeby ją wydobyć, trzeba było zanurzyć ramię aż po bark.

Łańcuch spowijał ją jak macka ośmiornicy, a wokół unosiły się meduzy.

– Obstawiasz, że parzą? – spytałem.

– Zakładam, że tak. – Will wyciągnął skrytkę z wody przy użyciu czekanu.

Obejrzelismy ją.

– Myślisz, że to się uda? – spytałem, czując przyływ niepokoju.

– Oby.

Will wyjął z kieszeni kawałek gliny z odcisniętym kciukiem Lizzie.

– Wyszła? – Wyciągnąłem rękę po glinę.

Łuszczyła się na krawędziach, ale była twarda. Will odwinął porcję gumisiów, która zmieniła się już w miękką kulkę żelatyny. Przytrzymałem glinianą formę, a on odcisnął w niej żelowy „kciuk”.

– Miejmy nadzieję, że ten skaner ma niską rozdzielczość – powiedział i przyłożył fałszywy palec do ekranu.

Nie było reakcji.

– Spróbuj jeszcze raz – wyszeptałem.

Przetoczył kciuk po skanerze. Po chwili, która zdawała się być wiecznością, ekran się rozjaśnił.

## WITAJ, ELIZABETH BELLAMY.

– Yes! – Zamarkowałem prawy podbródkowy w powietrzu, a Will odwrócił się do klawiatury.

– „Ogień” – przypomniałem mu.

Wpisał rozwiązanie zagadki i zaraz pojawiła się łamigłówka z zamkniętymi drzwiami.

– Mam nadzieję, że to jest to. – Nacisnąłem zapalniczkę i przystawiłem płomyk do czujnika. – Nic się nie dzieje.

– Musi się rozgrzać. – Will pochuchał na swoje palce.

Po kilku sekundach usłyszeliśmy kliknięcie i skrytka się

otworzyła.

Tak jak poprzednio zagadka i współrzędne były wygrawerowane na spodzie pokrywy.



IRON TEEN

### **Punkt 6**

**22.55: 87.91**

*Sama jestem 24, z koleżanką daję 20.*

*A we trzy – świntuszymy.*

– Gdzie jest ołówek? Zaraz to...

– Już wiem – przerwał mi Will.

– Co wiesz?

– To proste. – Spojrzał na mnie, przekrzywiając lekko głowę. – Jeszcze nie skumałeś?

Zacisnąłem zęby.

– Nie.

Will westchnął.

– Dwudziesta czwarta litera angielskiego alfabetu?

– X.

– X z koleżanką?

– Eee...

– XX, głąbie. Czyli rzymskie 20.

– A XXX to świńskie filmy. Okej, rozumiem. A współrzędne?

Wyszarpał z plecaka mapę. Była już bardzo pognieciona i brudna.

– Tutaj – powiedział, wskazując, i jęknął z ulgą. Następny punkt kontrolny był niedaleko. – Kiedy wrócimy po naszych, skrytka będzie jakieś pół mili dalej. Musieli umieścić ją gdzieś na brzegu jeziora wypełniającego nieckę między trzema najwyższymi punktami na wyspie.

Przyszedł czas zajrzeć do pudełka geocache.

– Jest znacznie większe niż poprzednio – wyszeptalem. Will sięgnął po pudełko, ale złapałem go za rękę. – Chcesz je otwierać?

– A ty nie chcesz wiedzieć, co jest w środku?

Strząsnął moją dłoń i prawie nabożnym gestem dotknął pudełka opuszkami palców.

– Nie.

A jednak stałem bez ruchu. Nasze spojrzenia się spotkały.

– A może byśmy tak...

– Co?

– Po prostu je wyrzucili? – dokończyłem. – Ci, którzy przyjdą po nas, nie będą wiedzieli, co włożyć do środka. Nie będą mieli powodu, żeby dalej polować.

Will zastygł z błyskiem w oczach, rozważając mój pomysł.

Wyjąłem mu skrzynkę z rąk, wyprostowałem się i zamierzyłem się, żeby nią rzucić.



## Rozdział siedemnasty

– Nie rób tego! – usłyszałem znajomy gardłowy ryk zza swoich pleców.

Upuściłem skrytkę, jakby nagle stanęła w płomieniach. Przestraszone krzykiem ptaki wyfrunęły z gniazd na klifach. Odwróciliśmy się. Po morskim żwirze pędziło na nas pięciu gości. Wschodzące za nimi słońce barwiło niebo na czerwono.

Nie mieliśmy dokąd uciec. Byliśmy w pułapce.

Will podniósł czekan. Tamci byli jeszcze dość daleko, ale nie można było ich ominąć.

– Trzymaj! – warknął Will.

Odruchowo złapałem skrytkę z punktu kontrolnego, którą rzucił w moją stronę. Kiedy uderzył czekanem w łańcuch, żeby go zerwać, z kamieni sypnęły iskry. Uwolniony łańcuch ześlizgnął się z powrotem do wody. Potem Will wyrwał mi skrytkę.

– Podnieś geocache! – wydarł się, pędząc w stronę morza.

Zrobiłem, co kazał, i ruszyłem za nim, starając się nie myśleć o tym, co łomocze głucho w pudełku.

– Hej, co wy robicie?! – Spojrzałem przez ramię.

Tamci przyspieszyli, młócąc żwir butami w pościgu.

Cypel kończył się rozrzuconymi skałami. Will wskoczył na najdalszą z nich. Byliśmy na samym krańcu wyspy. Brat złapał równowagę i uniósł skrytkę ze współrzędnymi nad wodą. Stanąłem obok niego i zrobiłem tak samo ze skrzynką geocache.

Pościg zatrzymał się z poślizgiem.

– Oszuści!

Will potrząsnął skrytką.

– Zależy wam na tym?

Gość, który się odezwał, był rudy jak ja, ale miał na twarzy tyle piegów, że wyglądał jak poparzony od słońca. Plamy białej skóry na jego czole i podbródku odcinały się od reszty niczym wyspy. Skrzywił się.

– I co, stary, wrzucisz ją do wody?

W odpowiedzi Will jeszcze raz potrząsnął skrytką.

– Powstrzymaj go, Curtis! – odezwał się inny koleś.

Był najniższy i najchudszy z całej grupy. Miał okulary w grubej oprawce i blade oczy, w których dostrzegłem znajomy zimny błysk. Popatrzyłem na Willa.

– No dobra. Czego chcecie? – rzucił Curtis.

– Dajcie nam przejść. I nie tkniecie nas palcem! – wybuchłem w odpowiedzi.

Spojrzeli na mnie spode łbów.

– Jak się nazywasz? – spytał Curtis.

– Co za różnica? – Obliziałem wargi.

– Co jest w pudełku?

– Nie zaglądaliśmy.

– Odłóż je, to pozwolimy wam przejść. – Curtis popatrzył na kumpli. – Tak?

Pokiwali głowami, ale ich twarze pozostały nieprzeniknione.

– Akurat. – Mój głos zabrzmiał wyżej, niżbym chciał. – Nie wiem, co jest w środku, ale wiem, co było w poprzedniej skrytce, a – jak widzę – żaden z was nie oddał własnego ucha.

Potrząsnąłem pudełkiem. Otworzyło się nagle. Zaskoczony, zaskomlałem jak pies i odskoczyłem, bo jego zawartość upadła mi na but z głuchym pacnięciem i potoczyła się w stronę morza.

Curtis rzucił się naprzód, wyciągając rękę, ale natychmiast zastygł, bo Will wykonał ruch, jakby miał wyrzucić skrytkę.

Odcięta dłoń zakołysała się na krawędzi głazu. Pośmiertny skurcz zgiął jej delikatne palce jak szpony. Jednego z nich brakowało.

Puściłem pawia. Wymiociny rozprysły się do morza.

– To jest... ręka Carmen – oznajmiłem, patrząc na Willa. – Spójrz na tatuaż. Zabieramy ją? Może... da się przyszyć?

Jeden z gości stojący za Curtisem przełknął głośno ślinę.

– Telewizji nie oglądasz, koleś? Musiałaby być w lodzie.

– Za późno – potwierdził Will.

Przez chwilę wszyscy gapiliśmy się na dłoń. Potem Curtis podniósł toporek, więc ja również uniosłem swój.

– Nie zbliżać się!

– I co teraz? – spytał Curtis.

– Wszyscy przejdziecie tam. – Wskazałem na ścianę skalną, na której roiło się od gniazdujących ptaków. – Albo wykopię rękę Car... tę rękę do morza.

Curtis skinął głową, więc jego kumple się cofnęli.

– Curt, stary, to jest jakaś jazda po bandzie – mruknął głośno chłopak z posiniaczoną facjatą. – Ucho... czy tam palec jeszcze ujdzie, nie? Ale to jest cała dłoń. A przed nami jeszcze dwa punkty kontrolne. Co będzie w ostatnim? Głowa?

– Stul się, Kyle. – Curtis spojrzał na mnie. – I co dalej?

– Zabieramy skrytkę ze wskazówką do tamtej skały. – Wskazałem głaz w kształcie zagiętego dzioba wystający z klifu

w głębi plaży. – Wy zostajecie tutaj. Kiedy tam dojdziemy, odłożymy skrytkę. Gdy odejdziemy, będziecie mogli ją sobie wziąć.

– Skąd mam wiedzieć, że jej nie zabierzesz?

– Znikąd. – Will uniósł brwi. – Ale przecież nie macie powodu, żeby nam nie ufać.

– Twój kumpel chciał ją wywalić do morza! – wrzasnął Curtis.

Will spojrzał na mnie.

– Ale teraz chcemy zostawić skrytkę i pudełko wam. Jasne?

Ostrożnie położyłem puste pudełko obok dłoni Carmen, starając się na nią nie patrzeć.

– Dobra. – Curtis się zamachnął. – No to idźcie.

– Jeden gwałtowny ruch z waszej strony i wrzucam ją do morza, daleko od brzegu – ostrzegł Will.

– Nie ruszamy się z miejsca.

Kiedy zesliśmy ze skał i przechodziliśmy obok koleśki Curtisa, serce waliło mi jak szalone. Mierzyli nas wzrokiem myśliwych podchodzących zwierzynę. Kiedy ich mineliśmy, Curtis skinął głową. Dwóch chłopaków ruszyło po dłoń Carmen i pudełko, w którym była wcześniej zamknięta.

– Nie chcę jej zostawiać. Nie im – jęknąłem.

– Rozumiem cię. – Will w każdej chwili był gotowy cisnąć skrytkę w morze i nie spuszczał oczu z Curtisa.

W końcu dotarliśmy do głazu, który wskazałem. Powoli, jakby trzymał bombę, Will położył skrytkę na ziemi.

– Biegnij! – wrzasnął.

Zbiry Curtisa rzuciły się w pogoń. Zza pleców ponad plażą ścigały nas ich krzyki, chrzęst żwiru i łomot butów.

Od prawego barku Willa odbił się kamień. Brat jęknął, ale się nie zatrzymał. Odwrócił się do mnie i wyszczerzył z błyskiem

w oczach.

Pomimo strachu odpowiedziałem uśmiechem. Byliśmy szybsi od pościgu. Chłopaki od Curtisa byli więksi i wolniejsi, a poza tym nie zrzucili plecaków. Zostawialiśmy ich w tyle!

Zatrzymałem się dopiero wtedy, gdy zniknęli nam z oczu.

– Słyszałeś, co mówił ten koleś, Will? Że w ostatniej skrytce może być głowa?

Will przytaknął.

– I co ty na to?

Mój brat nie odpowiedział.



Dotarliśmy do jaskini po piątej rano.

– Udało się? – zapytał Grady, gdy tylko wpełzliśmy do środka.

– Owszem. – Will poczęstował go uśmiechkiem i odłożył czekan.

– Teraz to się cieszyacie, że wziąłem gumisie, co?

– Wcześniej też się cieszyłem. – Spojrzałem na Carmen. – Jak się ma? – Nie było opcji, żebym powiedział jej o dłoni.

– Gorączka spada. – Lizzie przeciągnęła się, kiedy usiadłem obok niej z westchnieniem. – Wydaje się spokojniejsza. Przed chwilą dostała leki.

– Hej! – Carmen poruszyła się sennie. – Ruszamy dalej?

– Musimy odpocząć, Car – powiedział Will. – Daj nam dwie godziny. Prześpimy się, a potem idziemy. Następny punkt jest niedaleko stąd. Potem zostanie jeszcze tylko jeden i finiszujemy.

Kiwnąłem głową.

– I tak wyruszymy wcześniej.

Grady wyszczerzył się w uśmiechu.

– A więc wciąż mamy szanse. Możemy wygrać.

– Tylko wtedy, gdy wykradniemy komuś cały komplet fantów – przypomniał mu Will, nie patrząc na mnie.

– Zrobimy to tylko pod warunkiem, że nikomu nie stanie się krzywda – dodała Lizzie.



Wyczołgaliśmy się z jaskini. Było już jasno, ale temperatura rosła bardzo powoli. Carmen mogła iść samodzielnie, ale Will jej nie odstępował. Trzymał ją pod łokieć, drugą rękę oparłszy na broni.

Kostka Lizzie wydobrzała na tyle, że mogła na niej stanąć i nie wydawało się, żeby w marszu brakowało jej złamanej kuli. Zdjęła nóż z czubka włóczni i zatknęła go sobie za pasek. Co chwila sprawdzała, czy jest na miejscu.

Grady zostawił kolejną porcję swojego sprzętu w jaskini. Z lżejszym plecakiem poruszał się szybciej, ale minę miał ponurą.

– A ja jednak myślę, że to mogli być kosmici – powiedział do Lizzie, najwyraźniej nawiązując do rozmowy, której Will i ja nie słyszeliśmy. – Tylko takie wyjaśnienie ma sens. Testują nas. Sprawdzają, jak Ziemianie reagują w stresie, postawieni pod ścianą. Rozgryzają nas, patrzą, jak działamy, jak myślimy i jak łatwo sprawić, żebyśmy zaczęli walczyć między sobą.

Carmen wytrzeszczyła na niego oczy w przerażeniu.

– Chcą się dowiedzieć, jak nas wytepić – skonkludował Grady.

Lizzie pokręciła głową.

– Jeżeli fanty w skrzynkach geocache umieszczali kosmici, to dobrze wiedzą, jak nas zabić, Grady.

– Ale nie wiedzą, jak myślimy i współpracujemy ani jak reagujemy na zagrożenie i stres.

Will przekrzywił głowę.

– Ty naprawdę w to wierzysz, Grady?

Grady się zmarszczył.

– No...

– Rozumiem twoje teorie na temat zabójstwa Kennedy’ego, Rosjan infiltrujących politykę Stanów, spisku na życie księżny Diany, a nawet o tym, że lądowanie na Księżycu było oszustwem. Ale kosmici to już bujda na resorach.

Grady stanął jak wryty.

– Nie wiemy o bardzo wielu rzeczach! Naprawdę sądzicie, że wiara w istoty inteligentniejsze i potężniejsze od nas, które żyją między nami w ukryciu, nie ma podstaw? Przecież na innych planetach muszą istnieć gatunki, które ewoluowały przez miliony lat, z technologią wyprzedzającą naszą o lata świetlne. Oni i ich urządzenia są tak różne od naszych, że nigdy nie będziemy w stanie ich rozpoznać... Mnie równie dziwne wydaje się, że nie wierzycie w taką możliwość.

Dotarliśmy do jeziora. Poranna mgła snuła się jeszcze nad wodą. Wyciągnąłem lornetkę. Ukryliśmy się za krzewem jałowca, skąd mogłem obserwować teren.

– Widać co...? – Lizzie nie dokończyła.

Z lewej strony dobiegł nas krzyk. Odwróciłem się. Przez wrzosowisko po drugiej stronie rzeki biegł jakiś chłopak. Miał opuszczoną głowę i wrzeszczał. Uciekał! Z obu stron, jak polujące afrykańskie psy, ścigali go ludzie z zespołu Ana. Byli pochłonięci pogonią za umykającą ofiarą. Dwóm z nich udało się go obejść i wyprzedzić inną drogą i teraz czekali zaczajeni, aż nagonka zapędzi go do nich.

Chłopak podniósł głowę. Zobaczył, że jest otoczony, i rzucił się w stronę rzeki.

Wysoka dziewczyna dopadła go i popchnęła od tyłu. Przewrócił

się, lądując do połowy w wodzie, a do połowy na brzegu. Znów zaczął krzyczeć. Młócił rękami, żeby uciec do rzeki, ale wyciągnęli go z wody.

Will objął Carmen i przycisnął do siebie, zakrywając jej uszy i oczy.

Lizzie chwyciła mnie za rękę. Grady rozdziawił usta. Nie widziałem wcześniej tego chłopaka. Nie było też widać innych ludzi z jego zespołu. Uciekli, zostawiając go na niełaskę myśliwych, czy zostali rozdzieleni?

Oprawcy unieruchomili chłopaka, a An wyjął nóż z ząbkowanym ostrzem.

– Puśćcie mnie, proszę! – błagał chłopak. – Nie chcę umierać.

– P-pomożemy mu? – Głos Lizzie zadrżał.

Nagle chłopak zawył i zaczął się wić jak oparzony. Lizzie wykonała ruch w stronę rzeki, żeby go ratować, ale było za późno. Błysnął nóż.

– Co się dzieje? – spytała szeptem Carmen. Widziałem, jak się trzęsie w uścisku Willa. – Co mu zrobili?

– Ucho – odszepnął Grady. – Odcieśli mu ucho.

– A więc są za nami – zauważył Will z satysfakcją.

Lizzie aż zatkało.

– Will, jak możesz myśleć o tym w tej chwili?!

Patrzyliśmy w milczeniu, jak An szarpie szlochającego chłopaka, żeby wstał. Nieszczęśnik trzymał się za głowę, a spomiędzy jego palców płynęła krew.

Sprawdzili coś na mapie, a potem An spojrzał w naszym kierunku. Wiedział, że tu jesteśmy. Wstałem. Przez chwilę mierzyliśmy się wzrokiem ponad wrzosowiskiem. Powiedział coś, ale go nie słyszałem. Reszta jego ludzi obejrzała się w moją stronę.



Wysoka dziewczyna pomachała do mnie. Potem An skinął głową i ruszyli w stronę lasu, wlekąc ze sobą zawodzącego chłopaka.

– Niech to się wreszcie skończy... – wyszłochała Carmen.

– Jeszcze tylko ten punkt, potem ostatni i już. – Grady sztywno poklepał ją po ramieniu.

– Znajdźmy ten. – Will popatrzył na jezioro.

Wyciągnąłem rękę. Na drugim brzegu jeziora znajdował się mały drewniany pomost. Z naszej kryjówki widać było skrytkę. Leżała pod pomostem przykuta łańcuchem do pala.

– Miejmy to za sobą – powiedziała Lizzie.



Powoli i ostrożnie obeszliliśmy brzeg jeziora. Teren był płaski i nie mieliśmy gdzie się ukryć, ale to znaczyło, że inne zespoły też nie mogły się na nas zacząć.

– Chyba że są pod wodą – powiedział ni stąd, ni zowąd Grady. Zamarliśmy.

Po chwili Will się roześmiał.

– Wątpię, żeby ktokolwiek wlekl na wyspę sprzęt do nurkowania.

Ja też się zaśmiałem, ale ciut nerwowo, bo zacząłem wyobrażać sobie płetwonurków na dnie jeziora, gotowych wyskoczyć spod powierzchni w rozbryzgach wody, kiedy tylko znajdziemy się w ich zasięgu.

Dotarliśmy wreszcie do pomostu. Nasze buty zastukały o deski, wydając pusty łomot. Will nachylił się do mnie.

– Myślisz, że Cutris jest daleko?

Oblizalem usta.

– Muszą zdobyć dłoń... albo coś równie cennego. – Wzdrygnąłem się. – Są bardzo daleko.

Kiwnął głową, ale nie oderwał wzroku od wzgórza, za którym

leżał ukryty cypel.

Will został na straży, Grady zajął się Carmen, a ja i Lizzie, zdjawszy buty, weszliśmy do jeziora. Ciągnąc za łańcuch, wydobyłem skrytkę z wody. Była mniejsza od poprzedniej. Lizzie przycisnęła kciuk do skanera i ekran się rozjaśnił. Kiedy stuknąłem literę X, pojawiła się łamigłówka z zamkniętymi drzwiami.

– Co robimy? – Lizzie spojrzała na ekran. – Podpowieź to X.

– Przesuń palcem po ekranie na skos, z prawego dołu do lewej góry, a potem z prawej góry w lewy dół – podpowiedział Grady.

Lizzie narysowała na ekranie X. Skrytka odblokowała się z kliknięciem zamka i wieczko się uchyliło.

Przekazała mi skrytkę.

– Ty to zrób.

Przełknąłem ślinę i wziąłem skrzynkę, podnosząc z wody jej łańcuch, który zadyndał mi między nogami jak ogon.

– Pośpiesz się, chico – syknęła Carmen z oczami utkwionymi w horyzont.

Otworzyłem skrytkę. Po wewnętrznej stronie pokrywy wytrawiono kolejne współrzędne – tym razem już ostatnie – i zagadkę.

Przeczytałem ją na głos:

– „Ranimy, choć się nie poruszamy. Dotykamy, choć nie dotykamy. Niesiemy prawdę i fałsz. Po wielkości nie oceniaj nas”.

– Zapisz to, Grady. – Lizzie podała mu notes.

– Gdzie jest ostatni punkt kontrolny? – Carmen przeniosła spojrzenie na nas.

Will podniósł mapę tak, żebym mógł na nią spojrzeć.

– No, oczywiście! – prychnąłem. – Musieli go umieścić właśnie tam.

– Gdzie? – Will zmarszczył brwi.

– W najwyższym punkcie wyspy. – Wskazałem południe. – Prawie niedostępnym, niedaleko od miejsca, w którym zaczynaliśmy. Bardzo... poetycko.

– A geocache? – spytał Grady. – Co jest w środku?

– Nie chcę wiedzieć. – Lizzie pokręciła głową.

– Ja też nie – oznajmiłem i wbiłem wzrok w wieczko pudełka, wyobrażając sobie koziołkującą po skale odciętą dłoń Carmen z brakującym palcem. – Jest małe, więc to pewnie będzie coś ohydneho.

Will nie odwrócił się, żeby spojrzeć.

– Oko.

– Co?

– Skoro pudełko jest małe, to jakie inne opcje zostały?

Otworzyłem usta, ale po chwili je zamknąłem. Miał rację. To nie mogło być nic innego. Ze skurczonym żołądkiem włożyłem pudełko do skrytki.

– Wyrzuć je – powiedział nagle Will. – Tak jak chciałeś zrobić z poprzednim. Nie zniszczymy współrzędnych, bo są wytrawione na pokrywie, ale bez zawartości geocache następnymi będą w kropce. Mogą pójść za nami, ale też nie będą mieli kompletu fantów.

Grady wyszczerzył się w uśmiechu.

– Jeżeli nikt nie będzie miał wszystkich, to może dadzą nagrodę zespołowi z najlepszym czasem.

– Kilka zespołów nas wyprzedza – przypomniał mu Will, unosząc brew.

– Weź to wywal! – wybuchła Carmen.

Wziąłem zamach i – najdalej jak mogłem – rzuciłem pudełko do jeziora. Poleciało we mgłę, plusnęło i zatoneło. Po chwili wywołane

przez nie fale uderzyły w moje uda.

Lizzie zamknęła skrytkę i wrzuciła ją pod pomost, a potem wyszliśmy z wody. Kiedy wkładaliśmy buty, Will i Grady obserwowali okolicę. Carmen siedziała oparta o pal pomostu, osłaniając kikut ręki. Pod oczami miała cienie.

– Wciąż ich nie widać? – spytałem Willa, wstając.

Pokręcił głową.

– Kiedy się zorientują, że nie ma pudełka, będą nam siedzieć na ogonie.

Pokiwałem głową.

Lizzie odwróciła się, złapała gwałtownie powietrze i wyciągnęła rękę.

– To ci przed nami!

Podniosłem do oczu lornetkę. Na odległym wzgórzu właśnie pojawili się ludzie.

– Zaraz... – Zmarszczyła brwi. – Nie idą na szczyt, tylko na zachód. Omijają górę trawersem.

– Znaczy, że mają złą lokalizację! – Grady wydał z siebie okrzyk radości.

– Oni? – spytała Carmen. – Czy my? – Wbiła we mnie wzrok. – Dobrze sprawdziłeś współrzędne? Czy po prostu uznałeś, że jest punkt na górze, bo według ciebie ta lokalizacja ma sens?

– No... – Zamknąłem usta.

Czy na pewno dobrze odczytałem mapę?

– Nie kazałaś mi zapisać współrzędnych, Lizzie – powiedział Grady z niepokojem w głosie.

– Pójdę na dół i sprawdzę jeszcze raz – stwierdziłem i pochyliłem się, żeby rozwiązać sznurowadła.

Will podniósł rękę.

– Za późno! Curtis już tu jest!

Jego zespół pędził w naszą stronę stokiem wzgórza. Bardzo dobrze nas widzieli. W poranną ciszę wdarły się ich krzyki.

– Biegiem! – Lizzie zerwała się na równe nogi.

– Musimy sprawdzić współrzędne! – zaprotestował Grady.

– Nie! – Lizzie odwróciła go za plecak i pchnęła w stronę ścieżki. – Jeśli nas tu dopadną, to nas zmuszą, żebyśmy powiedzieli, co było w pudełku. A potem jednemu z nas wyłupią oko. Musimy zostawić ich w tyle!

– Ale dokąd pójdziemy? – jęknął Grady, potykając się przy pierwszych krokach. – Na południe czy południowy zachód?

– Zaufaj Benowi. – Teraz Lizzie popychała Carmen. – Na południe.

## Rozdział osiemnasty

Znów biegliśmy. Lizzie i Carmen nadawały tempo, żebyśmy nie zostawili ich w tyle. Toporek zatknięty za pasek obijał mi się o udo, ale nie przełożyłem go, bo tam – w razie potrzeby – był pod ręką. Wytarłem pot z oczu i się obejrzałem. Curtis musiał znaleźć skrytkę w jeziorze i ją otworzyć, ale to nie spowolni go aż tak bardzo. Spiałem się, oczekując lada chwila wybuchu wrzasków wściekłości. A jednak udało nam się dotrzeć do zbocza góry i pogoń się nie pojawiła.

Wkrótce dość stromy stok zmienił się w pionową ścianę skalną.

– Lizzie, jesteś pewna, że... to tutaj? – wydyszał Grady, szukając wzrokiem szczytu góry.

– Ufam Benowi. – Lizzie zasłoniła oczy i przyjrzała się ścianie. – Pójdziemy najkrótszą drogą. Wyjmijcie sprzęt wspinaczkowy.

Zrzuciła z ramion swój plecak.

Spojrzałem na Carmen.

– Zostawiłem jej plecak, pamiętasz?

– I tak nie mogę się wspinać, chico. – Uniosła okaleczoną rękę i zaraz się skrzywiła.

– Zrób pętlę asekuracyjną. – Lizzie rzuciła mi taśmę z plecaka. – Wciągniesz ją za sobą?

– Ja to zrobię – powiedział Will, podnosząc taśmę.

Zacząłem przekopywać plecak, wyrzucając wszystko, co nie było potrzebne do wspinania: karimatę, namiot, kosmetyczkę, apteczkę,

zapasowe spodnie i koszulki. Wreszcie wyszarpnąłem z niego sprzęt, którego szukałem: trampki, kask, rękawiczki alpinistyczne, liny i uprząż.

Lizzie dorzuciła karabinki, ekspresy, własną uprząż, przyrządy asekuracyjne, zaciskowe, druty, hexy i kilka friendów z mechanizmem sprężynowym.

Otaczały nas sterty ubrań wywalonych z plecaków. Znalazłem czapkę Lizzie i włożyłem jej na głowę. Poprawiła daszek i uśmiechnęła się z odważną miną.

– Pójdę pierwsza. – Wsunęła stopy w buty wspinaczkowe.

– Nie. – Pokręciłem głową. – Nie wiadomo, co czeka na nas na górze. Ja poprowadzę. – Odetchnąłem z ulgą, uwalniając nogi z glanów. – Skorzystacie z friendów i kości, które założę, i pójdzie nam szybciej.

Zasnurowałem trampki, a Lizzie wciągnęła rękawiczki. Stała obok mnie i zlustrowała ścianę wzrokiem.

– Widzisz drogę? – spytała.

Wskazałem chwyt tuż nad moją głową, ale Lizzie wzięła moją rękę i przesunęła ją w bok.

– Nie tędy. Widzisz tę ryse? – Pęknięcie biegło do połowy wysokości ściany. – Można w niej klinować ręce.

Pokiwałem głową i zatknąłem rękawiczki za pasek.

– Będę szła zaraz za tobą – powiedziała Lizzie. – Jeżeli utkniesz, to cię poprowadzę.

– Brzmi dobrze.

Will podszedł i stanął obok mnie.

– Jeśli założysz frienda w tamtym miejscu, to wciągnę na nim Carmen.

Lizzie dotknęła mojej ręki.

– Pamiętasz, jak się ekscytowaliśmy tym wyjazdem? – Jej głos zabrzmiał smutno. – Myślałam, że wrócimy bogaci, może trochę spieczeni słońcem. – Popatrzyła na Carmen. – Nie przyszło mi do głowy...

– Skąd miałaś wiedzieć? – Wziąłem głęboki wdech i spojrzałem tam, skąd przyszliśmy.

– Idą tu – wyszeptał Grady.

Zostawiłem plecak na ziemi i ruszyłem na ścianę. Rysa w skale zaczynała się trochę powyżej głowy. Znalazłem oparcie dla stopy i trzymając kciuk do góry, wsunąłem prawą dłoń w pęknięcie. Podciągnąłem się. Kiedy już znalazłem się dostatecznie wysoko, mogłem wklinować również nogę. Zgiąłem kolano i wsunąłem w szczelinę prawy but. Wszedł tylko na kilka centymetrów. Przekręciłem zgiętą nogę tak, żeby znalazła się na linii z ciałem i wykorzystując podparcie jak szczebel drabiny, podepchnąłem się w górę, sięgając dłonią do następnego chwytu. Droga wzdłuż rysy była wąska i najtrudniejsze okazało się utrzymanie równowagi. Barki miałem spięte i bolała mnie szyja.

Wcisnąłem w rysę sprężynowego frienda i wpiąłem linę w ekspres. Zwisła pode mną.

– Dobra robota, Ben. Ruszam za tobą! – zawołała Lizzie.

Poczułem, jak lina obok mnie napina się i drży. Szybko zostawiłem pierwszy punkt asekuracyjny za sobą i ruszyłem dalej.

Im wyżej szedłem, tym trudniej było mi odgonić myśl, że popełniłem błąd. Czy na pewno dobrze odczytałem współrzędne? A może uparłem się akurat na miejsce, bo wydawało mi się oczywiste? Co, jeśli naprawdę szliśmy w złym kierunku?

– Dlaczego się zatrzymałeś?! – krzyknął Will. – Co się dzieje?

– Nic, nic.

Pokręciłem głową jak pies, który otrzepuje się z wody.



Szczelina robiła się coraz węższa. Wspiąłem się już prawie do jej końca. Zaklinowałem w skale kolejnego frienda, wpiąłem linę w ekspres, a potem rozejrzałem się za dalszymi chwytami.

Zarzykowałem spojrzenie w górę. Zostało mi jeszcze jakieś osiem metrów. Ledwie łapałem oddech i miałem spocone ręce.

Na szczęście ściana miała dużo punktów oparcia dla nóg i świetnie nadawała się do wspinaczki. Jedną ręką trzymałem linę, a na drugą wciągnąłem rękawiczkę. Potem spojrzałem w dół na Lizzie. Patrzyła na mnie z pobladłą twarzą.

– Tędy, tak? – Pokazałem ręką.

Odchyliła się nieco od skały i pokazała mi kciuk w górę.

Wszedłem w bok ze szczeliny. Posiniaczone ręce i stopy dawały mi się we znaki, ale starałem się nie myśleć o bólu. Lina obok mnie zatrzęsa się, kiedy Lizzie ją złapała. Słyszałem, jak Will pomaga Grady’emu wspiąć się do pierwszego chwytu.

U podnóża ściany zostali już tylko Carmen i mój brat. Wspinając się, zakładałem kostki z drutami w szczelinach, umieszczając kolejne punkty asekuracyjne. Najwyższy czas, żebym wpiął własną linę. Nie byłem pewien, jak wysoko już wszedłem, ale gdybym odpadł od ściany... Poprawiłem uprząż i upewniłem się, że kostka, do której się wpiąłem, pewnie siedzi w skale. Jeżeli teraz się poślizgnę, to lina zatrzyma mój upadek.

Osiem metrów.

Pięć.

Trzy.

Nareszcie usłyszałem, że Will zaczął wspinaczkę. Ale Carmen została u podnóża ściany całkiem sama.

Kusiło mnie, żeby się odwrócić, ale nie zrobiłem tego. Stąd pewnie dostrzegłbym Curtisa i jego ludzi. Ale co, jeśli faktycznie siedzieli nam na ogniu? Wiatr nie mógł się zdecydować: to wył mi

wściekle w uszach, to cichł.

– Najpierw dotrzyj na górę, Ben – mruknąłem do siebie. – Potem sprawdzisz, gdzie są.

Sięgnąłem do wystającej skały. Była biała od ptasich odchodów, ale świetnie pasowała do dłoni. Gdy tylko ułożyłem palce na krawędzi urwiska, z dołu dobiegł mnie krzyk i poczułem ostre szarpnięcie liny. Wypuściłem chwyt i prawie odpadłem od ściany, ale zdążyłem zaklinować dłoń w poziomej rysie. Ktoś wisiał na mojej linie asekuracyjnej. Moje lewe ramię eksplodowało bólem. Skupiając całą energię na chwycie, nie miałem nawet siły, żeby krzyknąć.

Jęknąłem.

– Grady! – wrzasnęła Lizzie. – Puść linę Bena!

– Mało nie spadłem – odpisnął.

– Masz własną uprząż! Zatrzymałaby cię! – Słyszałem, że nawet Will jest na niego wściekły. – Puść jego linę!

– Nie chciałem. To był odruch – odparł Grady, do którego chyba nie docierało, że jego ciężar za chwilę oderwie mnie od ściany.

„Możesz się puścić. – Ramię wrzeszczało z bólu. – Przecież masz uprząż”.

Ale Grady wisiał na mojej linie. Nasz łączny ciężar zawisłby na jednym punkcie asekuracyjnym. Czy jeden friend utrzyma nas obu? Byłem prawie pewien, że wyrwie się ze skały, więc zamknąłem oczy i na razie wisiałem na dłoni zaklinowanej w szczelinie.

– Puść linę Bena!!! – wydarła się Lizzie.

– Staram się!

Poczułem majknięcie liny, kiedy Grady buchnął się w stronę ściany. Zacisnąłem zęby. Palce zaczęły mi się wyslizgiwać ze szczeliny. Moje rękawiczki wspinaczkowe nie były przeznaczone

do klinowania dłoni w skale.

Udało się. Wypuściłem powietrze, ale cały się trząsałem. Spojrzałem w górę. Wisiałem prawie na szczycie ściany. Oparłem kask o skałę i wziąłem głęboki wdech. Mój niebieski T-shirt był czarny od potu.

– Jesteś cały, Ben? – zawołała Lizzie.

– Tak.

Znów ruszyłem w górę, a słońce zalało nas światłem.



Gdy dotarłem do górnej krawędzi ściany, zamiast usadowić się w bezpiecznym miejscu, obejrzałem się. Od razu dostrzegłem Curtisa – jego rude włosy trudno było przegapić. Razem z zespołem pędził wzdłuż brzegu rzeki, żeby po chwili zniknąć w lesie. Odetchnąłem, rozdygotany. A więc mieliśmy trochę czasu.

Spojrzałem w dół. Lizzie była już niedaleko, Grady dochodził do mojego frienda, a Will wspinał się, wciągając za sobą Carmen. Wisiała jakieś dwa metry pod nim jak jabłko na gałęzi, pomagając mu nogami i zdrową ręką.

– Myślałem, że będziesz wciągać Carmen na linie! – krzyknąłem.

Will spojrzał w górę.

– Nie chciałem jej zostawić samej!

– Mamy czas! – odkrzyknąłem. – Curtis jest dopiero przy lasku. Zejdź, zostaw Carmen i wespnij się sam. Ja ją wciągnę z góry.

– Nie zostawiajcie mnie samej na dole! – krzyknęła Carmen.

Kurczowo chwyciła linę.

– Dam sobie radę, Ben. Zejdź ze mnie. – Will sięgnął do kolejnego chwytu, pomagając sobie we wspinaczce linami, które zostawiłem mu w ścianie.

– Kiedy odpadniesz, twoja uprząż nie utrzyma was obojga! –

Zazgrzytałem zębami.

– Przestań mi matkować! – wydarł się. – Nie odpadnę!

Obserwowałem tę wspinaczkę z walącym sercem. Jeden poślizg mógł zabić ich oboje. Kiedy Lizzie znalazła się tuż przede mną, zorientowałem się, że muszę zejść jej z drogi. Pozostało mi przeleźć przez górną krawędź ściany.

Czy na górze czekał na nas inny zespół? Był tylko jeden sposób, żeby się o tym przekonać. Wypiąłem linę z uprząży i odepchnąłem się w górę.

Za krawędzią przeturlałem się jak komandos, zatrzymałem na kolanach z pięściami gotowymi do walki i rozejrzałem gorączkowo dookoła.

Znalazłem się na rozległym, płasko ściętym wierzchołku góry. Nie było tam niczego ciekawego poza rosnącymi tu i ówdzie krzakami i kamienną latarnią sygnalizacyjną, na której w dawnych czasach rozpalano ogień w razie ataku na wyspę. Czy to był nasz ostatni punkt kontrolny? Powiew wiatru uderzył we mnie z taką siłą, że prawie zdmuchnął ze ściany, po której się tu wspiąłem. Osłoniwszy oczy, przypadłem do ziemi i dla pewności jeszcze raz rozejrzałem się po okolicy. Byliśmy sami.

Przeszedł mnie dreszcz ulgi. Odwróciłem się, żeby pomóc Lizzie wciągnąć się ze ściany na szczyt góry. Przelazła przez krawędź i złapała mnie za ramię, gwałtownie wdychając powietrze.

Grady był już blisko krawędzi urwiska. Musiał sam się wgramolić na górę. Nie pomogłem mu, zignorowałem go, kiedy już znalazł się obok mnie. Obserwowałem Willa.

Carmen starała się wspinać samodzielnie, żeby go odciążyć, ale i tak na twarzy Willa rysował się morderczy wysiłek.

Wstrzymałem oddech. Kiedy tylko znalazł się w zasięgu, wyciągnąłem rękę. Złapał ją i we troje pomogliśmy mu pokonać

krawędź urwiska. Gdy tylko znalazł się na płaskowyzu szczytowym, odwrócił się, żeby wciągnąć Carmen.

Kiedy już wyplątaliśmy ją z uprzęży, spojrzeliśmy po sobie z niedowierzaniem.

– Udało nam się! – wydyszała Lizzie.

Grady parsknął nerwowym śmiechem, a ja objąłem wszystkich.

Rozdzieliliśmy się dopiero po dłuższej chwili. Grady wstał, ale uderzenie wiatru mało nie zrzuciło go z urwiska. Lizzie krzyknęła. Will zdążył ściągnąć go z powrotem na ziemię.

Grady zaklął i się położył.

– Musimy się odsunąć od krawędzi! – Lizzie podniosła głos, żeby przekrzyczeć wiatr.

Podczołgaliśmy się bliżej do latarni sygnalizacyjnej, a potem znów spróbowaliśmy wstać. Udało się. Osłoniłem oczy przed wiatrem i rozejrzałem się. U naszych stóp rozpościerała się cała wyspa. Widać było żółtozielone wrzosowisko, jeziora i rzeki, kościół i dom, w którym wcześniej znaleźliśmy schronienie. Po prawej stronie dostrzegłem przystań – punkt startowy trasy, a po lewej...

Zakląłem.

– Co jest? – Lizzie odwróciła się do mnie.

– Samolot.

– Niemożliwe! – Grady podążył za moim spojrzeniem.

– A jednak.

Twarz Carmen rozjaśniła się nadzieją.

– Przysłali pomoc?

Ale Lizzie potrząsnęła moją dłońią. Dostrzegła to co ja. To była mała, pasażerska awionetka, niewiele większa od tej, którą przylecieliśmy na Fetlar. Stała uszkodzona na wąskim paśmie

plaży.

– Jest rozbity – powiedziała Lizzie. – Prawe skrzydło ma rozwalone. Kto wie, od jak dawna tam stoi.

– Biedacy... – szepnęła Carmen.

Podniosłem do oczu lornetkę.

– Nikogo nie widać. – Spojrzałem na Willa. – Ale wiecie, co na pewno jest w tym samolocie? – uśmiechnąłem się. – Radio.

– To znaczy, że... moglibyśmy wezwać pomoc? – Lizzie się wyprostowała.

Grady się skrzywił.

– Nawet mój telefon satelitarny tu nie hula, a wam się wydaje, że zadziała radiostacja?

– Całkiem możliwe – powiedział Will. – Blokują sygnał komórkowy i satelitarny, ale może nie pomyśleli o zwykłym radiu? Po co targać ze sobą krótkofalówkę, skoro wszyscy mają komórki? Pasma alarmowe to sto dwadzieścia jeden i pół megaherca, nie?

Wzruszyłem ramionami.

Will skrzyżował ramiona na piersi.

– Tak, na pewno.

– Czyli co, musimy z powrotem zejść? – Grady wlepił w niego wzrok. – Radio mogło nie przetrwać awaryjnego lądowania.

Carmen uśmiechnęła się nieznacznie.

– Przecież mamy Bena. On umie wszystko naprawić. Nie pamiętasz?

Lizzie zaczęła nucić, rozważając możliwe opcje. Dopiero teraz zdałem sobie sprawę, od jak dawna nie słyszałem jej śpiewu. Sama była jak zepsute radio. W końcu pokręciła głową.

– Wiemy, że samolot tam jest. Są szanse, że będzie w nim sprawne radio. Ale teraz jesteśmy na szczycie góry i jeszcze nie

znaleźliśmy ostatniego punktu kontrolnego, a niewykluczone, że tam ktoś czeka na nas z pomocą.

Will uniknął mojego spojrzenia i skierował wzrok na Carmen.

Pokiwała głową.

– To już ostatni punkt. Jeżeli możemy go znaleźć, to chcę to zrobić. Jeśli nie będzie go na górze, wtedy możemy rozważyć zejście do samolotu.

– Grady? – spytałem.

– No, ja to wciąż mam nadzieję na wygraną. Przez sekundę szczerzył się w uśmiechu, ale zaraz spoważniał. – Bo mamy szansę, nie? Chyba jesteśmy pierwsi?

– Na to wygląda. – Zmarszczyłem brwi.

– Nie mamy żadnych fantów – przypomniała Lizzie.

– A jednak mamy szansę – powtórzył Grady i założył ręce. – Mówiłaś, że jeśli żaden zespół nie zbierze kompletu przedmiotów, to może wezmą pod uwagę najszybszych na mecie.

– Will?

– Wiesz, co myślę. – Wiatr przeciągnął mu włosy po twarzy. Will odgarnął je z oczu. – Odnalezienie ostatniego punktu kontrolnego może być jedyną szansą na wydostanie się z wyspy.

Wszyscy ruszyli w stronę latarni sygnalizacyjnej na środku płaskowyzu, ale ja zostałem na miejscu, wpatrując się w samolot.

– No chodź, Ben! – zawołała Lizzie.

Dołączyłem do nich truchtem. Radio nie zajęć, nie ucieknie.

Latarnia była bardzo stara. Do litego, ale zwietrzałego postumentu z granitu przykręcono zardzewiałymi śrubami gigantyczny metalowy kosz, na którym widać było ślady ognia. Wiatr smagał latarnię bez litości. Nie było gdzie się przed nim ukryć, a jednak na skalnym postumencie utrzymało się tu i ówdzie

trochę zielska. To były jedyne żywe organizmy w tym miejscu. Nigdzie nie było widać skrytki.

Lizzie objęła się ramionami.

– Możemy rozpalić ogień. Może ściągnąby pomoc z sąsiednich wysp.

– Tu nie ma nic do spalenia – zauważył Grady. – No i ten wicher. Żeby rozpalić na tyle duży ogień, który od razu by nie zgasł, a w dodatku był widoczny z Fetlaru i Unstu, potrzebowalibyśmy hałdy drewna.

Will ukląkł przy latarni. Zmarszczył czoło, nachylił się bliżej i ostukał postument knykciami. Potem przyłożył ucho do granitu i zastukał jeszcze raz.

Pociągnął mnie, żebym ukląkł obok niego.

– Posłuchaj.

– Jest pusta w środku?

– Więc to jest ostatni punkt kontrolny? – Lizzie opadła na kolana obok nas. – Ale... jeśli tak, to gdzie są wszyscy? Gdzie ludzie z fundacji? – Objąłem ją ramieniem.

Carmen bez sił klapnęła na ziemię.

Grady wyjął z kieszeni spodni do połowy opróżnioną torebkę gumisiów i puścił ją w obieg, ale nikt nie miał ochoty jeść, więc sam zaczerpnął garść i wsypał sobie kolorowe ciałka do ust.

– Może to nie jest koniec trasy – wybełkotał, przeżuając. – Jeśli postument jest pusty, to w środku mogą być namiary na jeszcze jeden, ten właściwy, ostatni punkt kontrolny. – Dotknął pleców Lizzie. – Masz rację. Na końcu musi ktoś czekać. No bo jak inaczej mieliby się dowiedzieć, kto doszedł pierwszy i ile zebrał fantów?

Lizzie uśmiechnęła się do niego.

– No dobra. Ale jak to otworzyć?



Will badał palcami podstawę latarni. W końcu pokręcił głową.  
– Nie mam pojęcia.

## Rozdział dziewiętnasty

Grady, Will i ja obejrzelśmy latarnię centymetr po centymetrze. Lizzie przyciskała kciuk do każdej plamki na postumencie, gdzie granit wyglądał na gładszy, ale nic się stało.

Carmen wstała i zaczęła powoli zataczać kręgi wokół podstawy latarni, przyglądając się ziemi kawałek po kawałku. Stopniowo coraz bardziej oddalała się od postumentu. Zatrzymała się jakieś dziesięć metrów od niej z włosami przypominającymi czarny płomień targany wiatrem. Z miejsca, w którym się znajdowałem, widać było tylko czubek jej głowy. Krzyknęła coś, ale wiatr porwał jej słowa.

Wstałem, opierając rękę na latarni.

– Co mówisz?

– Na tym kamieniu – wychrypiała, przyciskając rękę do piersi – jest tabliczka!

Ruszyliśmy w tamtą stronę, walcząc ze ścianą wiatru.

Kiedy już byliśmy przy niej, Carmen ukucnęła i wskazała niski kamień z pamiątkową tabliczką. Według napisu latarnię postawiono w czasie wojen napoleońskich.

– Skoro latarnia jest aż tak stara – powiedział Grady – to może nie jest pusta w środku?

– Jest. – Will dotknął tabliczki. – Ale te śruby wyglądają na nowe. Kto ma śrubokręt?

Carmen podała mu swój scyzoryk. Zabrał się do odkręcania. Otoczyliśmy go, drżąc z zimna na wietrze, który szarpał nami

wściekle.

W końcu śruby wypadły z otworów i Will podważył tabliczkę. Pod nią ukazał się znany nam ekran.

Lizzie popatrzyła na nas.

– Działaj – powiedziałem.

Uklękła i przycisnęła kciuk do skanera. Ekran zajarzył się światłem.

WITAJ, ELIZABETH BELLAMY.

Jej palce zawisły nad klawiaturą.

– No dobra, ale pamiętacie, jaka była odpowiedź na zagadkę?

Kiedy spojrzałem na Willa, zamrugał.

– Nie pomyślałem o tym. – Wyglądał na wstrząśniętego. – Całkiem zapomniałem o zagadce.

Lizzie podniosła wzrok.

– Ile mamy czasu, zanim tamci nas dogonią? – Machnęła ręką w stronę jeziora.

– Niewiele. – Przystąpiłem z nogi na nogę. – A jak brzmiała zagadka?

– Zapisałem ją. – Grady oblizwał usta.

Lizzie wbiła w niego wzrok.

– Powiedz mi, że nie zostawiliśmy notesu w plecakach... na dole.

Grady zbladł i kiwnął głową.

– Okej. – Przełknąłem ślinę. – Dobra... musimy sobie tylko przypomnieć, jak brzmiała... – Popatrzyłem na Willa i Grady'ego. – Skupmy się wszyscy, to nam się uda. Na początku było chyba coś o ranieniu?

– „Ranimy, choć się nie poruszamy?” – powiedział Will niepewnie.

– Tak! – Grady się rozjaśnił. – Teraz sobie przypominam! Dalej było: „Dotykamy, choć nie dotykamy”.

– I chyba: „Po wielkości nie oceniaj nas”? – dokończyłem. – Pamiętam, bo wtedy pomyślałem, że to może chodzić o dziewczyny.

– Tak, ale brakuje linijki. – Will zmarszczył brwi. – Jedna linijka musi rymować się z „nas”.

– Las? – zaproponowała Lizzie. – Głaz? Kwas?

Potałem skronie.

– Sam nie wiem. Jakoś nic mi...

– Dzięki za liny! – Nagle zza krawędzi urwiska dobiegł nas krzyk.

Aż podskoczyłem. Mój wzrok spotkał się ze wzrokiem Lizzie.

– Zapomnieliśmy odciąć liny?! – krzyknęła.

– Macie przeerąbaaaneee! – Dobiegł nas wyższy zaśpiew innego chłopaka.

Grady ukrył twarz w dłoniach.

– Nie pomyślałem o tym.

– My też nie. – Will chwycił Carmen, która zbladła jak duch.

– Iiidzieeeeemyyy po waaaas!

– Co robimy?! – Na czoło Grady’ego wystąpił pot. – Tu nie ma żadnej kryjówki! Jesteśmy w pułapce!

Will stał z zamkniętymi oczami. Powieki mu drgały. Rozważał możliwe scenariusze, odrzucając jeden po drugim.

Zacisnąłem palce na trzonku toporka.

– Nie możemy stawić im czoła. – Lizzie odnalazła moje

spojrzenie. – Car nie może walczyć. Mają przewagę liczebną.

– Możemy zejść z drugiej strony i uciec do samolotu.

– Nie mamy lin – przypomniała Lizzie.

– Ale jesteśmy już tak blisko! – zapiszczał Grady. – Nie było tu jeszcze nikogo innego. Wyruszyliśmy ostatni, ale na finiszu wszystkich wyprzedziliśmy. To nie fair!

– Nie mamy fantów geocache – przypomniałem mu łagodnie.

Grady oklapł. Objąłem Lizzie ramieniem i przytuliłem twarz do jej włosów. Po chwili Grady wyprostował się gwałtownie.

– Hej! – Spojrzał na krawędź urwiska, a w oczach zagrał mu zimny błysk. – Tak trzęsiemy portkami, że o czymś zapomnieliśmy.

– O czym? – Carmen zwróciła ku niemu zapłakaną twarz.

– O tym, że tamci wiszą piętnaście metrów nad ziemią. – Grady wyszczerzył zęby w uśmiechu. – W tej chwili to oni mają się czego bać.

Carmen zrobiła wielkie oczy.

– On ma rację.

– Nikogo nie zrzucę ze skały. – Lizzie wcisnęła okulary głębiej na nos. – To by było morderstwo.

– A co oni zrobiliby nam, gdyby mieli okazję? – Carmen podniosła okaleczoną rękę.

– Ty żyjesz, Car! – odparowała Lizzie. – Reece to kawał gnoja, ale jednak cię nie zabił.

– A powinien był. – Carmen wyszczerzyła zęby.

– Nie zrobił tego. Poza tym jesteśmy lepsi od nich... Prawda?

– Wiem, co zrobimy. – Will podkradł się do krawędzi urwiska. – Chodźcie!



Will położył się na brzegu urwiska i wystawił tułów za krawędź. Zrobiłem tak samo. Grady, Lizzie i Carmen zostali z tyłu, trzymając nas za nogi.

Cutris wspinał się po ścianie skalnej jakieś sześć metrów pod nami. Chudy chłopak o ostrym spojrzeniu szedł tuż za nim. Niżej wisieli na ścianie trzej pozostali członkowie ich zespołu – jeden z nich, podobnie jak Lizzie, miał dobry sprzęt i umiał się wspinać – sprawnie wybierał chwyt i stopnie. Odbił mocno na lewo i zaszedł wyżej od pozostałych dwóch, którzy utknęli dość nisko w ścianie, używając lin zostawionych przeze mnie w pionowej szczelinie. Żeby ruszyć wyżej, musieli czekać, aż Curtis i jego chudy kumpel zwolnią swoje liny.

– Hej! – wrzasnął Curtis. – Rozerwiemy was na strzępy! – Spojrzał na mnie z przymrużonymi oczami. – Lepiej uciekajcie.

– A może lepiej nie? – powiedział Will spokojnie.

Curtis wbił w niego wzrok, a potem spojrzał na chudego, który wspinał się obok. Dostrzegł w oczach mojego brata to, co ja w nich widziałem. Chociaż Will i Curtis wyglądali inaczej, to jednak łączyło ich coś przerażającego.

– Jak widzisz, to my jesteśmy na górze. – Will uśmiechnął się tak, że aż przeszły mnie ciarki. – A wy – na dole. Nie musielibyśmy się zbytnio wysilać, żeby zrzucić was ze ściany. Wystarczy, że poczekamy, aż będziecie w naszym zasięgu. – Wskazał na mnie. – Widzicie toporek Bena?

Wyciągnąłem broń z za paska i wystawiłem go za krawędź urwiska.

– Obetniemy wam palce.

– Blefujesz! – prychnął Curtis, ale przestał się wspinać.

– Co robisz, Curt? Właż tam i ich załatw! – doszedł nas głos z dołu.

– Stul dziób, Ryan. – Rudy nawet nie odwrócił głowy. Nie odrywał wzroku od Willa. Jego jabłko Adama poruszyło się w górę i w dół. – Możemy się dogadać.

– Być może. – Will wzruszył ramionami. – Ale to my mamy wszystkie karty. Zgadza się, Ben?

Kiwnąłem głową.

Curtis skrzywił się.

– Co było w pudełku, które wyrzuciliście? – Oblizwał usta.

– Powiedzcie nam, to wrócimy i zajmujemy się tamtym punktem. Wrócimy, kiedy was już tu nie będzie, dobra? Ale i tak zrobimy całą trasę w krótszym czasie niż wy.

– To znaczy, że zrobicie komuś krzywdę! – krzyknęła Carmen. – Nic wam nie powiemy!

Curtis zmarszczył czoło.

– No cóż, sam słyszałeś... – Will rozłożył ręce w geście bezsilności. – Nie my tu rządzymy, więc nie ma o czym gadać.

– Chcecie... żebyśmy się po prostu wycofali? – Twarz Curtisa poczerwieniała, a jego ramiona trzęsły się pod ciężarem ciała.

Will wychylił się jeszcze dalej poza krawędź.

– Mamy tu kamienie, które zrzucimy wam na łby – skłamał. – Doceń, że tego nie zrobiliśmy. Jeszcze.

– Ciekawe dlaczego. Czego chcecie? – Tym razem odezwał się chudy pod nim.

– Nie zbieraliśmy zawartości z pudełek. Przestaliśmy, kiedy ktoś ukradł nam pierwszy fant.

Słyszając to, Curtis wykrzywił twarz w grymasie. Albo może tylko tak mi się wydawało. Zmarszczyłem brwi, a Will podjął temat.

– Tymczasem dotarliśmy do końca trasy, ale żeby wygrać, potrzebujemy waszego kompletu fantów.

Ręce Grady'ego zacisnęły się na moich nogach.

– Nic z tego, cwaniaczku! – zawołał byczek z dołu. – Kij wam w ryj!

– „Kije i kamienie łatwo kości kruszą”! – wrzasnął Grady. – Może sam chcesz oberwać kamieniem?

Miał taką radochę, że prawie odebrało mu dech.

– Poczekać chwilę. – Curtis wypuścił powietrze. Głos mu zadrżał. – Wcześniej tylko żartowaliśmy, prawda? – zaśmiał się nerwowo. – Przecież wszyscy na wyspie jedziemy na jednym wózku. Może... połączmy siły? Wy byliście pierwsi na mecie, jasna sprawa. Ale my mamy fanty. Wy wiecie, co włożyć do pudełka w jeziorze. My nie wiemy. Współpraca wyjdzie nam na dobre. Dostaniemy kasę, podzielimy sprawiedliwie. Fifty-fifty. Po pół bańki na łebka też będzie nieźle, co?

– Słuchaj no...

– Przymknij się, Ben. – Will nawet na mnie nie spojrzał. Znów wrzasnął do wiszącego pod nami Curtisa. – Kiedy tylko wam powiemy, co jest w tamtym pudełku, zerwiecie umowę. Kto wtedy odda część ciała? Ty? Wątpię, żebyś się na to pisał, stary.

– Możemy się zacząć na inny zespół. Prędzej czy później tu przyjdą – mruknął chudy.

– Słyszeliście, co o tym myśli szefowa. – Will westchnął. – Sorry, ale nie ma innego wyjścia. Najlepiej będzie, jeśli wleziesz na górę i oddasz komplet fantów. A potem oczywiście wrócisz na dół.

Podniosłem wzrok. Wielki wydrzyk krzyknął i zaczął krążyć nad nami.

Wiatr zawiał nagle z innego kierunku, niosąc ze sobą dźwięk fal rozbijających się o skały. Znowu spojrzałem w dół. Sfrustrowany Curtis poczerwieniał jak burak. Gdyby nie wisiał na skale, wpadłby w furję.



– Problem w tym – krzyknął w końcu – że nie mam ich przy sobie. Są u Maksa w plecaku.

– To prawda? – spytał Will.

– Pokaż im wziętki! – krzyknął Curtis.

– To kiepski pomysł, Curt.

– Pokazuj, Max!

Max przekręcił się, złapał linę jedną ręką, a drugą sięgnął za siebie i otworzył klapę plecaka. Zobaczyłem pod nią zakrwawione T-shirty, w które owinięte były nieszczęsne kształty. Między nie a ścianę plecaka wciśnięta była kwiecista ściereczka do okularów Lizzie.

– Zaczep plecak na linie i go wciągnijcie. – Spokojny głos Willa przebił się przez łomot pulsu w moich uszach.

– Nie ma bata! – wrzasnął Max. – Cholerni oszuści!

Chudy chłopak spojrział w dół. Powiedział coś tak cicho, że na górze nie sposób było go usłyszeć, ale Max pobladł i zrobił, co mu kazano. Wygiął się, wisząc na linie, i zdjął plecak.

– Dobrze – pochwalił go chudy. – A teraz go zrzuc.

– Nie! – Grady mało nie skoczył z klifu.

Patrzyłem ze ściśniętym gardłem na plecak, który spada jak kamień i odskakuje od ziemi, a jego makabryczna zawartość rozsypuje się na stoku pod ścianą.

Dłoń Carmen wysunęła się z niego do połowy, celując zakrzywionymi palcami w niebo.

Dostrzegłszy nieoczekiwany łup, wydrzyk zakrakał i zanurkował.

– Spieprzaj! – wrzasnął Max i zaczął zjeżdżać po linie, wymachując ramionami jak oszalały.

Zza pleców doszedł mnie szept Carmen.

– Kije i kamienie łatwo kości kruszą, kości kruszą, kości

kruszą... – powtarzała jak nakręcona.

W końcu jej słowa zlały się z szumem wiatru. Dreszcz przeszedł mi po plecach.

Potem kątem oka zobaczyłem, że Carmen wstaje.

– Dokąd idziesz?! – zawołała Lizzie.

Carmen spojrzała na nas. Jej ciemne oczy były teraz prawie zupełnie czarne.

– ...lecz słowa do łez mnie nie zmuszą – powiedziała, a potem ruszyła przed siebie.

To nie był czas, żeby martwić się o Carmen. W tej chwili była bezpieczna na szczycie góry, która wydawała mi się dachem świata.

– No i co teraz? – Curtis przybrał nonszalancki ton. – Z fantami możecie się pożegnać.

– Widzę. – Will zgrzytnął zębami. – W takim razie nie wejdziecie na górę.

– Ale pozwolicie nam zejść i nie obrzucicie kamieniami?

Will kiwnął głową. Gdy Curtis wykonał ruch ręką, jego kumple zaczęli schodzić na ziemię do zrzuconego plecaka, tam, gdzie nie groziły im upadek ze ściany, zmyślane kamienie Willa ani mój toporek gotowy do akcji.

Nagle cały zeszywniałem.

– „Słowa do łez mnie nie zmuszą” – syknąłem. – Słowa. Lizzie, Carmen rozgryzła zagadkę! Poszła otworzyć ostatnią skrytkę.

Przetoczyłem się znad krawędzi, żeby usiąść, strącając Lizzie z moich nóg. Nagle zza latarni sygnałowej dobiegł nas mrozący krew w żyłach krzyk. Zerwałem się na nogi, czując, że w żyłach płynie mi lód.

Will przeturlał się na bok i wstał jednym płynnym ruchem. Za chwilę pędziliśmy sprintem do Carmen, zmagając się z wiatrem

wiejącym w twarz.

Nie była sama. Stała przed samym punktem kontrolnym, chowając ręce za plecami. W jej stronę, z jakąś chorą radością, skradał się potężnie zbudowany gość. Był cały w kamuflażu, nawet na gębie miał wymalowane czerwono-zielono-brązowe paski.

Wyszczrzył się. Miał długie, żółte, niezdrowe zęby i dziąsła palacza. Pomimo szerokiego uśmiechu jego oczy – z żółtawymi, przestrelonymi krwią białkami – były bladoniebieskie i pozbawione radości. Zza drugiej strony urwiska wyłonili się jego czterej rośli kumple.

A więc kiedy ich widzieliśmy, nie szli na zachód, tylko zmierzali na szczyt góry, obchodząc urwisko trawersem.

– Nasza dawca części! – wykrzyknął. – Jak ja się cieszę, że cię znaleźliśmy!

## Rozdział dwudziesty

Carmen stała jak wmurowana, wrzeszcząc wniebogłosy. Poza włosami, które targał szaleńczo wzmagający się wiatr, jej sylwetka przypominała martwy posąg.

Will dopadł do niej pierwszy i odepchnął w tył, w moją stronę. Zatoczyła się pod naporem wiatru. Złapałem ją i przyciągnąłem do siebie.

Przywarła do mnie i kurczowo chwyciła zdrową ręką za koszulę. Jej ciągły krzyk przeszedł w urywane piski towarzyszące każdemu wydechowi. Czuję na piersi łomot jej serca.

Reece się roześmiał.

– No, chłopaki, macie coś, co należy do mnie. Oddajcie, ładnie was proszę.

Zabrzmiał jak dobry kumpel, równy gość, z którym chciałoby się wyskoczyć na imprezę.

– On jest walnięty – mruknął Grady.

Lizzie chwyciła mnie za ramię.

– O nie! – Wskazała kierunek, z którego przyszliśmy.

Na krawędzi urwiska pojawił się Curtis. Miał triumfalną minę. Walczył z wiatrem, ale udało mu się uklęknąć, po czym sięgnął za siebie, żeby wciągnąć na górę swojego chudego kumpla.

Spojrzałem na Willa. Bił od niego przerażający spokój. Mimo że umiał walczyć jak wściekły pitbull, to i tak wpadliśmy w pułapkę, bo napastników było dwa razy więcej niż nas.

– Biorę tych z lewej. Zajmij się tymi z prawej – usłyszałem w uchu drżący szept Lizzie.

– Nie, nie, nie... – zapętlełem się.

Stałem jak wmurowany, walcząc z naporem wiatru i przenosząc wzrok z Cutrisa na Reece'a i z powrotem. Nic więcej nie potrafiłem zrobić.

Drżącą ręką Lizzie dobyła noża zatkniętego za pasek. Ścisnąłem toporek. Czekan Willa dyndał przy jego lewej dłoni, jakby mój brat nawet nie zdawał sobie sprawy, że go ma. Grady uniósł zaciśnięte pięści, ale dygotał prawie tak bardzo jak Carmen.

Wepchnąłem Car w ramiona Lizzie.

– No dobra – szepnęła. – Załatwię tych, których mi zostawisz.

Ta walka mogła potrwać najwyżej kilka sekund. Potem Curtis zmusi nas, żebyśmy wyśpiewali, co było w poprzedniej skrytce geocache, a potem wyłupi jednemu z nas oko.

Później... przeniosłem wzrok na ostatnią skrytkę: pusty w środku postument latarni sygnałowej. Nadal nie miałem pojęcia, jak ją otworzyć. Może otworzy się automatycznie po rozwiązaniu zadania na ekranie pod tabliczką w punkcie kontrolnym? Jeśli postument stanowił skrzynkę geocache, to w porównaniu z poprzednimi była to ogromna skrytka. Po raz pierwszy zacząłem się zastanawiać, co może być w środku.

Postument był dostatecznie duży, żeby zmieścić ciało... Chyba tak, nie?

Stopniowo dotarł do mnie syk Lizzie. Nakręcała Carmen.

– Sama chciałaś udaremnić im zwycięstwo, więc teraz ich powstrzymaj. Przestań robić z siebie księżniczkę uwięzioną w wieży i się postaw!

– Lizzie! – Ta zmiana frontu mnie zszokowała, ale Carmen zaczęła się prostować.

– Jesteśmy z tobą, Car – mruknąłem. – Nie pozwolimy cię skrzywdzić.

– Cicho, Ben! – warknęła Lizzie. – No już, Car, pokaż im tę wredną sukę, którą dobrze znam! Gdzie, do nędzy, jest Carmen – *fighterka*, *żyłeta*? Will, oddaj jej nóż.

Wyszczrzył się w uśmiechu i wcisnął nóż do ręki Carmen. Wiatr wył coraz bardziej opętańczo. Carmen podniosła głowę.

– I tak jest nas pięcioro na dziesięciu tamtych – odezwałem się drżącym głosem.

– Nie – syknęła Lizzie. – W tej chwili nad urwiskiem są tylko Curtis i chudy. Reszta ich ludzi zjechała na dół, pamiętasz? Czyli jest ich siedmiu. Pięcioro przeciw siedmiu. Poradzimy sobie – mówiła spokojnie, ale jej głos zabrzmiał wyżej niż zwykle.

– No, będzie tego. – Reece ruszył w naszą stronę. Po bokach miał swoich kumpli. – Oddawajcie moją Dawcę. – Podniósł dłoń. W jej mięsistym wnętrzu pokazała się cienka czerwona linia. – Jest mi coś winna. Przez nią mnie swędzi.

Nie wierzyłem własnym uszom! Odciał piękną dłoń Carmen. Zniszczył życie akurat tej osobie, która zawsze była go pełna, a teraz miał czelność bredzić, że to ONA jest mu coś winna?!

Że go SWĘDZI!

Wściekłość wypaliła resztkę strachu z mojej głowy, wyrrywając mi z gardła skowyt... Ruszyłem naprzód bez zastanowienia.

Słyszałem, że Lizzie mnie woła, a potem Grady krzyczy do niej. Coś o dźwigni. Ale nie zwracałem na to uwagi. Rzuciłem się na Reece'a z uniesionym toporkiem.

Coś grzmotnęło mnie w głowę, przewracając na bok. Poleciałem na czyjeś twarde ciało, ale nie zatrzymałem się, żeby obmyślić strategię. Uderzyłem pięścią, a trzonkiem toporka w drugiej ręce zamachnąłem się do góry. Rozległo się stęknienie i ciężar, który

mnie miażdżył, stoczył się na bok.

Ktoś mnie chwycił. Ryknąłem i szarpnąłem się do tyłu, próbując rozwalić mu nos, ale go nie sięgnąłem. Przez sekundę wiłem się na ślepo, potem piętą w trampku trafiłem go w goleń i zamachnąłem się pięścią do tyłu. Trafiłem w krocze. Zgiął się wpół z bólu. Wtedy wykończyłem go głową.

Natychmiast odwróciłem się do Reece'a. Will już był przy nim. Walczył ze wściekłą precyzją, ale dwóch pozostałych było coraz bliżej.

Nie zastanawiałem się, gdzie jest Grady ani czy Curtis też zaraz nas dopadnie. Wrzasnąłem pod wiatr i skoczyłem do walki.

Pierwszy cios w twarz złamał mi nos. Na chwilę ból dosłownie mnie oślepił. Potok ciepłej krwi zalał mi brodę i szyję. Machnąłem toporkiem na oślep. Poczujęm, że się w coś wbija, i usłyszałem krzyk.

Czy to możliwe, że tylko my zachowaliśmy broń? Czyżbyśmy mieli aż tak dużo szczęścia?

Zatoczyłem się w bok pod gwałtownym uderzeniem wiatru. Ktoś runął na ziemię. Usłyszałem okrzyk zaskoczenia i ktoś inny grzmotnął o moją nogę, ale mnie nie przewrócił.

Linia piekącego bólu przecięła w poprzek mój prawy biceps. Kątem oka zobaczyłem rozbryzg krwi.

Kopnąłem z całej siły i chłopak, który mnie dźgnął, zgiął się wpół. Odnalazłem wzrokiem Willa dokładnie w momencie, gdy chudzielec od Curtisa trafił go w kark ciosem karate.

Will zadrżał.

Musiałem natychmiast mu pomóc, ale zanim zdążyłem się ruszyć, pojawił się Curtis. Celnym ciosem powalił kumpla Reece'a na ziemię, a potem chwycił mnie za gardło jedną ręką. W drugiej trzymał mój toporek tak, że bym nie mógł go dosięgnąć.

– Co było w tamtej skrytce?! – warknął.

Szarpałem się, ale był większy i silniejszy. Tuż obok Reece dusił Willa w mocnym chwycie. Will zgubił gdzieś swój czekan.

Gdzie jest Grady?!

To Lizzie przysłała nam z pomocą. Biegła szybko, nisko przygięta przeskoczyła nad chłopakiem, który turlał się po ziemi. Minęła mnie i wbiła nóż w przedramię Reece'a. Wrzasnął zaskoczony i wypuścił Willa z uścisku. Lizzie zostawiła nóż i popędziła w stronę latarni, uskakując, żeby Reece jej nie chwycił. Ten ruszył za nią z purpurową twarzą.

Curtis potrząsnął mną i, plując mi do ucha, wycedził:

– Co tam było? Mów!

Zacisnął rękę na moim gardle tak mocno, że musiałem walczyć o oddech. Świat zaczął odpływać. Wreszcie zwiłem bezwładnie.

Will spadł na Curtisa, łomocąc go dwiema pięściami w głowę. Kiedy Curtis zwolnił uchwyt, Will pchnął go w stronę krawędzi urwiska, a potem wziął mnie za ramię i ruszył biegiem za Lizzie.

Biegłem, potykając się.

– Nie mamy dokąd uciec – wydyszałem przez rozkwaszony nos.

– Tutaj. – Głos Grady'ego był ledwie słyszalny w potężniejącym ryku wichury.

– Tędy.

Jedną rękę miał na latarni sygnałowej, a w drugiej ścisnął nóż. Lizzie wycofywała się w jego stronę.

Reece nadciągał już wyszczerzony, strzelając knykciami.

– Zapowiada się dobra zabawa.

Wcale mu się nie śpieszyło. Wiedział, że mu nie uciekniemy.

Spróbowałem uwolnić się z uchwytu Willa, żeby pomóc Lizzie, ale ugięły się pode mną nogi. Szarpałem się, żeby mnie puścił.



– Pomóż jej.

Pokręcił głową.

– Grady! – zakrztusiłem się.

Dostrzegłem, że wciąż ciągnę za sobą mój toporek. Jego ostrze obijało się o ziemię. Potykając się, coraz bardziej skracaliśmy dystans do latarni.

Reece wyszarpnął nóż ze swojego przedramienia i wyciągnął ostrze w stronę Lizzie.

– Wiesz, gdzie ci go wsadzę?

Lizzie potknęła się o brzeg latarni i upadła na łokcie. Kiedy Reece rzucił się na nią, zaczęła się desperacko wycofywać.

Wtedy pojawiła się Carmen. Wychylnęła jak demon zza pleców Grady’ego. W rękę ścisnęła nóż.

Lizzie gwałtownie złapała powietrze.

– Car, nie!

Ale nie mogła jej już powstrzymać.

Zaskoczony Reece zatoczył się do tyłu na tyle daleko, że Will zdołał chwycić go jedną ręką. Wypuściłem toporek i złapałem Reece’a za koszulę, pomagając Willowi go unieruchomić.

Wiedziałem, że jeśli go teraz puszczę, skrzywdzi Lizzie i Carmen.

Reece próbował kopać w tył, ale po sekundzie Carmen wskoczyła na niego, krzycząc. Próbował dźgać nożem, ale Will trzymał go mocno za łokieć.

– Złaż ze mnie! – zabułgotał.

Carmen wrzasnęła mu do ucha jak upiór. Wiatr szarpał jej długie włosy, a w oczach tlił się obłęd. Dźgnęła go w prawy policzek. Zaczął krzyczeć. Wyrwała nóż, rozcinając kawał skóry, odsłaniając dziąsło i zęby.

Nie mogłem oderwać oczu.

Reece zawył, a potem zaczął wołać o pomoc.

– Chłopaki!

Nie przybiegli, bo dwóch usiłowało wciągnąć trzeciego z urwiska na płaskowyż. Kolejnego dopadł Curtis.

Carmen znów pchnęła Reece'a nożem, tym razem odcinając pół ucha. Krew zalała mu kołnierz. Wydał z siebie wrzask zaskoczenia i furii.

– Zabiję cię!

Carmen wepchnęła mu kikut ręki do ust i jeszcze raz dźgnęła, tym razem wbijając ostrze między obojczyk a gardło. Kiedy wyjęła nóż, trysnęła wielka fontanna gorącej krwi. Poczulem jej rozbryzg na gołej skórze.

Oszołomiony puściłem Reece'a i upadłem na ziemię, ale Will nie zwolnił uścisku. Carmen dźgnęła go ponownie, w bark. A potem znowu, w podgardle.

– Carmen – wyszeptałem. – Przestań! Błagam cię!

Reece upadł na kolana. Nie wstał już, mimo że Will go puścił. Oddech Carmen zmienił się w charkot. Zmęczenie ją spowolniło, ale nie przestawała dźgać. Z każdym ciosem było jej coraz trudniej wyciągać nóż z ciała, ale Reece przestał się już bronić, nie odpychał jej od siebie. Potem runął na ziemię jak wór ziemniaków i znieruchomiał. Jego oczy wbiły się w moje, po policzku potoczyła się łza i dopiero teraz, kiedy wypływało z niego życie, zobaczyłem, że wcale nie był starszy ode mnie.

– Dostyć! – Lizzie odciągnęła Carmen i postawiła ją na nogi, obejmując od tyłu w mocnym uścisku.

Dyszając, rozdygotana Carmen wpatrywała się w umierającego chłopaka. A potem splunęła na niego.

– Zabiłaś go! – dobiegły nas wściekłe głosy kolegów Reece’a.

Udało im się wrócić na płaskowyż. Biegli w naszą stronę. Curtis również.

– No chodźcie! Szybko! – krzyknął Grady.

Podniosłem wzrok. Will szarpnął mnie do góry, pomagając wstać, i pociągnął za sobą. Odruchowo złapałem leżący na ziemi toporek.

– Ruszaj się, Ben! Muszę to zamknąć!

Zamknąć? Co? W głowie mi łomotało, krew lała się z nosa, oczy miałem spuchnięte – na pewno były podbite – a wiatr wył jak opętany. Carmen i Lizzie pierwsze znalazły się przy Gradym. Zamknąłem oczy, a kiedy znów je otworzyłem, dziewczyny zniknęły. Czyżbym znów miał halucynacje?

Will chwycił mnie, okręcił w tył i popchnął w plecy. Grzmotnąłem w bok latarni sygnałowej, a potem Grady złapał mnie i pociągnął na jej tył wokół kamiennego postumentu. Rozdziawiłem usta. Latarnia – ostatnia skrytka geocache – była otwarta.

Will już deptał mi po piętach... Pchnął mnie i zacząłem spadać.

Zamrugąłem, żeby pozbyć się z oczu krwi Reece’a. Will znowu pchnął mnie w plecy i potykając się, zatoczyłem się jeszcze niżej. Byłem zdezorientowany i oszołomiony. Kiedy znalazłem się poniżej poziomu gruntu, wiatr ucichł.

– Lizzie! – krzyknął Grady. – Zamykaj!

Lizzie precisnęła się obok mnie. Z góry dobiegły mnie wściekłe wrzaski, a potem głuchy łoskot i odgłos blokującego się zamka. Zapadła całkowita ciemność.

Po dwóch uderzeniach mojego serca, czyli po około dwóch sekundach, włączyły się lampy.

Nie było wiatru, ale dzwoniło mi w uszach. Słyszałem wybuch

każdego uderzenia serca, czułem łomot tętna w nosie, twarzy, ramieniu i nogach. Byłem cały posiniaczony i obolały. Krwawiłem. Powoli podniosłem rękę, ale Lizzie mnie ubiegła. Delikatnie starła mi krew z oczu.

Popatrzyłem na nią. Miała stłuczone okulary.

Spojrzałem na Carmen, potem na Grady'ego, a w końcu na Willa. Wszyscy się trzęśliśmy i byliśmy w szoku.

Spojrzałem w dół.

– Klatka schodowa! – zawołałem i zamrugalem.

– Carmen i ja rozgryźliśmy ostatnią skrytkę. Razem – powiedział Grady. – Latarnia otworzyła się automatycznie, kiedy rozwiąaliśmy łamigłówkę. Chyba musimy iść na dół.

– I to szybko. – Lizzie spojrzała na zamknięty nad nami włącz. – Zanim Curtis i inni wykombinują, jak się tu dostać.

## Rozdział dwudziesty pierwszy

Schody wydawały się ciągnąć w nieskończoność. Na dole ginęły w ciemności i nie widziałem, co jest niżej.

– Gdzie my jesteśmy? – spytałem szeptem.

Spływająca ze złamanego nosa krew dawała metaliczny posmak w ustach.

Will szedł przede mną. Odwrócił się, żeby spojrzeć w górę, i uniósł brwi. Jego włosy były gładko przyklejone do głowy krwią Reece'a. Moje pewnie też. Na policzkach miał rozmazane krwawe błoto, a na czole zaczął mu rosnać siny guz.

Schodziłem z ręką zarzuconą na barki Grady'ego. Bez jego pomocy przy pierwszym kroku spadłbym ze schodów. Sięgnąłem w górę, żeby pomacać swój nos, ale Grady złapał mnie za rękę.

– Lepiej nie, Ben.

– Jasne.

Lizzie otoczyła Carmen ramieniem, szepcząc jej coś, żeby zmotywować do schodzenia.

Na klatce schodowej był zimno. Powietrze trochę jechało stęchlizną. Było słycać cichy szum, jak w biurówcu z komputerami i klimatyzacją.

– Jakbyśmy weszli do alternatywnego wszechświata – mruknął Grady.

– No. – Skrzywiłem się z sykiem, bo nos zapulsował tęnym bólem, który rozszedł się po skroniach, jakby ktoś znów mnie

walnął.

Odgłos kroków Lizzie i Carmen schodzących za nami ucichł. Obejrzałem się i zobaczyłem, że stoją cztery stopnie nade mną.

– Wszystko w porządku? – spytałem, szarpnąwszy Grady’ego, który usiłował ciągnąć mnie w dół, na następny stopień.

Zatrzymał się.

Lizzie pokręciła głową.

– Nie chce iść. Zablokowała się.

Carmen stała sztywno jak lodowa rzeźba i była prawie tak samo blada.

– To co robimy? – Popatrzyłem wyżej, ku szczytowi schodów.

Kończyły się czymś w rodzaju śluzy z filmów science fiction. Teraz była szczelnie zaryglowana, ale lada chwila tamci z góry rozpracują skrytkę i wejdą do środka. Musieliśmy znaleźć się na dole.

– Car? – powiedziała Lizzie, potrząsając nią.

– Zabiłam go – odezwała się Carmen po dłuższej chwili. Jej usta prawie się przy tym nie poruszyły. Powoli uniosła rękę i wbiła spojrzenie w krew, która na niej pozostała; była w niej utyłana od dłoni po bark. – Pójdę do piekła.

– Nie gadaj bzdur. – Lizzie spróbowała ją przytulić, ale Carmen wciąż stała sztywno.

W końcu spojrzała na mnie i wybuchła gorzkim śmiechem, który w dudniącej klatce schodowej zabrzmiał jak wystrzał.

– Najpierw zabrał mi rękę, a teraz duszę.

Uciekłem spojrzeniem od bólu w jej oczach.

– To nieprawda. Nadal jesteś sobą. Porozmawiasz z jakimś księdzem i wszystko będzie okej.

Wolno pokiwała głową.

– Chodź – powiedziała Lizzie. – Trzeba zejść na sam dół schodów. Jeśli kumple Reece’a się tu dostaną...

Zacząły schodzić. Przepuściłem je, żeby szły przed nami. Oparłem się znów na ramieniu Grady’ego i jeszcze raz spojrzałem w górę, na wejście.

– Za cicho tam jest – szepnął Grady.

Pokiwałem głową. Nie sposób było stwierdzić, czy na powierzchni wciąż trwa bijatyka, czy może tamci połączyli siły i razem próbują otworzyć punkt kontrolny. Wejdą tu za kilka sekund czy może mamy kilka godzin spokoju?

Odwróciłem się i znowu ruszyliśmy na dół.

– Sorry, że nie biłem się razem z wami – zatrajkotał Grady. – Chciałem wam pomóc, naprawdę, ale pomyślałem, że jeśli pójdę do skrytki i zagrozę, że ją zniszczę, tak jak ty wcześniej, to będą musieli odpuścić.

– Dzięki tobie weszliśmy do środka – odezwała się Lizzie. – Dobra robota, Grady.

Łydki płonęły mi bólem. Zostało jeszcze dwadzieścia, może trzydzieści stopni. Will był już na dole i czekał na nas w mroku.

– Dobrze zrobiłeś – powiedziałem.

– Ale i tak jest mi głupio – mruknął. Potknąłem się i o mało nie upadłem, ale Grady zdążył mnie złapać. – Okropnie wyglądasz, Ben.

Spróbowałem się uśmiechnąć, ale wyszedł mi tylko bolesny grymas, więc odpuściłem sobie robienie min.

– Mogło być gorzej.

– Fakt. – Grady zamilkł, a potem znów się odezwał: – Carmen go... Dasz wiarę?

Wypuściłem powietrze, drżąc. Spływały ze mnie resztki

adrenaliny i czułem, że moje ciało domaga się snu.

– Wydaje nam się, że kogoś znamy, a potem okazuje się, że wcale nie – dodał.

– Być może sam zrobiłbyś to samo. – Spojrzałem na niego.

– Może.

Will spojrzał na mnie z dołu.

– Mamy problem. Są drzwi, ale zamknięte, i jest w nich wrzutnia – powiedział to zmartwionym głosem. – Nie jest dobrze.

– Co takiego? – Głowa bolała mnie za bardzo, żebym mógł normalnie myśleć.

Grady pomógł mi zejść z ostatnich schodów. Oparłem się o ścianę obok drzwi.

Will pokazał palcem kłapkę na drzwiach.

– Zakładam, że trzeba tu włożyć fanty geocache.

– Czyli co? Drzwi się nie otworzą, dopóki nie wrzucimy tam pucinananych części ciała? – Grady rozdziawił usta.

– Jesteśmy w pułapce... – Głos Lizzie ledwo wzniósł się ponad ciszę.

Grady zaczął łomotać w drzwi.

– Hej! Wpuście nas!

Lizzie przyłączyła się do niego.

– Potrzebujemy pomocy! Błagam, wpuście nas! – Walila nie tylko pięściami, ale całymi przedramionami. – Mamy rannych!

Carmen stała bez ruchu. Była jednym wielkim smutkiem.

Will i ja wymieniliśmy spojrzenia.

– Te drzwi się tak nie otworzą – powiedział Will.

Pokiwałem głową.

W końcu Lizzie odwróciła się od nich, zrezygnowana.



– Jakich... których części ciała potrzebujemy?

– Zęba, palca, ucha, dłoni, oka – wymieniłem beznamiętnie wszystkie, prawie nie zauważając, że nos mi się odetkał i łatwiej mi było mówić.

– Albo ich ekwiwalentu – przypomniał Will.

– Właśnie – przyznałem.

Dopiero wtedy, gdy zacząłem zdrapywać krew zaschniętą na dłoniach, spostrzegłem, że wciąż trzymam toporek. Wypuściłem go z ręki. Upadł z brzękiem na podłogę.

– Myślicie, że po drugiej stronie ktoś jest? – spytał Grady. – Będzie sprawdzać, co się wrzuci?

Will wzruszył ramionami.

– Możliwe. A może mają tam skaner rentgenowski, taki jak na lotnisku, do prześwietlania bagażu. Albo sprawdzają wagę.

– Tam na pewno nikogo nie ma – powiedziała Lizzie z naciskiem. – Inaczej wpuściliby nas do środka. Czyli... musimy znaleźć coś o podobnej wadze... albo kształcie jak... tamte rzeczy.

– Nie mamy niczego „podobnego”, Lizzie – jęknąłem. – Plecaki zostały na zewnątrz.

– Ale nadal mamy kciuk z gumisiów, nie? – Lizzie spojrzała na Grady’ego. – Chyba go nie zeżarłeś, co?

– No co ty, ohyda! – Grady sięgnął do kieszeni. – Jest! Nietknięty.

– Co jeszcze mamy? – Lizzie odzyskała energię. – Opróżnijcie kieszenie.

– To nie zadziała – stwierdził Will.

– A może jednak? – Lizzie była przekonana. – Warto spróbować. Jeżeli tam jest tylko maszyna, to możemy ją oszukać. Wcześniej nam się udało. Skrytkę w piątym punkcie otworzyliście beze mnie.

Zebraliśmy zawartość kieszeni w smętną kupkę na stopniu schodów. Były tam scyzoryki, paczka gumisiów, sznurek, chusteczka, spinka do włosów, dwie pałeczki do chińszczyzny, zdechły iPhone, płaski kamień z żyłką kwarcu, który spodobał się Lizzie, pudełko zapalek i czyjaś karta kredytowa.

– Co tam masz? – Grady wskazał na zawiniątko, które usiłowałem wyszarpnąć z górnej kieszeni; prawie o nim zapomniałem.

– Magiczne grzybki.

Zrobiło mi się głupio, kiedy przypomniałem sobie, jaką radochę miała dzięki nim Carmen.

– Daj. – Lizzie wyjęła pakiecik z mojej ręki. – Idealnie. – Uśmiechnęła się i uniosła zawiniątko. – To będzie oko.

Will schylił się i podniósł nogę Carmen, która jako jedyna miała na sobie górskie buty.

– O, proszę! – Dziabnął palcem w podeszwę. Nie widziałem, co tam pokazuje, ale zaraz podniósł mój toporek i czubkiem ostrza wydłubał coś spomiędzy rowków bieżnika. Po chwili uniosł mały kamyk. – Ząb.

– Czego jeszcze potrzebujemy? – spytała Lizzie.

Zmarszczyłem brwi.

– Ucha.

Grady odchrząknął i podniósł kawałek suszonej wołowiny.

– Odłożyłem ją na później...

– Idealnie. – Lizzie wzięła od niego plasterek mięsa i oberwała krawędzie, formując coś na kształt półkola.

Potem wszyscy jednocześnie spojrzeliśmy na Carmen, ale zaraz uciekliśmy od niej spojrzeniem.

– Dłoń – powiedziałem szeptem.

Popatrzyłem na toporek. Na długą chwilę zapadła cisza.

Przerwała ją Lizzie.

– Albo jej odpowiednik.

– Tak, ale co może być „odpowiednikiem” dłoni? – Grady zmarszczył brwi.

– Stopa? – Lizzie wzruszyła ramionami.

– To bez sensu! – wybuchłem.

Will pociągnął nosem.

– Jeżeli zakładamy, że jest tam skaner albo waga, to po prostu musimy ją zrobić. – Wskazał na rękawiczki wspinaczkowe, które miałem zatknięte za pasek. – Wypchamy jedną z nich.

– Czym? – Lizzie wzięła rękawiczkę. – Skarpetami?

– Powinna być cięższa. – Rozrzuciłem stopą kupkę rzeczy wywalonych z kieszeni.

– Dwa scyzoryki mogą udawać palce. – Lizzie otworzyła ostrza pod kątem tak, że powstały dwie litery V, po czym wsunęła je do palców rękawiczki.

– Resztę wypełnimy skarpetkami. – Will zdjął buty wspinaczkowe i skarpetki, zwinął je, wzięły od Lizzie rękawiczkę i upchnął skarpetki w środku.

Kciuk zwiś jak flak.

– Dobrze to nie wygląda. – Grady pociągnął nosem.

– Ale musi wystarczyć – powiedziałem i spojrzałem na Willa. – Zgadza się?

Kiwnął głową.

– Gotowi? – Lizzie zebrała całą kolekcję podróbek.

Od strony wjazdu na szczycie schodów dobiegło nas głośne łomotanie.

Wstrzymałem oddech, ale nic więcej się nie wydarzyło. Jeszcze nie weszli do środka.

– Szybko! – ponagliła Carmen.

Umieściliśmy fałszywe fanty w pojemniku na wewnętrznej ścianie otwartej kłapy, po czym Lizzie zamknęła wrzutnię.

– Proszę – wyszeptała. – Proszę, proszę, pro...

Na górze znów zaczęli naparzać we właz.

– Nie zadziało! – jęknął Grady. – Wiedziałem...

Nagle rozległ się cichy warkot i w drzwiach odsunęła się osłona, ukazując skaner odcisków palców.

– Uuu-hu! – Grady wydał z siebie triumfalny okrzyk.

– No, dalej, Lizzie. – Will pchnął ją w stronę otworu.

Wytarła spoconą dłoń o spodnie, a potem przycisnęła kciuk do skanera. Serce waliło mi młotem.

Drzwi drgnęły, po czym uchyliły się nieznacznie.

Wytrzeszczyłem oczy, ale stałem jak wmurowany.

– Oddychaj, Ben. – Will pchnął drzwi, otwierając je na oścież.



Kiedy już wszyscy znaleźliśmy się w pomieszczeniu, zamknęliśmy drzwi. Zamek wydał z siebie kliknięcie i drzwi zawarły się z głuchym, „ostatecznym” łoskotem. Dopiero potem odwróciliśmy się, żeby zobaczyć, gdzie wylądowaliśmy.

Z mroku klatki schodowej zanurzyliśmy się w oślepiającym blasku jarzeniówek. Potarłem oczy. Powoli adaptowały się do jasnego światła. Chyba zaraziłem się optymizmem Lizzie, bo też gdzieś tam w środku spodziewałem się zobaczyć sylwetkę człowieka wyodrębniającą się z zalewu światła.

Jej rozczarowany pomruk był wystarczającym sygnałem, więc kiedy mój wzrok dostosował się do światła i zobaczyłem pusty

pokój bez żadnej żywej istoty, nie byłem zaskoczony.

Pomieszczenie było niewielkim kwadratem, jakieś trzy na trzy metry, w całości wykończonym na biało. Białe były płytki na podłodze, farba na ścianach, a nawet płytki na suficie, takie same jak na podłodze, tylko że tam znajdowały się lampy.

Na jednej ścianie zawieszono aż dziesięć ekranów, w dwóch rzędach po pięć. Były czarne.

Wlepiłem w nie wzrok, oczekując, że... coś się stanie... Ale w tym białym pokoju słychać było tylko brzęczenie świetlówek, nasze chrypiące oddechy i rytmiczne kapanie krwi spływającej z mojego broczącego nosa na płytki podłogi.

– Łatwo zmywalne powierzchnie – mruknął Will, przyglądając się purpurowym rozbryzgom.

Kiwnąłem głową i spojrzałem za niego. Kupka fałszywych części ciała leżała na metalowej tacy umieszczonej pod wylotem wrzutni, do której je włożyliśmy. Kiedy Will nacisnął tacę dłonią, obniżyła się nieznacznie.

– Waga – powiedział.

– Czyli nikomu nie musiała stać się krzywda – wyszeptała Carmen.

Nie byłem pewien, czy w takim układzie cała ta wyprawa jest mniej przerażająca, czy wręcz przeciwnie.

Carmen usiadła, opierając się plecami o drzwi, przymknęła oczy, wyciągnęła nogi i zaczęła stukać podeszwą o podeszwę.

Nagle Grady wydał z siebie okrzyk radości.

– Ej, ludzie, to koniec zawodów! Nie rozumiecie?

Spojrzałem na niego, mrugając.

Wykonał radosny piruet.

– Jesteśmy pierwsi na mecie, nasze fanty zostały zaakceptowane.

Zwyciężyliśmy!

– Serio? – Spojrzałem na Willa. – No, chyba tak.

– Po milionie funtów na głowę! – Grady zamarkował triumfalny cios w powietrzu. – Jesteśmy milionerami. Tamte zbiry na zewnątrz mogą nam skoczyć. Ręka Carmen to przy tym pikuś!

– Grady! – wrzasnąłem na niego, zszokowany jego brakiem wyczucia.

– No przecież teraz... jest ustawiona. Jeśli nie będzie jej się chciało, to nawet nie musi pracować. Będzie żyła jak pączek w maśle!

Lizzie oblizła usta.

– Milion funtów! Uda mi się spłacić kredyt na dom. Mama będzie mogła zostawić pracę i zająć się tatą. Tata nie będzie musiał się o nas martwić. – Zdjęła okulary i przetarła oczy. – Ale... co mamy teraz zrobić? – Lizzie podeszła do monitorów. – Jesteśmy pod ostatnim punktem kontrolnym i co dalej? Jak prześlą nam pieniądze?

Płytką podłogi zapadła się nieznacznie pod jej butem. Monitory eksplodowały kolorami i migając bezdźwięcznie, obudziły się do życia.

– Ciekawe, co to będzie. – Grady podbiegł do Lizzie. – Kolejna łamigłówka?

Will też ruszył w stronę monitorów, ale złapałem go za ramię.

– Nie będzie żadnych pieniędzy, co nie? – szepnąłem.

Wzruszył ramionami, strząsając moją rękę, i zbliżył się do ekranów, zafascynowany.

– Pokazują wyspę. – Lizzie dotknęła ekranu rozdygotanym palcem. – Patrzcie, tu jest kościół. – Przykuśtykałem bliżej.

Miała rację, na ekranie widoczny był cmentarz. Zespół

z przewagą dziewczyn szedł wśród grobów, prowadząc na lince potykającego się co krok chłopaka. Poczułem, że zbiera mi się na wymioty.

Na dole ekranu wyświetlił się komputerowy napis: „Zespół 2: Lancett”.

Spojrzałem na następny ekran, a potem na kolejny. Monitorowali wszystkie siedem punktów kontrolnych. Pozostałe trzy ekrany wyświetlały naprzemiennie obrazy z innych miejsc na wyspie. Najwyraźniej kamery aktywowały się w momencie przybycia zespołu, pewnie za sprawą czujnika ruchu.

Na pierwszym ekranie widać było przystań. Jeden z zespołów odpoczywał przy ognisku, prawie słyszałem ich śmiech. Moja dłoń bezwiednie powędrowała do napisu: „Zespół 1: Sidana”.

– To mogliśmy być my – wymamrotałem.

Bez słowa Will wskazał ósmy ekran, na którym widniał jarzębinowy lasek. Napis na dole brzmiał: „Zespół 5: McCarthy. Zespół 6: Chase”.

Dziewczyna, którą już wcześniej widzieliśmy, ta z maczetą i włosami obciętymi na jeża, leżała na gałęzi. Poniżej kulił się młodszy chłopak. W każdym jego ruchu było widać przerażenie.

– Nie mogę na to patrzeć. – Zakryłem ekran dłonią, wdzięczny, że przekaz był bez dźwięku.

Odwróciłem się. Will wpatrywał się z bardzo bliska w siódmy monitor, nieomal dotykając ekranu nosem.

– Will!

– Tu jest latarnia nad nami – odezwał się, przekrzywiając głowę. – Znaleźli skrytkę w punkcie kontrolnym za tabliczką, ale chyba się kłóć. Może chodzi o rozwiązanie zagadki? Albo kto ma przyłożyć kciuk do skanera. Sam nie wiem.

– Ale... to może zrobić tylko Curtis. Reece nie żyje. – Lizzie

odsunęła Willa na bok, żeby odsłonił ekran.

– Przywlekli jego ciało do skrytki – stwierdził Will beznamiętnym głosem. – Kciuki przecież ma.

Na dole ekranu widniał napis: „Zespół 8: Armstrong. Zespół 4: Wellington”.

Odwróciłem się od monitorów i przeszedłem pod przeciwległą ścianę. Dotknąłem jej gładkiej powierzchni z jęknięciem, a potem oparłem się o zimny tynk.

– Stąd nie ma innego wyjścia. Są tylko jedne drzwi. To koniec trasy. I co teraz? Mamy tu czekać na pozostałych?

Carmen się skrzywiła.

Will zmrużył oczy i wbił wzrok w dziesiąty monitor. Potem podszedł do kupki fałszywych fantów i wziął moją rękawiczkę.

– Co robisz? – spytała Lizzie.

– Potrzebuję scyzoryka. – Will rozchylił fałszywą dłoń, wyjął nóż i rozłożył otwieracz do puszek. – Muszę się dostać do złącz z tyłu. – Zaczął podwazyć monitor wiszący na ścianie. – Jeżeli zdołam dobrać się do kabla sygnałowego, to może uda nam się wysłać wiadomość.

Aż podskoczyłem.

– To da się zrobić?

– Nie wiem. – Will wsunął palce za krawędź monitora i mocno szarpnął. Monitor wylazł ze ściany. Will położył go ostrożnie na podłodze. Zobaczyliśmy otwór w ścianie z płataniną kabli. – Ale spróbuję.



Po jakimś czasie Lizzie podeszła do mnie i usiadła obok. Wziąłem ją za rękę, a ona splótła swoje palce z moimi. Oparłem głowę na jej ramieniu.



Grady asystował Willowi, zaglądając mu przez ramię i od czasu do czasu komentując.

Przyglądaliśmy się Willowi, którego twarz coraz bardziej czerwieniała. Piąty monitor zamrugał i niebawem zgasł. Po chwili obraz na drugim zmienił się w syczący szum. Ręce Willa zaczęły się trząść. W końcu wrzasnął wściekle i cisnął nożem, który wbił się w siódmy monitor, gdzie członkowie zespołów Curtisa i Reece'a już szarpali się ze sobą, zaczynając nową bijatykę, a potem spadł na podłogę.

– Nie udało się? – spytałem.

– Jeden jest grubszy. – Will wskazał czarny kabel, który udało mu się wyciągnąć ze ściany tak, że teraz wystawał z niej jak język. – Ale nie wiem, do czego jest. Może to zasilanie. Jeśli go przetnę, mogą wyłączyć się monitory, a może światła. Ale nie wiadomo, czy nie otworzą się drzwi. Wtedy tamci tu wejdą. Nie ruszam go.

– To już jest koniec. – Dłoń Lizzie drgnęła w mojej. Na jej policzku pojawiła się łza. – Dotarliśmy do mety, ale nie ma żadnej łamigłówki do rozwiązania, żadnej wskazówki, nikogo, kto mógłby nam pomóc... ani zechciał wyjaśnić dlaczego. – Zawiesiła głos. – Nie ma żadnych pieniędzy.

Will oparł się o ścianę obok mnie. Grady przemierzał pomieszczenie w tę i z powrotem, zaciskając pięści. W końcu on też przycupnął skulony pod ścianą, kładąc głowę na kolanach.

– Myślałem, że wygraliśmy – powiedział.

W chwili, gdy jego ramiona opadły bezsilnie, zamrugały monitory. Podniosłem wzrok. Mrugnęły jeszcze raz, a potem nagle wszystkie obrazki z wyspy zastąpiła wielka twarz. Wydawało się, że na nas patrzy.

W miejscu uszkodzonych przez Willa monitorów, które przestały

wyświetlać obraz, ziały dwie prostokątne dziury.

Trąciłem Willa łokciem.

– To Gold. – Lizzie wyjęła swoją rękę z mojej i podniosła się na kolana.

– Gratulacje, Elizabeth Bellamy z zespołem. Dotarliście do ostatniego punktu kontrolnego i zrobiliście to w najkrótszym czasie.

Miał silny amerykański akcent. Mówił głośno i wydawał się obcesowy.

Grady zerwał się na równe nogi.

– Więc jednak dostaniemy kasę, tak?

– Zamknij się, Grady – warknęła Lizzie. Trzęsła się z wściekłości. – Wiedział pan o tym? – Zaczęła dźgać palcem w ekrany. – Pan to zrobił?

Wielka twarz zmarszczyła brwi.

– Pytam, czy wiedział pan o punktach kontrolnych? – Zerwała się z kolan. – Czy to pan powkładał do skrytek... części ciała? No pytam, czy to PAN?! – Płonęła purpurą, a oczy jej błyszczały.

Carmen uniosła głowę. Odgarnęła włosy z twarzy. Przez chwilę Gold patrzył tylko na nią. Potem obrzucił wzrokiem resztę z nas, żeby wreszcie wrócić spojrzeniem do Lizzie.

– No oczywiście, że nie ja. – Wyszczrzył się. – Mam od tego ludzi. Ale... kazałem to zrobić.

## Rozdział dwudziesty drugi

Lizzie gwałtownie wciągnęła powietrze, a potem zaległa cisza. Mimo że Will mnie przecież ostrzegał i chociaż gdzieś tam w głębi to wiedziałem, to jednak nie mogłem w to uwierzyć. Cały czas miałem nadzieję na szczęśliwe zakończenie, w którym, usłyszawszy naszą historię, dorośli bledną z przerażenia, otulają nas kocami termicznymi z folii, opatrują nasze rany i częstują gorącą czekoladą, a potem pomagają wrócić do domu. Wyobrażałem sobie, że duża, serdeczna pielęgniarka, a może nawet pilot, nie mogą wyjść z podziwu nad naszym bohaterstwem. Ale na pewno nie spodziewałem się tego cynicznego wyznania.

Poczułem się pusty w środku. Wstałem i przyciągnąłem Lizzie do siebie. Potrzebne mi było jej ciepło. Nie opierała się. Will stał sam na uboczu, mierząc wzrokiem wielki ekran.

– Ale po co to wszystko? – odezwał się Grady z dłońmi wciśniętymi pod pachy. – Dlaczego pan to zrobił?

– Ludzie zginęli – powiedziałem.

Gold się uśmiechnął.

– Mam nową politykę rekrutacyjną. Potrzebuję ludzi bezwzględnych i w ten sposób ich znajduję.

Wbiłem w niego spojrzenie. A potem przeniosłem wzrok na naszą kolekcję fałszywych fantów geocache.

– No to dałeś się nabrać – mruknąłem.

– Otóż wcale nie – odpowiedział Gold, a życzliwość w jego głosie mnie dobiła. – Ale masz rację, Torbenie. Ponieważ wasz

zespół zdołał obejść pierwszy etap procesu rekrutacji, konieczny będzie dodatkowy element selekcji. Sprawa ma się następująco: oferuję znaczną sumę pieniędzy, dokładnie pięć milionów funtów, a oprócz tego staż w fundacji – bezpośrednio pode mną – wraz ze studiami na najlepszych uczelniach, po których jeszcze przed ukończeniem dwudziestego piątego roku życia będzie do objęcia stanowisko dyrektorskie w jednej z moich firm – przerwał i mrugnął. – Jest to oferta skierowana do tej osoby spośród was, która jako pierwsza zgłosi chęć jej przyjęcia, dowodząc swojej bezwzględności.

– O czym on mówi? – powiedziała Lizzie słabym głosem.

– Dobrze wiesz o czym, młoda damo. – Gold zacmokał z dezaprobatą. – Chciałbym, żeby jedno z was zabiło inne. Zróbcie to, a świat będzie należeć do was. Gwarantowana przyszłość i życie na poziomie, o którym można tylko pomarzyć.

– A-ale – zająknął się Grady – dlaczego?

Gold westchnął i przeniósł wzrok bliżej, być może na coś, co znajdowało się przed jego monitorem.

– Zawsze rekrutowałem pracowników ambitnych, nastawionych na realizację zadań, ale z niską samooceną, ponieważ da się nimi odwalić kawał roboty. Ale ten typ to kretyni, więc nie chcę, żeby prowadzili moje spółki. Potrzebuję liderów. – Znów spojrzał na nas. – Poszukuję człowieka o osobowości psychopatycznej. Ma być inteligentny, zmotywowany i bezwzględny. Nie może się babrać w wyrzutach sumienia. Kogoś, kto umie oczarować i manipulować. To niezbędne cechy we współczesnym środowisku biznesowym. Prowadzę nabór wśród młodych ludzi, bo chcę go ukształtować, no i oczywiście muszę mieć na niego mały haczyk, żeby pozostał pod moim wpływem. Zapis wideo przedstawiający zabójstwo dokonane przez tę osobę w wieku, w którym może ona odpowiadać przed

sądem jak osoba dorosła, zadziała najskuteczniej. Za dziesięć, może dwadzieścia lat będę sterował globalną siecią potężnych przedsiębiorstw zarządzanych przez najinteligentniejszych i najbardziej bezlitosnych ludzi biznesu na świecie. To nie jest jedyna edycja turnieju Iron Teen – mówię, szczerząc zęby. – To będzie nowe, globalne mocarstwo zbudowane na potęgze finansowej i manipulacji, ze mną u steru. To ja będę kształtować świat.

Grady’ego przeszedł dreszcz.

– Ktokolwiek z nas to zrobi, znajdzie się w centrum wszystkich światowych spisków, pozna iluminatów i masonów.

– Właśnie. Wyobraźcie sobie ten ogrom możliwości. Omówicie sprawę między sobą, ale niech wam to nie zajmie zbyt wiele czasu. – Gold obliznął wargi. – Wasz zespół przeszedł przez wstępne sito tylko z jednego powodu – zaśmiał się.

– Niby z jakiego?! – wybuchła Lizzie.

Gold nie odpowiedział.

Lizzie wyrwała się z moich objęć i zaczęła walić pięściami w monitory.

– No, gadaj!

– Nie domyślasz się? – spytałem cicho. Odwróciła się i spojrzała na mnie. – Ten formularz z milionem pytań. Gold szukał ludzi, którzy pasują do jego kryteriów. – Potarłem oczy i skrzywiłem się z bólu, kiedy dotknąłem nosa. – Turniej byłby mało interesujący, gdyby na wyspie nie było psychopatów, no nie? Pozostali nie zastanawiali się zbyt długo, zanim zaczęli odrzynać innym części ciała.

– Chcesz powiedzieć, że jedno z nas...

– To jedyny powód, dla którego w ogóle dopuścili nas do loterii. – Oparłem ręce na biodrach. – Prawda, Will?

Lizzie zakryła usta drżącą dłonią, a potem zwróciła się do Carmen:

– To ty. On chce ciebie. Zabiłaś tamtego gościa.

– Ten „gość” miał na imię Reece. – Carmen zwiesiła głowę.

Lizzie odsunęła się od niej.

– Że niby psychopaci nie mają uczuć, tak? – Łzy zaczęły spływać jej po twarzy. – A to wszystko pusty urok i – jak to ujął Gold – manipulacja. – Z piersi Lizzie wyrwał się szloch. – Więc cała nasza przyjaźń była kłamstwem?

– Nie! – Przez sekundę Carmen zwarła się, jakby miała wstać do Lizzie, ale potem znów opadła bezwładnie na podłogę. – A może to jestem ja. Gdybym była psychopatką, to czy wiedziałabym o tym?

Popatrzyła na ogromną twarz, która zastygła na monitorach z wyszczerzonym uśmiechem.

– Wiedziałybyś. – Nadal wpatrywałem się w Willa, nie śmiąc oderwać od niego oczu. – Lizzie, to nie Carmen.

– To musi być ona. – Lizzie nie dawała się przekonać.

– Ale nie jest.

– Ben... – W głosie Willa zabrzmiało ostrzeżenie.

– Zaslugują na to, żeby się dowiedzieć – odparłem i przygryzłem kciuk.

– Dowiedzieć? O czym? – Grady obserwował dotąd Lizzie i Carmen, ale teraz przeniósł wzrok na mnie. – Wiesz coś, czego my nie wiemy?

– Carmen nie ma osobowości psychopatycznej. Oczywiście, że nie. Po prostu została doprowadzona do ostateczności i pękła. Każde z nas mogło zrobić to co ona.

– Nie sądzę, żebym... – Lizzie nie dokończyła.

– Jasne, bo ty jesteś chodzącym ideałem, chica – prychnęła

Carmen.

– To nie jest Carmen – powtórzyłem. – Wiem, które z nas zaliczyło test Golda.

Grady pierwszy odwrócił się w stronę mojego brata.

– Will?

Will założył ręce na piersi.

– Tak?

– Jesteś... psycholem?

– Wolę nazywać to osobowością bez obciążeń emocjonalnych, Grady. – Will uraczył go swoim osobliwym półuśmieszkiem.

– Nie mówisz poważnie. – Lizzie znów stanęła przy mnie i położyła mi rękę na ramieniu. – Will jest twoim bratem, Ben! Jak możesz sugerować coś takiego? Myślałam, że się o niego troszczysz.

Wyrwało mi się pełne gorzycy prychnięcie.

– Troszczyć się nie tylko o Willa. Nigdy nie dbałem tylko o niego. – Ukryłem twarz w dłoniach. – Chroniłem wszystkich wokół przed nim.

Lizzie zamarła.

– Nie rozumiem?

Spojrzałem na brata.

– Wybacz.

– Chyba zasługują na to, żeby się dowiedzieć. – Will rozłożył ręce. – Ben jest moim... wzorcem zachowań. – Odgarnął włosy z twarzy. – Naśladuję jego zachowanie, żeby innym wydawało się, że jestem „normalny”. Dzięki niemu wcale nie odstaję od reszty. – Pociągnął nosem. – Ale chyba nauczyłem się już wszystkiego, Ben. Nie będę cię już potrzebował. A jeśli Gold mnie przyjmie, to już w ogóle nie będziesz mi potrzebny.

– Ale przecież jesteś moim przyjacielem! – wykrzyknął Grady.

Will westchnął przeciągle.

– Mówiąc szczerze, Grady, jesteś mi równie obojętny jak, no nie wiem, kasjer z marketu.

– Albo ja czy mama – wyjaśniłem, opuszczając ręce. – Ale lubi mieć nas blisko, bo mu z nami wygodnie. Jesteśmy przydatni. – Zamrugalem. – Chyba nigdy o to nie pytałem, ale... czy ty nas w ogóle kochasz, Will?

Wzruszył ramionami.

– Wasz tata odszedł... – Lizzie wzięła mnie za rękę. – Z jego powodu?

Zamrugalem, żeby osuszyć oczy, i kiwnąłem głową.

– Nalegał, żeby ktoś z zewnątrz nam pomógł, jakiś psycholog czy ktoś, ale mama nie chciała o tym słyszeć. Być może... sama jest taka jak Will. Wiedziała, że z wiekiem nauczy się coraz lepiej zatajać, kim jest. Ona też to robiła. A poza tym, gdyby się okazało, że Will potrzebuje pomocy specjalisty, to co powiedzieliby o niej? „Patrzcie, to matka kolejnego Freda Westa<sup>18</sup>”.

– Przesadzasz. – Will wydał z siebie przesadzony jęk zniecierpliwienia. – Nigdy nikogo nie zabiłem. Nawet nie próbowałem. Większość psychopatów nie zapędza się aż tak daleko.

Uśmiechnąłem się do niego, a raczej to moje usta rozciągnęły się nieznacznie.

– Ale o tym myślałeś – odparłem. – Ile razy w myślach wykańczałeś któreś z nas? Albo matkę?

Lizzie objęła mnie ramionami.

– Jak wy mogliście tak żyć?

– Jest moim bratem. Doszło do kilku... incydentów, ale – jestem



tego pewien – przeważnie wolał mną manipulować, niż zrobić mi krzywdę.

– To prawda. – Will założył ręce na piersi. – Poza tym więzienie nie wydaje mi się specjalnie atrakcyjne.

– Czyli... nie zamierzasz zabić jednego z nas? – Lizzie przywarła do mnie.

Will zmarszczył nos.

– Rozważam tę opcję.

Lizzie odwróciła się do Golda.

– Pan myśli, że jesteśmy głupi, tak? – Otarła łzy z policzków. – Nawet jeśli Will zabije jedno z nas, to pan i tak nie pozwoli reszcie odejść. Facet pozuje na czarny charakter rodem z Bonda! Wicie, do czego się to sprowadza? Że nie da nam wrócić do domu! – Zdławiła szloch i odwróciła się do Willa. – Ben pomagał ci przez tyle lat. Jesteś mu coś winien.

– Nie bardzo wiem, do czego zmierzasz. – Will przeszył ją spojrzeniem szarych oczu.

Lizzie była bliska hysterii.

– Żeby się stąd wydostać, musimy współpracować! Nie możemy się pozabijać dla jego uciechy. – Wściekle machnęła ręką w stronę monitorów. – Nawet jeśli oferta Golda jest prawdziwa, to ocaleje tylko jedna osoba. Nieważne, kogo wybierzesz, Ben i tak zginie. Zgadza się, panie Gold? – dyszała zmęczona swoim wybuchem.

Gold zmrużył oczy.

– To chyba oczywiste.

– Zwyciężaj albo giń... – mruknął Grady.

Podchwyciłem spojrzenie Willa.

– A jednak się myliłem. Tu musi być jeszcze inne wyjście, dla zwycięzcy. Żeby mógł bezpiecznie się stąd wydostać, unikając

kontakty z innymi zespołami.

– Inne wyjście, mówisz... – Will pokiwał głową. – Tak. Ale w czym nam ono pomoże?

– Przecież jest samolot – wyszeptałem. – A w nim radio. Jeżeli uda nam się stąd wyjść, mogę...

Przerwał mi śmiech Golda.

– A więc go widziałeś! I jak ci się podoba moja scenografia, Torbenie?

– Scenografia?! – Lizzie cofnęła się, szukając schronienia w moich ramionach.

Kiedy oparła się o moją pierś, poczułem, że jest zimna.

– No oczywiście. Kiedy już wyłoni się mój zwycięzca, resztę zagazujemy i upozorujemy stosowne okoliczności śmierci. W tej chwili likwiduję zespół przy przystani. To dopiero mięczaki! Tak czy inaczej, wasz samolot rozbił się w drodze na wyspę. Tragedia. Wiesz co, Lizzie? Chyba wpłacę pieniądze na akcję dobroczynną twojego imienia. Co ty na to? – Zbliżył się do kamery w swoim komputerze. Na ekranach zawisły jego wielkie nozdrza. – Pasujesz mi do jakiejś fundacji badań nad rakiem.

– Nie może pan tego zrobić – jęknął Grady błagalnie. – Musi być inne rozwiązanie. Moglibyśmy zawrzeć jakąś umowę. A może wszyscy przyjdziemy pracować w pana fundacji? No dobra, nie wszyscy jesteśmy psychopatami, ale z pewnością potrzebuje pan więcej ludzi, dobrych pracowników!

Gold westchnął, jakby zrobiło mu się autentycznie smutno.

– Grady, Grady, Grady. Wybacz, ale jaką miałbym gwarancję, że jedno z was nie zacznie mówić?

– A kto nam uwierzy? – Nadzieja na negocjacje pobudziła Grady'ego. – Przecież ma pan możliwości i pieniądze, żeby wszystko zatuszować, prawda? A nas i tak wezmą za kolejnych

czubków od teorii spiskowych.

– Przykro mi. – Gold pokręcił głową. – To się raczej nie opłaci. Poza tym ryzyko byłoby zbyt duże, a korzyści zbyt małe. To też mi nie pasuje.

– Niech pan nam zapłaci, to podpiszemy wszystko!

– Obawiam się, że to nie jest rozwiązanie. – Gold znów cmoknął niechętnie.

Poczułem, że Will zbliża się do mnie, więc mocniej objąłem Lizzie.

– Lizzie nas tu sprowadziła. – Will wskazał ją palcem. – To wszystko jej wina.

– Co ty wygadujesz? – Spróbowałem się wyprostować, ale czułem się jak jeden wielki siniak.

– Oddaj mi ją.

Cofnąłem się zaskoczony, a Lizzie zeszywniała.

– Nie ma takiej opcji.

– Ben. – Will przeszedł teraz na moją stronę. – Gdyby nie ona, Carmen nadal miałyby rękę, a my wcale byśmy się tutaj nie znaleźli. Więc to ona jest wszystkiemu winna. Chyba się zgodzisz?

– Nie jestem...

– Doskonale wiesz – przerwał mi – czym jest odpowiedzialność, Ben. Tym razem spoczywa całkowicie na niej. Puść ją. Proszę.

Lizzie zaczęła się rzucać, ale przycisnąłem ją jeszcze mocniej.

Will ściszył głos do szeptu.

– Kiedy wygram, powiem Goldowi, że nie mogę pracować bez was, że potrzebuję ciebie i Carmen, żeby normalnie funkcjonować. Wszyscy troje się stąd wydostaniemy.

– Hej! – wrzasnął Grady.

Will nawet na niego nie spojrział.

– Co ty na to, Ben? Bro? – Przywołał na twarz czarujący uśmiech. Umiał mnie rozbroić. Przybliżył się jeszcze bardziej. – Musisz mnie chronić. Matka cię tak wychowała.

– Przed chwilą mówiłeś, że już mnie nie potrzebujesz – wychrypiałem.

– Pomyliłem się. Potrzebuję, żebyś zrobił dla mnie jeszcze ten jeden drobiazg.

– Drobiazg? – Lizzie zaczęła się szarpać, ale unieruchomiłem ją w ramionach, żeby nie miała szans na ucieczkę.

– Ale ja ją kocham... – powiedziałem cicho.

– A mnie? – Zahipnotyzował mnie swoim spojrzeniem. – Jestem twoim bratem. Jestem ważniejszy.

Will miał rację. Co z tego, że kochałem Lizzie? To on się liczył. Odkąd się urodził, matka tresowała mnie do takiego myślenia. Jej głos wypełnił moją głowę.

*Pilnuj dzidziusia.*

*Opiekuj się bratem.*

*Dbaj o Willa.*

*Przyprowadź go bezpiecznie do domu.*

*Jeśli coś się stanie, to będzie twoja wina.*

Zawładnęło mną piekielne zmęczenie i zbyt trudno było mi myśleć, żeby się z Willem spierać. Skoro on mówi, że to nasze jedyne wyjście, to najwyraźniej tak jest.

Ale... nie chciałem stracić Lizzie. Bezwiednie zacisnąłem pięści i usłyszałem łkanie. Wydawało mi się, że jej głos dochodzi z oddali.

– To tkwi w genach, Ben – szepnął Will. – Skoro miała to matka i ja też to mam, to ty też na pewno masz to w sobie. – Był już tak

blisko, że czułem ciepło jego oddechu na chłodnej skórze mojego ucha. – To proste. Poczuj się tak, jakby zasypiała. I tak jest wycieńczona. Przecież sam uważasz, że już dość się nawalczyła? – Pochylił się, jakby chciał mnie objąć ramionami, ale sięgnął do jej szyi. – Nie zaprzataj sobie tym głowy. Czas, żebym to ja zatroszczył się o ciebie.

Kiedy dotknął jej szyi, poczułem, że jego mięśnie się napinają. Stałem jak sparaliżowany, nie umiając zareagować. Czy powinienem go powstrzymać? I czy zdołałbym to zrobić?

Lizzie zaczęła walczyć. Kopała mnie po goleniach, krzyczała moje imię, ale ja prawie nic nie czułem i prawie jej nie słyszałem. Nie mogłem oderwać oczu od Willa.

– Pamiętasz, jak świetnie było tam na górze, Ben? Byliśmy w swoim żywiole. – Zacisnął palce na jej szyi. Szlochy i stękanie przeszły w charkot. – Jak dobrze było z nimi walczyć, ramię w ramię?

To się nie działo naprawdę. Wydawało mi się, że to sen, że odpływam w jakieś inne miejsce.

– Be... Ben... – wychrypiała Lizzie ostatkiem tchu.

Nie spojrzałem na nią. Nie mogłem nawet myśleć o tym, co robi Will. Co obaj robimy.

– Za późno! – rozległ się rozziewający wrzask za moimi plecami. – Myśleliście, że wystawicie mnie do wiatru, ale nie zdążyliście!

Will odwrócił się, uwalniając mnie od swojego hipnotycznego spojrzenia. Puścił szyję Lizzie.

Świat wrócił do mnie gwałtowną falą świadomości. Lizzie zadała mi cios pięścią i wyrwała się z mojego uścisku.

Stała chwilę z twarzą bladą jak ściana i rozbieranymi oczami, a potem kolana ugięły się pod nią i upadła na podłogę, otulając

szyję dłońmi.

– O nie! Lizzie... to nie miało być tak... Co ja zrobiłem?! Nigdy mi tego nie wybaczy. Ja sam nigdy sobie nie wybaczę.

Wyciągnąłem do niej rękę, ale ona spojrzała za mnie i krzyknęła.

Odwróciłem się powoli, jakby cały świat zwolnił, zgęstniał i stał się obcy.

Will klęczał na podłodze i trzymał w ramionach Carmen. Jej głowa zwisała bezwładnie do tyłu jak u zepsutej lalki, a nieruchome oczy miała utkwione w suficie. Nie mrugała.

– Co jej się stało? – zabrzmiałem jak mały chłopiec.

– Byliście za wolni – prychnął Grady triumfalnie. – To ja jestem zwycięzcą. Prawda, panie Gold? Nagroda należy się mnie. To ja będę jednym z was, iluminatów. Poznam odpowiedzi na wszystkie pytania. A oni są frajerami i mięczakami, prawda?

– Coś ty zrobił?! – wycharczał Will.

Jego łzy spływały po włosach Carmen. Ten widok zszokował mnie chyba jeszcze bardziej niż wszystko, co widziałem do tej pory.

– Ona już i tak była skończona. – Grady wycofał się w róg pomieszczenia, wypuszczając ociekający krwią scyzoryk. – Jak po tym wszystkim wyglądałoby jej życie? Przecież była morderczynią. Zasłużyła sobie na to.

– Jak mogłeś to zrobić?! – Lizzie rzuciła się na niego i zaczęła okładać go pięściami.

Stojąc chwiejnie na środku pomieszczenia, odwróciłem się do monitorów.

– Ale przecież... pan nie chciał Grady'ego, tylko Willa – wyszeptałem.

– Naprawdę, Ben... – Gold uśmiechał się od ucha do ucha. –

Chyba nie myślałeś, że w każdym zespole jest tylko jeden psychopata, co?

## Rozdział dwudziesty trzeci

Drżące zawroty głowy Willa wypełniły pokój. Nigdy wcześniej nie słyszałem, żeby wydawał z siebie taki odgłos. Lizzie przestała okładać Grady'ego i spróbowała przedostać się do Carmen, ale Will zatrzymał ją wyciągniętą ręką, a potem pchnął, przewracając na podłogę.

Podniósł twarz do monitorów.

– Na pewno masz tu zespół ratowniczy. Przyślij ich! Niech jej pomogą!

Gold zignorował to żądanie.

W głowie zaczął wyświetlać mi się kalejdoskop obrazów z ostatnich trzech dni. Próbowałem zrozumieć, co zaszło. Jak to możliwe, że Grady był podobny do Willa?! Powoli wspomnienia zaczęły nabierać sensu. A jednak nie – teraz to do mnie dotarło – Grady nie był taki jak Will. Był od niego lepszy. Jakimś sposobem wmanewrował mnie w niesienie ciężkiego plecaka. To on zawsze zostawał w bezpiecznej kryjówce z Carmen, kiedy ja i Will nadstawialiśmy karku. Zdołał wymiksować się z każdej walki, uniknął wszelkich niebezpieczeństw. Nie znaliśmy go w podstawówce. Musiał nauczyć się udawać nieudacznika na długo przed tym, kiedy go poznaliśmy. Cwaniak. Wlekł się za nami i udawał pierdołę, mając wszystkich słodyczami z coraz to nowej torebeczki. Utwierdzał nas w przekonaniu, że nie widzi świata poza teoriami spiskowymi.

„Ściema i spiski...”, pomyślałem, wpatrując się w Carmen. Nie



było widać żadnej krwi. Gdzie miała ranę? Zamrugalem. To nie mogła być prawda. Wstrzymałem oddech i stanąłem tyłem do monitorów. No oczywiście, że to jedna wielka ściema, a Will tylko udaje rozpacz!

Oszukaliśmy automat otwierający drzwi, wrzucając fałszywe części ciała, a teraz Grady nabrał Golda na pozorowane morderstwo! Will musiał go przejrzeć, i to natychmiast. Grady wymyślił rozwiązanie. Teraz musieliśmy tylko poczekać, aż ludzie Golda przyjdą po zwycięzcę, rzucić się na nich i uciec!

Z piersi Willa znów wydarł się szloch. Przyciągnął dłoń Carmen do swojego policzka. Kiedy ją puścił, ręka opadła bezwładnie, stukając o podłogę.

No, dałbym jej Oscara za tę rolę! Może weterynarzem już nie zostanie, ale spokojnie mogliby ją wziąć do telewizji. Za to Will przykładał się trochę za bardzo. Skoro ja nie nabrałem się na jego zalew emocji, to z pewnością Gold też zaraz go przejrzy.

Podkuśtykałem do brata i położyłem mu rękę na ramieniu, ale strącił ją ze złością.

– Spuść trochę z tonu – szepnąłem na granicy słyszalności z nadzieją, że mikrofony w pomieszczeniu nie są aż tak czułe. – Nie kupi tego, jeśli będziesz grał kubłami.

Will powoli podniósł na mnie oczy.

– Kto? Czego?

– No tego. – Wskazałem Carmen i przyłożyłem usta do jego ucha. – Przesadzasz z tą udawaną histerią. – Odsunąłem się i szarpnąłem go za ramię. – Daj spokój, bro, zostaw ją.

Will nie odpowiedział. Zamiast tego uniósł lewą dłoń i pokazał mi jej wnętrze. Była czerwona od krwi.

Zmarszczyłem brwi.

– A to niby skąd?

Wtedy spojrzałem w dół i zobaczyłem miejsce, które uciskał na jej piersi. Odskoczyłem jak poparzony. Kiedy Will odjął rękę, koszula Carmen zaczęła szybko nasiąkać świeżą krwią. Oleista plama rosła na jej piersi i brzuchu.

– Ca... Car? – Wpadłem w dygot.

Lizzie wbiła w Grady'ego wzrok pełen nienawiści.

– Zabiłeś Carmen.

– Zasłużyła sobie.

– Nas też zabiłeś – wykrztusiła.

– No wiesz, ty też niewiele zrobiłaś dla mnie. Ben i Will chcieli mnie wystawić do wiatru, a przed minutą to oni próbowali zabić ciebie!

– Nie zrobiłbym tego... – Przycisnąłem rękę do rany na piersi Carmen, starając się pomóc Willowi powstrzymać upływ krwi.

Nie czułem bicia jej serca. Już nie żyła, ale żaden z nas po prostu nie umiał odpuścić.

– Oczywiście, że byś ją zabił! – wybuchł Grady. – Przed chwilą właśnie to robiłeś!

– A co ze mną, Grady? – Lizzie objęła się ramionami, łapiąc rękami za łokcie. – Przecież byliśmy przyjaciółmi.

– Żaden z was nie był moim przyjacielem! – wrzasnął Grady. – Wzięliście mnie do grupy na Ekspedycję Księcia Edynburga tylko dlatego, że mój ojciec was o to poprosił. Wciąż darliście ze mnie łacha. – Grady opanował ten wybuch tak nagle, jakby ktoś przestawił jakiś przełącznik, i w ułamku sekundy stał się znów dawnym, pierdołowatym sobą. – Zawsze mieliście mnie za nic, za głupka od teorii spiskowych. Nawet się wam nie śniło, że to ja mogę wygrać. – Wzruszył ramionami. – A tu proszę: niespodzianka. Zdobędę kasę i władzę, i będę wiedział wszystko.

Lizzie zamknęła oczy.

– Lubiłam cię, Grady. Tak jak my wszyscy.

– Kłamiesz – odpowiedział miękko.

W końcu Will dał za wygraną. Zostawił Carmen na podłodze i wstał.

– Miałem wobec niej pewne plany – powiedział.

Po raz drugi usłyszałem w jego głosie lodowatą furię.

– Należała do mnie. Wara ci od tego, co jest moje. Była moją przyszłością.

– No to już nie masz przyszłości. – Grady popatrzył na monitory. – Panie Gold, zrobiłem to, o co pan prosił. – Na jego górnej wardze pojawiły się kropelki potu. – Rozumiem, że teraz mnie pan stąd zabierze?

Twarz na ekranach milczała.

– On czeka na dalszy ciąg rozgrywki – stwierdził Will. – Prawda, panie Gold? W końcu mamy tu więcej niż jednego psychopatę. – Wykrzywił usta w swoim upiornym półuśmiechu. Potem przeniósł spojrzenie na mnie i Lizzie. – Już wiem, jak możemy się stąd wydostać.

– Jak to? – Grady podniósł ręce. – Panie Gold, przecież zrobiłem, co pan kazał – jęknął do twarzy na ekranie. – Postawił pan warunek, i to ja go spełniłem.

Will nie spuszczał wzroku z naszej dwójki.

– Gold ma Grady’ego, ale kiedy go zabraknie...

– Wtedy wrócimy do sytuacji sprzed paru minut – wychrypiąca Lizzie. – Z twoimi łapskami na mojej szyi. Niech ci się nie wydaje, że o tym zapomniałam!

Will pokręcił głową.

– Nie. Jeżeli wszyscy razem zabijemy Grady’ego, to wszyscy

razem wygramy. Gold będzie musiał przyjąć całą trójkę.

– Nie wydaje mi się, żeby on cokolwiek musiał – mruknąłem.

Byłem wyczerpany. Ciało Carmen, które miałem w objęciach, zaczęło mi ciążyć jak wielki wór piasku.

Will pracował nad Lizzie.

– Jeżeli ktoś tu zasługuje na śmierć, to Grady. Teraz już wiesz, kim jest. Zobacz, co zrobił mojej Carmen. A teraz stoi jakby nigdy nic, czekając, aż Gold go stąd zabierze i wykończy resztę z nas. Zgodzisz się na to?

Grady zaczął się wycofywać jak najdalej w kąt pomieszczenia.

– Panie Gold!

– Wierzysz w życie pozagrobowe, Grady? Może tam znajdziesz odpowiedzi na wszystkie pytania? – Podchodząc Grady'ego jak drapieżnik ofiarę, Will kopnął zakrwawiony nóż w przeciwległy kąt pomieszczenia.

Lizzie powoli podniosła się z podłogi. Zgięła palce tak, że przypominały szpony.

– Nadal czujesz się zwycięzcą?

Wlepiłem oczy w swoje dłonie zbroczone krwią. Jeżeli się do nich nie przyłączę, jeśli nie pomogę im zabić Grady'ego, to ja będę następny. Will miał rację – istniało tylko jedno wyjście z tej sytuacji. Wypuściłem Carmen z ramion. Stoczyła się na podłogę i zastygła twarzą do ściany, jakby po śmierci nie chciała już na nas patrzeć.

Ale nie Gold. On przyglądał się przedstawieniu z żywym zainteresowaniem i błyskiem w oczach.

– Panie Gold! – pisnął Grady.

Will sięgnął błyskawicznie i chwycił połą jego koszuli. Grady wykręcił mu się gwałtownie. Rozległ się odgłos dartej tkaniny.

I wtedy ciszę przeszył kolejny dźwięk – wysoki dźwięk dzwonka. Wszyscy aż podskoczyliśmy. Potrząsnąłem przedramieniem, żeby odwrócić zegarek dziadka. Wibrował na moim nadgarstku. Włączył się alarm!

– Grobla! – powiedziała Lizzie ze zdumieniem w głosie. – Zaczyna się odpływ. Podnoszą przejście. – Chwycała Willa za ramię. – Jeżeli uda nam się stąd wydostać, to wrócimy do domu!

Will odwrócił się błyskawicznie i wyprowadził potężny cios w czoło Grady’ego. Jego głowa odskoczyła w tył, uderzając o ścianę z głośnym trzaskiem. Grady osunął się na podłogę. Zerwałem się na równe nogi i zatoczyłem w stronę leżącego na ziemi noża. Poczułem, jak cały lepi się od krwi Carmen. Podniosłem go.

Lizzie zamarła.

– Ben, co ty robisz?

Chwiejnie podbiegłem do monitorów i chwyciłem palcami czarną pętlę kabla wystającą ze ściany. Jego plastikowy pancierz był miękki, przypominał skórę gada.

– W najgorszym razie odetnę światła i otworzę drzwi tamtym. – Wylewało się ze mnie ogromne zmęczenie. – Powiemy im wtedy, czego naprawdę chce Gold. Dowiedzą się, że większość z nas ma zginąć w katastrofie lotniczej.

– Zobaczą, że wszyscy jedziemy na tym samym wózku. – Lizzie bezwiednie podniosła rękę do włosów i zaczęła nawijać je na palce.

– Albo zablokujesz drzwi i utkniemy tu na zawsze – mruknął Will.

Wzruszyłem ramionami i wsunąłem ostrze pod kabel.

– Ben! – krzyknęła Lizzie.

Odwróciłem się w jej stronę. Ze szczelin między ścianą a podłogą zaczął wydobywać się żółtawy gaz.

– Pośpiesz się, Ben! – Will podciągnął T-shirt i zakrył nim twarz. Lizzie zrobiła to samo, odsłaniając swój blady brzuch.

Gaz rozprzestrzeniał się szybciej, niż się spodziewałem. Wziąłem głęboki wdech i wstrzymałem powietrze, zanim żółta mgiełka wypełniła pomieszczenie.

Zacząłem piłować. Ostrze było śliskie, kabel mocny, a moja ręka drżała.

Lizzie i Will stanęli na środku pomieszczenia plecami do siebie.

Oczy zaczęły mi łzawić.

Will osunął się na kolana.

Po raz ostatni zaparłem się i napiąłem ramiona. Ostrze wreszcie zagłębiło się w pancerz kabla. Pociągnąłem nożem z całej siły i poczułem, że przewód rozcina się na pół.

Intensywne światło wypełniające pomieszczenie natychmiast zgasło. Zalała nas czerń.

Nie widziałem już Lizzie, Willa ani gazu. Co się stanie, jeżeli wezmę malutki oddech? W mojej głowie zaczęły migać czerwone plamy. Mój organizm domagał się powietrza. A potem pojawiła się błękitna poświata. Dopiero po chwili skojarzyłem, że to musi być jakieś oświetlenie awaryjne.

Zmrużyłem oczy. W mroku dotarło do mnie kliknięcie zamka i westchnienie otwierających się drzwi. Zobaczyłem je. Uderzyła mnie lekka fala świeżego powietrza, która rozrzedziła gaz pompowany do naszego więzienia.

Monitory zamrugały i jeszcze raz pojawiła się na nich twarz Golda.

Will zanosił się kaszlem. Słyszając go poprzez syk gazu, domyśliłem się, że upadł na twarz. Naciągnąłem T-shirt na złamany nos i potykając się, ruszyłem w jego stronę. Jechałem już na

absolutnych resztkach energii, adrenalina wywietrzała ze mnie i ciało dopalało ostatnie rezerwy. Pragnąłem tylko jednego: snu. Po omacku odnalazłem rękę Willa, pociągnąłem ją, stękając, i pomogłem mu wstać.

Od strony schodów dobiegł nas głuchy łoskot, czyjs wrzask i tupot. Will miał rację – przecinając kabel, odryglowałem główne drzwi. Tamci z góry otworzyli latarnię i już biegli na dół.

W następnej chwili z mroku obok mnie wychynęła twarz Lizzie. Wydała mi się krzywa, pozbawiona proporcji, jak zmiażdżony balon. Lizzie gestykulowała zawzięcie.

Odwróciwszy twarz ku temu, na co wskazywała, dostrzegłem drugie wyjście, prostokąt otwierający się w ciemność, który wcześniej uszedł mojej uwadze.

– Ukryte drzwi – powiedziałem. – Ukryte drzwi. U-kry-te... Ukryyyy... – Słowa miały smak robactwa rozbiegającego się po języku.

– To przez ten gaz! – krzyknęła Lizzie.

Złapała mnie za ramię i pchnęła w stronę wyjścia.

– Stać! – rozkazał Gold. – To przejście jest prywatne! Nie wolno tam wchodzić! Jeżeli stąd wyjdziecie, zniszczę was. Zrujnuję wasze rodziny i wszystkich, którzy coś dla was znaczą.

Pokazałem mu środkowy palec i poczułem, że Will próbuje stanąć o własnych siłach.

– Ruszaj się, brachu. Wracamy do domu.

Chwytając framugę ukrytych drzwi, wyciągnąłem nas do znajdującego się za nimi korytarza. Światła awaryjne zalewały wszystko niebieską poświatą, od której miało się wrażenie, że płniemy pod wodą. Will zaniósł się kaszlem wprost do mojego ucha. Lizzie szła przed nami, podpierając się o ścianę. Wypełniony echem korytarz wydawał się ciągnąć w nieskończoność, ale zdecydowanie prowadził w dół. Czyste powietrze wywiało gaz

z moich płuc, dlatego zacząłem myśleć jaśniej.

Will odzyskał już władzę w nogach, więc pozwoliłem mu iść samodzielnie. Obejrzał się.

– Słyszysz ich?

– Tak.

Już nie byliśmy sami w korytarzu. Powłócząc nogami, przyśpieszyłem do biegu. Dogoniłem Lizzie i popchnąłem ją, żeby też zwiększyła tempo. Zza pleców dobiegł nas zwierzęcy skowyt: któryś ze ścigających nas gnojków udawał wilka. Jego kolesie podchwycili pomysł i po chwili wszyscy wyli już tak, że wbrew sobie zadrzałem ze strachu. Może to przez gaz, ale jakoś łatwo przyszło mi wyobrazić sobie, że zamiast grupki chłopaków w naszym wieku goni nas wataha zaślinionych bestii.

Pokręciłem głową. Wiedziałem już, że to nie było tylko kilku zwykłych wyrostków, gonili nas psychopaci. W każdym zespole było ich co najmniej dwóch.

Lizzie wydała z siebie szloch wyczerpania, ale nie mogłem jej pomóc, bo sam ledwie się poruszałem. Wydawało mi się, że spadam. Moje ciało od pasa w dół było zdrętwiałe, a nogi przenosiły stopę przed stopę tylko dlatego, że to było ostatnie polecenie, jakie im wydałem. Nie byłem już nawet pewien, czy umiem się zatrzymać, a nawet gdyby mi się to udało, to czy kiedykolwiek zdołałbym ponownie wstać.

Korytarz skończył się nieoczekiwanie. Nie wiem jak, ale wysunąłem się na prowadzenie. Kiedy zdążyłem wyprzedzić Lizzie? Stałem, wbijając tępy wzrok w zamykające drogę drzwi.

– Jeszcze jedno – powiedziałem.

Will dogonił mnie i stanął z tyłu. Lizzie dołączyła do nas ostatnia.

– Nie! To nie fair! – zawodząc, Lizzie oparła się o drzwi i...



wpadła w prostokąt światła.

– Otworzyły się. – Spojrzałem na Willa. – Po prostu... same z siebie.

Will pokiwał głową i wyszliśmy na deszcz. Gdzie się podziało słońce?

Zza pleców dobiegł nas głuchy łoskot. Odwróciłem się, żeby spojrzeć na drzwi, ale zatrzasnąwszy się, zniknęły całkowicie. Miałem przed sobą popękana skalną ścianę.

Spojrzałem w dół. Stałem na mokrym żwirze. Podniosłem głowę i po chwili parsknąłem śmiechem. Korytarz wypuł nas na skraju plaży okolonej klifami przypominającymi zębatą paszczę skalnego potwora. Na kamiennej ostrodze, wijąc się w opróżniających się powoli basenach pływowych, wciąż jeszcze zaplątany był pasek Grady'ego ze spadochronowej linki.

– Co to za miejsce? – Will zmarszczył brwi.

Bez słowa wskazałem linkę.

– To znaczy, że... jesteśmy tu, gdzie zaczęliśmy? – wychrypiąła Lizzie.

Bezgłośnie zachichotałem, a potem wybuchłem śmiechem. Boki miałem obolałe, więc objąłem się mocno rękami, ale nie mogłem powstrzymać rżenia. Zanosłem się histerycznym rechotem. Krople deszczu bębniły mi po czole i ściekały po twarzy chłodnym orzeźwieniem. Grobla była przed nami i właśnie ją podnoszono. Jej prosta linia zaczęła się wyłaniać z piasku. W oddali, na horyzoncie dostrzegłem czerwoną plamkę budki telefonicznej. Cywilizacja!

Lizzie przeczesła palcami krótkie włosy. W jej oczach widać było udrękę. Widok sińców na jej szyi uciszył mnie natychmiast, zalewając falą wstydu.

– Żeby wejść na groblę Golda, musimy się dostać do pierwszego punktu kontrolnego. Zresztą nie ma jeszcze pełnego odpływu.

Miała rację. Choć w oddali było już widać łąchy mokrego piasku, to woda przy brzegu sięgała jeszcze co najmniej do szyi. Gdybyśmy teraz opuścili wyspę, prąd zmyłby nas na otwarte morze. To zbyt niebezpieczne. Pokiwałem głową.

– Z tej plaży można wyjść, tylko wspinając się na klif, pamiętasz? – Przełknąłem ślinę. – Nie wiem, czy zdołam się wspiąć...

– Nie mamy wyboru – stwierdził Will.

Lizzie kiwnęła głową. Obejrzałem się. Zamknięte drzwi wyciszyły skowyt Curtisa, ale wiedziałem, że już depta nam po piętach.

## Rozdział dwudziesty czwarty

Lizzie zmusiła się do ruchu i drobnymi, urywanymi kroczkami zaczęła się przemieszczać z kamienia na kamień. Ponieważ musieliśmy uciekać, wymogłem na nogach posłuszeństwo, a potem ślizgając się i potykając na ostrych skałach, poszedłem w jej ślady. Will ruszył zaraz za mną. Jeżeli uda nam się zostawić w tyle naszych prześladowców, to dopadniemy grobli szybciej od nich i wydostaniemy się z wyspy.

Nagle uderzyła nas gwałtowna fala krzyków, wiwatów i skowytu. To Curtis i jego ludzie wypadli na deszcz z ukrytych w skale drzwi.

Lizzie wykonała ruch, jakby chciała się do mnie przytulić, ale cofnęła rękę i sama się objęła. Obejrzałem się na Willa. Podniósł dłoń zmęczonym gestem. Po raz pierwszy zobaczyłem, jaki jest blady. Jego szare oczy prawie zupełnie straciły barwę, a jego włosy były mokrymi i tłustymi strąkami.

Jako pierwszy z tunelu wyszedł Curtis. Purpura na jego twarzy prawie dorównywała intensywnością rudym włosom. Wytrzeszczał niebieskie oczy, a piegi odcinały się od jego skóry jak blizny. Uniósł obie pięści i wyszczerzył zęby w uśmiechu. Wydał z siebie skowyt, który przeszedł w niski pomruk.

– Podnieśli przejście! – zawołała Lizzie. – Wszyscy możemy się stąd wydostać!

– Serio? – Curtis podszedł bliżej.

Deszcz ulizał mu sprężynki włosów na czole i spływał po twarzy.

Jego chudy kumpel wypadł z korytarza i wyszczerzył zęby.

– Tak! Gold nie przysłał nikogo, żeby zatrzymać nas na wyspie. Możemy wrócić do domu. To koniec.

Curtis był coraz bliżej mojego brata.

– Bro! – zawołałem. – Uważaj!

Will odchrząknął.

– Zanim stąd znikniemy, najpierw umówmy się, że zachowamy milczenie. Żadne z nas nie piśnie słowa o tym, co zaszło na wyspie. Nikt nie musi za nic odpowiadać. Spływamy stąd, a potem każdy pójdzie w swoją stronę i już nigdy więcej się nie spotkamy.

– Ciekawe... – wycedził Curtis.

Lizzie zaczęła się cofać w stronę morza. Poczułem na łydkach rozbryzg wody z fal pchanych przez wiatr na skały i powracających do morza z siorbaniem, jakby dzieciak wysysał resztkę napoju przez słomkę. Przez wiszące nad głowami ciemne chmury wydawało się, że jest później niż w rzeczywistości. Szarość spływała z nich w postaci szemrzącego deszczu.

Nie spuszczać Curtisa z oczu, Will ruszył w moją stronę.

– Co ty na to?

Curtis pociągnął nosem.

– Sprawa wygląda tak, bro, że Gold złożył nam całkiem niezłą propozycję. Przyprowadzimy was z powrotem i zgarniemy po milionie na głowę bez zbędnych pytań, liczenia czasu w punktach kontrolnych i sprawdzania fantów. Po prostu wygramy i już.

– On kłamie! – zawołała Lizzie. – Zwycięzca będzie tylko jeden, a resztę zagazują.

– Ta, jasne! – Curtis parsknął śmiechem.

– Wpuścił gaz do pokoju z monitorami. Nie widzieliście go? Nie czuliście smrodu? – Dotarliśmy z Lizzie do ostatnich skał.

Za nami kipiała woda. Stamtąd nie było już ucieczki. Odpływ trwał i morze opadało, ale nie mogliśmy zaryzykować przeprawy do grobli po dnie morza, bo to było zbyt ryzykowne. Trzeba by brodzić w wodzie sięgającej po pachy, ale gdybyśmy spróbowali płynąć, nurt natychmiast by nas porwał.

Curtis znowu pociągnął nosem.

– Masz mnie za durnia? Wracacie z nami.

Na plażę wyległo już kilku „wilkołaków”. Nie wiem, co się stało z pozostałymi. Bez słowa podzielili się na dwie grupy – ci od Reece’a zaczęli zamykać nas z jednej strony, a chłopaki Curtisa z drugiej.

Zostały nam dwie opcje: powrót z Curtisem albo skok do morza.

Popatrzyłem na Willa i nasze spojrzenia się spotkały. Prawie niezauważalnie kiwnął głową, po czym wystrzelił sprintem w naszą stronę i wszyscy troje rzuciliśmy się w fale.

Wiatr odepchnął mnie od skał, a po ułamku sekundy spadłem do wody i pograżyłem się w lodowatej kipieli. Poczułem ból w kostce, która uderzyła o podwodną skałę. Poleciałem w bok, ale Will chwycił mnie za bark i pomógł złapać równowagę. Nurt był piekielnie silny.

Lizzie odwróciła się do mnie. Była blada jak ściana. Złapałem ją za łokieć. Musimy trzymać się blisko i razem przeciw naprzód. Wtedy może uda nam się pokonać napór wody. Jeśli nam się poszczęści, mamy szansę dobrnąć do grobli.

Zostawiwszy za plecami przybrzeżne skały, ruszyliśmy przed siebie. Will prowadził. Wodorosty plątały mi się wokół nóg i wlokły za mną. Im bardziej oddalaliśmy się od skał, tym mocniej niewidzialne ręce nurtu czepiały się kolan i ciągnęły w bok.

– Wracajcie! – wrzeszczał Curtis. Zauważył zostawiony na skałach spadochroniarski pasek Grady’ego. Chwycił go i zaczął nim

wywijać nad głową. – Złapcie linkę, to was wciągnę!

Zignorowaliśmy go.

– No, łap ją! – wrzasnął Curtis. Potem owinął sobie koniec linki wokół pasa, a drugi koniec rzucił chudemu. – Trzymaj, Elliot!

Ruszył za nami w morze i zaczął brodzić. Kiedy ramiona Lizzie zadrżały, domyśliłem się, że bezgłośnie płacze.

Nagle straciłem grunt pod nogami. Gwałtownie łapiąc powietrze, zakrztusiłem się wodą. Kaszłąc, młóciłem ramionami jak oszalały, ale nie było czego się chwycić. Kiedy nurt zaczął znosić mnie w bok, ktoś złapał mnie za rękę i przyciągnął do siebie. Lizzie. Ale kto trzymał ją?

Uderzyłem w podwodną skałę i udało mi się stanąć na nogach. Fala rzuciła Lizzie w moje ramiona. Objąłem ją mocno, jednocześnie rozglądając się dziko za Willem. Stał tam, skąd przed chwilą porwał mnie nurt. Curtis zbliżał się do niego.

– Tutaj! – Zacząłem machać do niego wściekle. – Płyn, złapię cię!

Will posłał mi swój dziwaczny półuśmiezek i przekrzywił głowę.

– Nie mogę.

– Co ty bredzisz?! Jak to nie możesz? – Żołądek wywinął mi się na lewą stronę.

– Chyba już tu zostanę.

Kiedy Will rozłożył ręce, zorientowałem się, że woda sięga mu wyżej, niż powinna. Wpadł w ruchome piaski!

Curtis stanął jak wryty, chwycił kurczowo linkę spadochronową i zmarszczył brwi.

– Nie! – Spróbowałem oderwać się od skały dającej nam obojgu oparcie, ale Lizzie pchnęła mnie z powrotem.

– Tylko się nie szarp! – krzyknęła do niego.

Will przewrócił oczami.

Curtis skrzyżował ręce na piersi.

– No to sobie poczekamy. Woda opadnie i wtedy wydłubiemy cię z piachu jak glistę.

Elliot, trzymając za drugi koniec linki, zarechotał.

– Idę po ciebie! – zawołałem.

Znów spróbowałem odepchnąć się od skały, ale tym razem Lizzie przywaliła mi otwartą dłońią w nos. Oślepiła mnie eksplozja niemiłosiernego bólu. Poczulem smak krwi.

Kiedy odzyskałem wzrok, Lizzie wisiała nade mną, świdrując mnie wściekłym spojrzeniem.

– Nie da się go wyciągnąć.

– Ona ma niestety rację. – Will trząśł się z zimna, a usta miał sine. – Nie wyciągniesz mnie. Ale możecie sprowadzić pomoc! – Spojrzał na Curtisa. – Dopóki woda nie opadnie, nic mi nie zrobią. Teraz przynajmniej wiadomo, gdzie są ruchome piaski. Idźcie do grobli, na Fetlar, i zawiadomcie ludzi, co się stało. Niech tu przy płyną.

– Will...

– Posłuchaj go – powiedziała Lizzie z miękkim naciskiem.

Curtis wykrzywił się szyderczo.

– Przed pełnym odpływem nigdzie nie dojdziecie. I tak wszyscy wrócimy do Golda.

Popatrzyłem na Lizzie, a ona na mnie. Poza jej niebieskimi oczami w czarnej oprawie rzęs i ciemnymi, krótkimi włosami przyklejonymi do bladej twarzy wszystko inne przestało istnieć. To mogła być moja ostatnia szansa, żeby z nią porozmawiać.

– Tam przy monitorach... nie byłem sobą – oznajmiłem

z naciskiem.

– Słuchaj...

– Nie, to ty mnie posłuchaj. – Zacisnąłem powieki, a słowa wypłynęły ze mnie już same. – Powiem ci, jak jest. – Złapałem powietrze. – Kocham cię. Nie tylko dlatego że jesteś piękna – otworzyłem oczy i dotknąłem jej zimnego policzka – ale też dlatego że wściekasz się na mnie, kiedy idę na deskę bez ciebie. I dlatego że kiedy się nad czymś skupiasz, nuczysz stare piosenki. Dlatego że bawisz się włosami, kiedy coś cię gryzie. Kocham cię tak bardzo, że aż mnie boli, kiedy oddycham. Gdy ty się cieszysz, ja cieszę się z tobą, bo uwielbiam twój uśmiech. I za to, że jesteś ode mnie bystrzejsza, co mnie cholernie kręci. I dlatego że mnie rozśmieszasz, bo bez tego nie mógłbym żyć.

Teraz ona zamknęła oczy.

– Zginiemy tu, więc błagam cię, Lizzie, powiedz, że też coś do mnie czujesz.

Milczała. Serce zaczynało mi pękać.

– Jeśli nie, to... też w porządku. Zawsze będę twoim najlepszym przyjacielem, ale nie zostawiaj mnie tak z tym wyznaniem. Powiedz... nie wiem, cokolwiek.

– Nie zginiemy. – Lizzie wreszcie otworzyła oczy. – Kocham cię, Ben. I obiecuję, że tu nie zginiemy.

Wykręciła się z mojego uchwytu i zaczęła płynąć.

Minęło kilka uderzeń serca, a ja gapiłem się za nią z rozdziawionymi ustami, kurczowo uczepony skały. Deszcz bezlitośnie siekł ją po głowie, ale Lizzie z determinacją młóciła wodę ramionami i nogami, w nadziei dotarcia do kiwających się na falach boi.

Curtis i jego chłopaki znów zaczęli wrzeszczeć. Spojrzałem na Willa.



Przekrzywił głowę.

– Przestań mi matkować! Płyn!

– Wróć po ciebie! Słyszysz?

Pokiwał głową.

Odbiłem się od skały i zacząłem płynąć za Lizzie.

Deszcz łomotał mnie po oczach, ale wiedziałem, że muszę tylko trzymać kierunek na groblę.

Skupiłem się na bałwanie piany, który wyrzucała Lizzie, siekąc wodę nogami. Nie widziałem, jak daleko udało nam się dopłynąć. Nurt szarpał mną i ściągał w bok. Walczyłem z rwącym bólem ramion. Postanowiłem poszukać dna – może uda mi się odpocząć, brodząc.

Pozwoliłem nogom opaść głęboko, ale wtedy woda zalała mi usta. Nie miałem gruntu! Wytrzeszczyłem oczy, wróciłem na powierzchnię i położyłem się płasko na wodzie, próbując się rozejrzeć. Prąd porwał nas tak daleko od grobli, że ledwie mogłem dostrzec boje.

Ale gdzie jest Lizzie? Rozejrzałem się gorączkowo. Kiedy poszedłem pod wodę, zniknęła mi z oczu.

– Lizzie! – wydarłem się ile sił w płucach.

Nie było odpowiedzi.

Musiałem płynąć mimo wszystko. Młóciłem wodę nogami, odpychałem się ramionami. Na horyzoncie pojawiła się jakaś większa wyspa. W strugach deszczu wyglądała jak szary garb. Muszę się tam dostać, żeby ocalić Willa. I zdemaskować Golda.

Nagle poprzez mgłę wycieńczenia dotarło do mnie, że jeśli go nie zdemaskuję, to postawi na swoim. Za dziesięć lat stanie na czele globalnego mocarstwa prowadzonego przez menedżerów pozbawionych sumienia. Zdobędzie władzę absolutną. Zostanie

królem świata.

Zacisnąłem szczęki i przyłożyłem się do kraula. Morze obłapiało mnie czarnymi, lodowatymi mackami, usiłując ściągnąć w głębinę. Nie mogłem mu ulec. Nie mogłem dać się pokonać. Nogi. Prosto. Mocno. Prosto. Mocno. Ręka. Ciągnij. Wdech. Ręka. Ciągnij. Wdech. Gdzie, u diabła, jest Lizzie?!

Cały świat skurczył się do moich ramion i nóg, pociągnąć, uderzeń i oddechu. Płynąłem po moją przyszłość z Lizzie. I po to, żeby utopić Golda.

# Koniec

Usłyszałem głos mamy. Wołała, żebym wstał i popilnował Willa, bo wychodzi do sklepu na rogu.

Jęknąłem i przekręciłem się na drugi bok. A raczej spróbowałem się przekręcić. Polecenia z mózgu nie docierały do moich kończyn. Czułem się tak, jakbym był zrobiony z piasku: namoknięty i gotowy rozsypać się przy byle dotyku. „On ma prawie siedemnaście lat!”, chciałem krzyknąć, ale nie byłem w stanie nic powiedzieć.

Powieki miałem sklezione. Spróbowałem zamrużyć, ale nie posłuchały mnie. Prawy policzek miałem wgnieciony w poduszkę, a lewy wydawał mi się mokry.

Nie pamiętam powrotu do domu, ale jakoś musiałem się tam dostać. Mama znów zawołała z dołu.

Czy Lizzie jest cała? Spróbowałem usiąść na łóżku, ale moje zmaltretowane ciało zignorowało ten impuls. Czyżbym był chory? To by wyjaśniało, dlaczego nic nie pamiętam. W takim stanie chyba powinienem być w szpitalu, nie? Wzdrygnąłem się. To jedyny ruch, na jaki było mnie teraz stać.

I znów głos mamy. Tym razem już rozeźlony. Chciałem jej odpowiedzieć, ale gardło miałem zaciśnięte. Kaszlnąłem. Przez moją klatkę piersiową przebiegła fala skurczów. Wyplułem coś z ust i znów się wzdrygnąłem. O tak, zdecydowanie powinienem być w szpitalu.

W końcu udało mi się otworzyć jedno oko. Przez zasłony wpadały do wnętrza oślepiające promienie słońca. Skrzywiłem się

boleśnie i zamknąłem oko.

Po chwili znów rozchyliłem powieki, tym razem powoli. Coś przyciągało moją uwagę, ale też... coś tu się nie zgadzało.

Kiedy już trochę przywykłem do jaskrawego światła i słońce przestało mnie oślepić, zobaczyłem ją: na kamieniu przede mną stała i darła się wściekle mewa.

Ale jak to mewa?!

Wreszcie się poruszyłem. Udało mi się podeprzeć na łokciach.

Nie byłem w domu.

Starłem piasek i żwir z oczu i walcząc z bólem, dźwignąłem się na kolana. Wszystko mnie bolało. Jak długo leżałem nieprzytomny? I gdzie byłem?

Umysł zaczął stopniowo nadążać za ciałem. Gold! Właśnie. Muszę sprowadzić pomoc na wyspę. Prąd pływowy wyrzucił mnie na jakiś brzeg. Teraz muszę tylko znaleźć jakiegoś człowieka. Zdołałem chwiejnie stanąć na nogach i rozejrzeć się wokół w poszukiwaniu wskazówki, dokąd mam pójść.

I wtedy znów osunąłem się na kolana.

Na plaży przede mną leżał samolot. Mała pasażerska awionetka ze złamanym skrzydłem. W powietrzu unosił się swąd spalenizny, a wrak był osmalony.

Siła uderzenia wyrwała kilka foteli z samolotu. W jednym z nich leżała Carmen. W pierś miała wbity wąski kawałek metalu. Brakowało jej jednej ręki. Włosy z różowymi końcówkami zasłaniały twarz. Zebrało mi się na wymioty.

Inni leżeli porozrzucani wokół wraku. Niektórzy jeszcze w fotelach, inni wprost na ziemi. Ciało Wang Ana wisiało na skrzydle całe utyłane w piasku. Somia i Pasha – dziewczyny z jamy – tuliły się w objęciach, jakby spały. Był tam też Curtis. Rudą czuprynę miał ochlapaną krwią, ale piegi na jego skórze były

blade. Nigdzie nie było widać jego chudego kumpla, Elliota.

W końcu znalazłem też Willa. Siedział w samolocie. Powłokłem się tam z wyciągniętymi rękami, powtarzając jego imię szeptem.

Włosy zwieszały mu się na twarz, ale na czole można było dostrzec wielkiego, krwawego siniaka. Nie oddychał. Nie ruszał się. Jego ręce, które wcześniej były pełne życia, zastygły jak kamień.

Spodziewałem się jakiejś reakcji, ale wypełniała mnie już tylko pustka, jakby ktoś wziął łyżkę i wyskrobał mi duszę z ciała. Cofnąłem się, potykając o piach, a potem odwróciłem w stronę plaży.

– Lizzie! – zawołałem tak głośno, na ile starczyło mi sił.

Gdzie ona się podziała?

Znalazłem ją w wodzie. Była zaplątana w pas bezpieczeństwa. Kadłub samolotu przygniatał jej nogi, a twarz była do połowy zanurzona. Oczy, jej niebieskie oczy... były zamknięte. Miała lekko rozchylone usta.

Zacząłem ją szarpać, żeby uwolnić spod samolotu, a po chwili dałem za wygraną. Przyciągnąłem ją do siebie i objąłem ramionami. Delikatnie pocałowałem jej usta, łudząc się jeszcze, że to ją obudzi, ale zeszywniała już w całkowitym bezruchu.

– Lizzie?! – jęknąłem błagalnie.

Wszyscy byli martwi. Absolutnie wszyscy. Ta scena wydała mi się tak rzeczywista i niekwestionowanie prawdziwa, że zacząłem się zastanawiać, czy może faktycznie rozbiliśmy się, lecąc tym samolotem, a ostatnie dni były tylko koszmarnym snem...

I wtedy zdałem sobie sprawę, że kogoś brakuje.

Grady!

– No cześć, Ben.

Odwróciłem się. Stał kilka kroków ode mnie, świeżutki,

w czystym ubraniu.

– Czekalem, aż się obudzisz – uśmiechnął się i wolno ruszył w moją stronę. – Mam pierwszą fuchę w nowej pracy. Zgadnij jaką.

# Podziękowania

Aby powstała książka, konieczna jest ciężka praca wielu osób, zbyt wielu, żebym mogła wymienić wszystkich z imienia i nazwiska, ale specjalne podziękowania należą się mojemu teściowi, Charlesowi Pearce'owi. Jego pasjonujące relacje o geocachingu były zarzewiem pomysłu na niniejszą książkę. „A gdybym tak w czasie wyprawy – pomyślałam, słuchając, jak opowiada – znalazła skrytkę z palcem w środku?”.

Inspiracja do pisania pochodzi z setek różnych źródeł, ale tym razem przyszła właśnie od Charlesa.

Dziękuję wszystkim szkołom, które odwiedziłam, żeby wypróbować ten pomysł na uczniach. Pytałam ich: „Jak myślicie, co będzie w skrytkach?”, „Co bylibyście gotowi zrobić, żeby wygrać milion funtów?”.

Dziękuję także mojemu bratankowi Benowi, który opowiadał mi ze szczegółami o swoim udziale w Ekspedycji Księcia Edynburga, wspominając, że do pierwszej skrytki geocache oddał własny ząb.

Jestem wdzięczna mojej redaktorce Ruth Bennett, wspaniałemu zespołowi projektowemu z wydawnictwa Stripes i mojej agentce Catherine Pellegrino, której pomoc i wsparcie są dla mnie bezcenne.

Dziękuję moim przyjaciołom i rodzinie, którzy dzielnie znosili mnie w czasie pisania. Zwłaszcza mojemu mężowi Andy'emu i dzieciom – Maisie i Rileyowi. Zawsze jesteście w moim sercu.

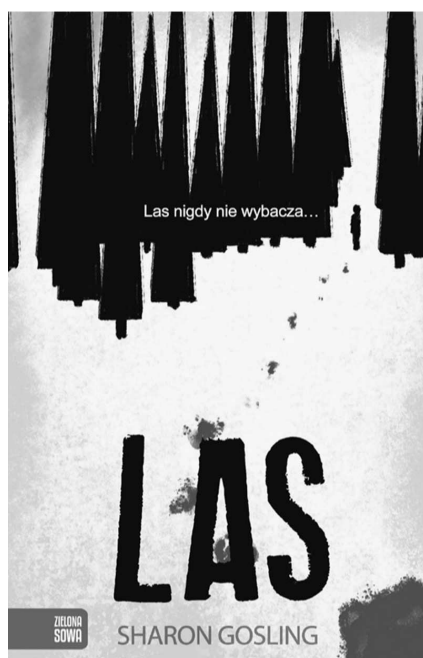
Dziękuję też kolegom i koleżankom pisarzom, którzy ocierali

moje ły, byli głosem rozsądku i zachęcali mnie do działania.  
Jesteście niesamowici.

Dziękuję.



## Przeczytaj także



Przeprowadzka ze Sztokholmu na odludną północ Szwecji na plantację choinek jest wystarczająco beznadziejna, ale kiedy śnieg zaczyna padać wcześniej niż zwykle i rodzina Strombergów zostaje odcięta od reszty świata, robi się jeszcze gorzej. Ponieważ nie ma tu nic do roboty, a jedynym towarzystwem są stara gospodyni i niezainteresowani nikim rodzice, zostaje tylko eksplorowanie starego domu. Cokolwiek, byle pozostać z dala od niekończącego się mrocznego morza choinek za oknem. Szybko okazuje się, że niebezpieczeństwa czyhające w starym domu są znacznie gorsze niż te czające się na zewnątrz...

**Oto fragment powieści.**

Wszedłem do biblioteki i jej wielkość mnie oszołomiła. (...) Biblioteka musiała zawierać tysiące tomów, bo wypełniały one półki od podłogi do sufitu. Wszystkie były oprawione w skórę i ustawione tak idealnie, jak gdyby nikt nigdy ich nie czytał. Albo – co bardziej prawdopodobne – jakby ktoś miał obsesję na punkcie ciągłego odkurzania. No to już wiedziałem, co Dorotea robi całymi dniami.

(...) Nie wyglądała ona na pomieszczenie, w którym przesiadywał poprzedni właściciel. (...) Wszystko wyglądało tu jak w muzeum. Ciekawe, od jak dawna była tak wyposażona i do kogo należała. Zastanowiło mnie też, jak to się stało, że wszystko było na swoim miejscu. (...) Pewnie i w tym Dorotea maczała swoje paluchy.

Sprawdziłem kolejne pokoje. We wszystkich było tak samo – meble i bibeloty znajdowały się na swoim miejscu. Kupiliśmy tę budę razem z psem, łańcuchem i pchłami. Nikt nie zadał sobie trudu, żeby zabrać swój dobytek. (...)

A jednak, kiedy tak kombinowałem, zaczęło mi się to wydawać dziwne. Na ścianach wciąż wisały obrazy, na regałach stały książki, a w jednym z pokoiów urządzono gabinet (...). Szarpnąłem za jedną z szuflad (...). Zawierała mnóstwo papierów. (...) Rozumiem, że zostawili meble, a nawet obrazy – może nie chcieli im się szarpać z pakowaniem, magazynami i bawić się w sprzedawanie. No, ale żeby zostawiać osobiste papiery?

Za to nigdzie nie rzuciły mi się w oczy żadne zdjęcia. Zwróciłem uwagę na ich brak, bo chciałem zobaczyć, jak wyglądali ludzie, którzy mieszkali tu wcześniej. Jeśli tak jak Dorotea, to perspektywa rozciągająca się przed rodziną Strombergów – czyli naszą – była nieciekawa. Może z takim właśnie wyglądem kończyli wszyscy,

k którzy trochę pomieszkali w tych okolicach? Może (...) wegetacja w tej gęszy wyssała z niej resztki życia? Niewykluczone. (...) Ale zauważyłem też coś innego. Mianowicie nie było żadnych miejsc po zdjęciach ani na stołach, ani na półkach, tam, gdzie mogła stać ramka, ani jaśniejszych plam na ścianach po fotografiach, które usunięto. Przeszło mi więc przez myśl, że w ogóle nigdy ich tu nie było, co również wydało mi się ciut dziwaczne. (...)

I wtedy ją zobaczyłem. Wychodziłem właśnie z jednego pokoju, żeby przejść do innego, gdy włoski zjeżyły mi się na karku. Znacie to uczucie, kiedy ktoś was obserwuje? Odwróciłem się, żeby spojrzeć w głąb korytarza. Stała tam Dorotea. Ramiona wisiały jej luźno wzdłuż boków. Patrzyła na mnie. (...) Na zewnątrz, za jej plecami było widać ciemną ścianę drzew. Żeby się tam znaleźć, musiała przejść obok pokoju, w którym buszowałem, więc na pewno mnie usłyszała. Ale ona, zamiast wsadzić głowę do środka, żeby zobaczyć, co tam się dzieje (...), postanowiła przejść obok niego i zacząć się na mnie w cieniu.

(...) Szpiegowała.

Wbiłem w nią wzrok, ale się nie poruszyła. W końcu odwróciłem się i odszedłem do głównego holu, zmierzając ku schodom (...). Przez cały czas czułem na plecach jej wzrok. Wyobraziłem sobie, że porusza się szybciej, niż to możliwe. Sunie przygięta do ziemi, wbijając we mnie te swoje stare, wodniste, wytrzeszczone ślepia, gotowa... no właśnie, gotowa zrobić co?

Walczyłem ze sobą, żeby się nie odwrócić i nie spojrzeć za siebie. Powstrzymałem się od ucieczki. Tytanicznym wysiłkiem woli podszedłem do schodów i zacząłem wchodzić. (...) Obejrzałem się dopiero w połowie schodów, ale na dole nie było Dorotei. Może jednak miała jakiś powód, żeby znaleźć się w jednym z pokoiów, w których myszkowałem, i wróciła tam, żeby zrobić to, co zaplanowała. Wy tłumaczyłem sobie, że na pewno tak było, bo

w przeciwnym razie musiałaby przemknąć korytarzem i pokonać hol za moimi plecami niesłyszana i niezauważona. Mówiąc szczerze, niespecjalnie uśmiechała mi się myśl, że stara może być do tego zdolna.

# Przypisy

- 1) Chodźmy! (hiszp.) ↵
- 2) Mój Boże! (hiszp.) ↵
- 3) Chłopcy (hiszp.) ↵
- 4) Iridium – pierwszy globalny system radiokomunikacji satelitarnej (osobistej), przeznaczony głównie do obsługi użytkowników wyposażonych w terminale ręczne (kieszonkowe). ↵
- 5) Dziewczyno (hiszp.) ↵
- 6) Przyjaciele (hiszp.) ↵
- 7) Chłopaku (hiszp.) ↵
- 8) Boże (hiszp.) ↵
- 9) Pleksiglas – tworzywo sztuczne wyglądem przypominające szkło. ↵
- 10) Din dan, din don dan, zabrzmia dzwony... (hiszp.) ↵
- 11) Geocache – ukryty pojemnik przeznaczony do szukania, zawierający zwykle logbook, czyli papierowy dziennik wpisów (własnoręczne umieszczenie wpisu w logbooku jest podstawą do uznania skrytki za znalezioną), i różnego rodzaju przedmioty – upominki – do wymiany przez osoby grające w geocaching. ↵
- 12) Mój Boże! (hiszp.) ↵
- 13) Szalony (hiszp.) ↵
- 14) Heks (hex) – sześciokątna kostka służąca do asekuracji podczas wspinaczki skalnej. ↵
- 15) Reptilianie – fikcyjna rasa humanoidalnych gadów, która – według teorii spiskowych – sprawuje władzę nad światem. ↵

16) Drogi przyjacielu (hiszp.) ↵

17) Dziewczyno! (hiszp.) ↵

18) Fred West – Frederick Walter Stephen West (1941–1995), angielski seryjny morderca. ↵